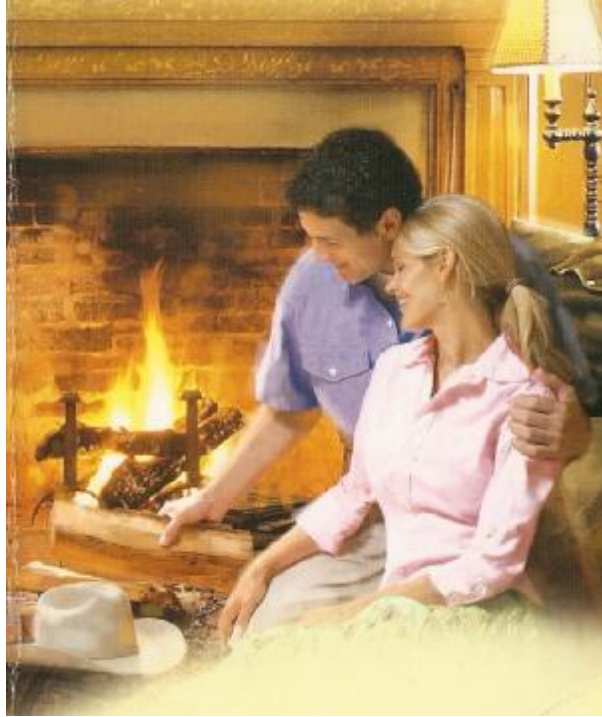




Laurie Paige



Dom dla dwojga

Tytuł oryginału: A Place To Call Home

Rozdział 1

Zia Peters nie wierzyła własnym uszom. Głos, który ją powitał, kiedy zmęczona wysiadała z auta przed hotelem Residential w Vernal w stanie Utah, mógł należeć tylko do...

- Jeremy - ni to stwierdziła, ni to powitała go chłodno, jakby nie bardzo pamiętała, kim jest. Jednocześnie torebka i kluczyki wypadły jej z rak.

Znała go, oczywiście. Należał do jej przyszywanej rodziny.

Czternaście lat temu Jeff Aquilon, stryj Jeremy'ego, wziął go na wychowanie wraz z dwójką jego kuzynów. Sprawą powstałej tym sposobem rodziny zastępczej zajmowała się matka Zii, Caileen, wówczas i dzisiaj kurator sądowy dla nieletnich. W efekcie pani kurator poślubiła Jeffa Aquilona i było to najlepsze, co mogło się tym dwojgu w życiu przydarzyć.

O ile matka z łatwością wtopiła się w swoją nową rodzinę, o tyle dziesiętnastoletnia Zia nie czuła się częścią tej ani żadnej innej rodziny. Tak było od chwili rozstania jej rodziców. Zia miała cztery lata, kiedy ojciec wyprowadził się z domu.

- Co ty tutaj robisz, Jeremy? - spytała, siląc się na uśmiech. W jej głosie słychać było zdziwienie i inne emocje, w których sama nie mogła się połapać. Podniosła torebkę i wrzuciła kluczyki do środka.

- Może czekam na ciebie? - zażartował, a jego aksamitny baryton przyprawił ją o dreszcz.

Nie zdawał sobie sprawy, że właśnie trafił w jej czuły punkt. Nikt na nią nie czekał, ani tutaj, ani nigdzie indziej. Taka była prawda.

Ale Zia nie użalała się nad sobą. Starła się zachować uprzejmy wyraz twarzy, zdając sobie przy tym doskonale sprawę z tego, jak bardzo uroda Jeremy'ego działa na jej zmysły.

Jego czarne włosy połyskiwały w słońcu, gdy schodził po schodach wiodących do głównego wejścia hotelu. Czerwcowy wiatr igrał z kosmykiem, który, jak zawsze, opadał mu na czoło. Jeremy odgarnął niesforne pasemko włosów. Wydawały się jedwabiste i delikatne, tworzyły zaskakujące zestawienie z męską, muskularną sylwetką wysokiego mężczyzny. Powiew wiatru przyniósł zapach żelu pod prysznic i płynu do golenia, jakby wyszedł prosto z łazienki.

Zia cofnęła się, zaszokowana nagłym pragnieniem - jeszcze chwila i sprawdziłaby gładkość jego skóry.

Jeremy był starannie ogolony, co uwydatniało mocny, zdecydowany zarys jego szczęki. Miał twarz śniadą od pracy na słońcu i ciemne oczy. Biła od niego męskość, nad którą panował, spokojna pewność siebie, pod którą wyczuwało się niewypowiedziane słowa, niezgłębione emocje. Fascynował wszystkich przyjaciół Zii, rzadko jednak zdarzało się, by podczas studiów oboje jednocześnie przyjeżdżali ze swoich uczelni do domu Aquilonów.

Obecnie pracował dla stanu Utah jako inżynier nadzorując budowy dróg i mostów. Ze stoickim spokojem rozwiązywał wszelkie problemy życiowe i zawodowe. Sam, będąc prawie dzieckiem, ruszył na ratunek swoim kuzynom. Pomógł też Zii przebrnąć przez doświadczenie, o których wolałaby zapomnieć. Nigdy potem nie wracali do dramatycznych zdarzeń, które na krótko ich połączyły.

Zia poczuła ukłucie żalu, smutku, wstydu. Ogarnęły ją także inne uczucia, których nie umiała nazwać.

Nie czas na rozmyślanie o uczuciach. Otworzyła bagażnik.

- Widzę, że jesteś lepszą wróżką ode mnie - zażartowała, próbując dostosować się do jego lekkiego tonu. - Ja nie miałam pojęcia, o której dojadę przez te wszystkie roboty drogowe...

Rozłożył ręce.

- Jest lato. Musimy wykorzystać ten czas do maksimum. Sięgnął po największą torbę, podnosząc ją lekko, jakby

ważyła tyle, co kuferek z przyborami toaletowymi, który Zia wyjęła przed chwilą. Uprzedził ją i porwał również drugą torbę. Ich ręce się zetknęły.

- A tak poważnie, skąd wiedziałeś, że przyjeżdżam dzisiaj? - nalegała.

- Tak poważnie - odparł z rozbawieniem - to twoja mama zadzwoniła do mnie, kiedy wychodziłem z biura. Mówiła, że dzwoniła do ciebie na komórkę, i że tkwisz w korku pięćdziesiąt kilometrów od Vernal. Bała się, że nie zdążysz dojechać przed zmrokiem. Uspokoilem ją, że to nie potrwa dłużej niż kwadrans. Obiecałem jej, że dopilnuję, byś dojechała szczęśliwie i na czas.

Na chwilę zapatrzył się w ostatnie promienie zachodzącego słońca.

- Cóż, jestem cała i zdrowa - odparła Zia energicznie, próbując nie okazywać rozdrażnienia, jakie zawsze budziła w niej nadopiekuńczość matki. - Myślałam, że pracujesz na moście w okolicy kanionu Desolation - dodała po chwili wahania.

Wiedziała, że kupił gdzieś w okolicy chatę, którą w wolnych chwilach remontował. Na co dzień mieszkał w Residential albo w barakach na budowie.

Tymczasem Zia przyjechała do Vernal objąć posadę inspektora szkolnego odpowiedzialnego za realizację programu w placówkach oświatowych na terenie całego hrabstwa. Wiedziała, że obowiązki

zawodowe będą ją trzymać raczej w centrum miejscowości, w budynku kuratorium. Nie było wielkich szans na to, by na siebie wpadali ot tak, przez przypadek

- Budujesz coś w tej okolicy? - podjęła, ponieważ nie odpowiadał.

- Coś w tym rodzaju. - Jego uśmiech był obezwładniający. - Siedziba zarządu wydziału transportu została jakiś czas temu przeniesiona do Vernal, a ja jestem dyrektorem okręgowym. Dużo przesiaduję w biurze, chyba że jadę w teren nadzorować postępy robót. Ale częściej stwierdzam brak postępów - zakpił.

Nie przyszło jej do głowy, że zarząd okręgu mógł mieć swoje biura w ośmiotysięcznym mieście. Przemysł lokalny sprowadzał się w Vernal do usług dla użytkowników lokalnego odcinka autostrady, paru biur rządowych hrabstwa, produkcji na użytek ranczerów, rezerwatów indiańskich i okolicznych służb leśnych, wreszcie - sprzedaży sprzętu dla poszukiwaczy przygód, którzy przybywali łowić ryby, polować i spływać tratwą po rzece Green wzdłuż kanionu Desolation.

Największą miejscową atrakcją był Park Dinozaurów ciągnący się na granicy Utah z Kolorado. Na głównej ulicy wjeżdżających do miasta witał wielki, różowy dinozaur.

- Wspaniale! - ucieszyła się szczerze Zia. - Gratuluję awansu.

Wspomniałeś o tym w domu, kiedy przyjechaliśmy na wesele?

Pokręcił głową.

- Moje szanse na to stanowisko wydawały mi się zerowe, więc nie było o czym mówić.

Parę tygodni temu, w pierwszą sobotę czerwca, jego kuzynka Krista wyszła za mąż za członka bardzo starej i bardzo zamożnej rodziny z Kolorado. Zia szczerze życzyła dwudziestopięciolatce udanego małżeństwa.

W chwili ślubu Jeffa Aquilona z jej matką, Krista miała zaledwie jedenaście lat. Ale kiedy Zia przyjeżdżała do domu z college'u, witała ją z entuzjazmem, gościła w swoim pokoju i próbowała być z nią możliwie blisko. Uwielbiała, swoją przyszywaną starszą siostrę niezależnie od tego, czy Zia na to zasługiwała czy nie. Była słodka i ufna. W każdej sprawie słuchała uważnie opinii i rad Zii, podziwianej starszej przyjaciółki.

Gdybyż Zia naprawdę była osobą, za jaką brała ją Krista -mądrą, szlachetną i dobrą... Gdyby tak mogła zmienić to, czego nie można już zmienić, odwrócić bieg czasu i zdarzeń...

Z westchnieniem ruszyła w stronę recepcji.

- Zmęczona? - spytał życzliwie Jeremy. Niewątpliwie starał się być uprzejmy, jednak Zia przez sekundę wyobraziła sobie zupełnie inne powitanie, takie, w którym mężczyzna marzeń wybiega jej naprzeciw i porywa na ręce w miłosnym uścisku, szczęśliwy, że ją wreszcie widzi.

Od chwili ceremonii ślubnej, podczas której Krista była tak promienna, a Lance nie mógł oderwać pełnych uwielbienia oczu od panny młodej, Zia odczuwała smutek, który starannie skrywała, mimo to zakłócał jej kruchy wewnętrzny spokój.

Gdzie się podziewał ten jeden, jedyny, który będzie ją kochał tak bardzo? Czy ktoś taki w ogóle chodzi po świecie - zastanawiała się ta część Zii, która podczas ślubu Kristy wzdychała do romansu z happy endem.

Nagle poczuła, że za chwilę się rozplacze. Boże, ależ jest dziś w kiepskiej formie! Zdecydowanie nie był to dobry czas na komitety powitalne, nawet tak troskliwe jak Jeremy.

- Trochę zmęczona - przyznała. - Cudownie, że wyszedłeś po mnie. Jak tylko wejdziesz do siebie, zadzwonię do mamy i Jeffa powiedzieć, że dojechałam szczęśliwie. - Zabrzmiało to tak, jakby chciała pozbyć się go jak

najszybciej. - Przepraszam - zmitygowała się. - Nie chciałam być nieuprzejma, po prostu nie jestem w nastroju do towarzyskich pogawędek.

- Pewnie jesteś głodna - powiedział, jak zwykle niewzruszony jej kaprysami. Spojrzał na zegarek. - Co ty na to, żebyśmy przyjechał tu za godzinę i wziął cię na stek do najlepszej restauracji w mieście?

Czy mogła odmówić tak atrakcyjnej propozycji?

Poza tym, mama byłaby naprawdę zmartwiona, gdyby teraz splawiła całkiem Jeremy'ego. Naprawdę, nie chciała być nieuprzejma, po prostu była bardzo zmęczona. Z powodu robót drogowych na trasie prostej, przejazd z Provo, gdzie pracowała dotychczas, przeciągnął się o kilka godzin.

- Daj mi półtorej godziny - poprosiła. - Najpierw muszę poleżeć trochę w wannie.

- Dobry pomysł.

Odstawił wielką i średnią torbę na wózek bagażowy w holu, skinął jej ręką na pożegnanie i ruszył w stronę drzwi.

Zia westchnęła ponownie - sama nie wiedziała, czy ze zmęczenia czy z ulgi, a może z żalu. Podeszła do lady recepcyjnej.

- Nazywam się Zia Peters. Mam tu rezerwację.

- Dzień dobry, panno Peters - powitała ją młoda kobieta za biurkiem, przebierając palcami po klawiaturze komputera w poszukiwaniu odpowiedniego pliku. - Nazywam się Rachel, jestem dzienną recepcjonistką. Zatrzymała się pani u nas na dwa tygodnie?

- Tak. Może trochę dłużej. Szukam mieszkania i nie jestem pewna, ile mi to zajmie.

- Oczywiście. Proszę nam tylko dać znać, kiedy zorientuje się pani, czy chce przedłużyć pobyt. O, widzę nawet, że mogę dać pani zniżkę, jeśli

zdecyduje się pani zostać u nas cały miesiąc. W razie potrzeby bez problemu będzie pani mogła przedłużyć pobyt.

Zniżka wynosiła dwadzieścia procent, a Zia zdawała sobie sprawę z tego, że znalezienie mieszkania może potrwać co najmniej miesiąc.

- Zgoda.

Zia wypełniła formularze, zapłaciła kartą i powędrowała z wózkiem do swojego pokoju. Ucieszyła się, że jest na parterze i ma wyjście nie tylko na korytarz, ale również na boczną werandę. We wnęce na lewo od saloniku znajdowało się szerokie łóżko, po tej samej stronie była również łazienka. Drugą stronę zajmowała mała wnęka kuchenna, a obok niej szafa wbudowana w ścianę. Po obu stronach drzwi na werandę znajdowały się okna wychodzące na wschód, na wzgórze, pustynne krzewy, rzędy dzikich wiśni, cedrów i wierzb rosnących wzdłuż strumienia. Pospiesznie porozwieszała ubrania w szafie, resztę rzeczy poukładała w szufladach komody i odkręciła kran. Czekaając, aż wanna napełni się wodą, zadzwoniła do matki.

- Dojechałam.

- To dobrze. Tyle godzin byłaś na nogach, bałam się, że w końcu zaśniesz za kierownicą.

Zia musiała wstać wcześniej, bo z samego rana przyjechała firma transportowa po rzeczy, które musiała zdeponować w magazynie, dopóki nie znajdzie mieszkania. Pakowanie i załadunek trwały dłużej, niż przypuszczała, w efekcie ruszyła w drogę dopiero po południu. Potem jeszcze podróż przeciągnęła się z powodu robót drogowych.

- Dobrze się czuję - uspokoiła matkę.

- Widziałaś się z Jeremym?

- Tak. Czekał w hotelu, kiedy przyjechałam. Później pójdziemy na kolację, na najlepsze steki w mieście.

- To dobrze - odparła matka z aprobatą.

Jeremy był zawsze pracowity, odpowiedzialny i przytomny. Posiadał wszystkie cechy, których jej, niestety, brakowało, kiedy była nastolatką. Jednak ciągle katowanie się ponurymi rozmyślaniami o przeszłości niczego nie mogło zmienić.

- Muszę kończyć - oświadczyła Zia nieco zbyt radośnie. - Chcę się wykapać i wypocząć przed wyjściem.

- Baw się dobrze. Uściskaj od nas Jeremy'ego.

- Nie zapomnę. Całuję cię. Do usłyszenia.

Wyłączyła komórkę w ponurym nastroju.

Co się z nią dzieje? To z pewnością cały ten ślub i zamęt, jaki wtedy poczuła, a może coś więcej. Ale co?

Przeprowadzka była sensownym posunięciem - logicznym, korzystnym dla jej kariery. Nie przypuszczała jednak, że spotka Jeremy'ego zaraz po przyjeździe. Po długim, ciężkim dniu, nie była przygotowana na spotkanie z nim, podobnie jak nie była przygotowana na uczuciowy zamęt, jaki wzbudził w niej, prosząc ją do tańca na weselu swojej kuzynki.

Jeremy w dzinsach był atrakcyjny, ale Jeremy w smokingu był zabójczy, jak to określiła jedna z przyjaciółek Kristy. Naprawdę, wyglądał wspaniale. Gdyby Hollywood potrzebowało nowego Jamesa Bonda, Jeremy z pewnością wygrałby casting.

Potrząsnęła głową. Nie jest już przecież nastolatką przeżywającą burzę uczuć i hormonów. Zrzuciła dzinsy i koszulkę, po czym wskoczyła do wanny. Aż jęknęła, zanurzając się po szyję w rozkosznie gorącej wodzie.

Budzik w hotelowym radiu miał zadzwonić za pół godziny, mogła się więc relaksować bez popatrywania na zegarek.

Budzik zadzwonił. Zia poderwała się. Przez pół godziny próbowała różnych technik medytacyjnych, jednak nie udało jej się ani trochę rozluźnić.

Znów dopadły ją wspomnienia, jak zawsze, kiedy była zmęczona lub napięta, albo jedno i drugie. Widok Jeremy'ego przywołał z powrotem dni, kiedy każda chwila wydawała się mieć przełomowe znaczenie, kiedy cały świat obracał się wokół Zii, jej przyjaciół i ich szalonego trybu życia. Tak jej się w każdym razie wydawało. Do czasu.

W roku zerwania z Sammym dostała trudną nauczkę. Chłopak, który był jej wielką, młodzieńczą miłością, wpadł w panikę na wiadomość o tym, że Zia zaszła w ciążę. Do dziś nie miała pojęcia, dlaczego pigułki antykoncepcyjne zawiodły. Może miało to jakiś związek z potwornym przeziębieniem i gripą żołądkową, która dopadła ją tamtej wiosny. Nie była specjalnie przerażona - Sammy wprawdzie wyleciał z college'u, ale miał już dobrą pracę w budownictwie.

Jej ojciec zaczynał identycznie, mniej więcej w tym samym wieku. Dorobił się własnego przedsiębiorstwa budowlanego i doskonale zarabiał. Wprawdzie doszedł do tego wiele lat później, już jako człowiek dojrzały, ale Zia naiwnie wyobrażała sobie, że będą ramię przy ramieniu pracować z Sammym na sukces ich małżeństwa. To, że ten sam scenariusz doprowadził do rozpadu małżeństwa jej rodziców, jakoś jej nie zrażało.

Trudno powiedzieć, co kazało jej sądzić, że jest o tyle mądrzejsza i lepsza od swojej matki w tym samym wieku? Młodzieńcze zadufanie - odpowiedziała sobie. Na myśl o życiu matki znów dopadły ją wyrzuty sumienia.

Caileen rzuciła college i wyszła za mąż w wieku dziewiętnastu lat. Dziesięć miesięcy później przyszła na świat Zia. Mieszkali w przyczepie

kempingowej, jeżdżąc po najlepszych ośrodkach surfingowych w kraju. Matka Zii chwyciła się różnych zajęć, ojciec surfował.

Po pięciu latach cygańskiego życia matka wynajęła mieszkanie i zatrudniła się na uniwersytecie, jednocześnie robiąc magisterium z pedagogiki. Po nocach zmywała naczynia w miejscowej restauracji. Szef pozwalał jej brać dziecko ze sobą. Zia pamiętała z wczesnego dzieciństwa wieczorne zasypianie na zapleczu kuchni, w otoczeniu wielkich puszek z żywnością i jeszcze większych worków kartofli.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień, jednak w sercu poczuła ukłucie bólu. Przeżywała dziś niepojęta huśtawkę uczuć.

Może to z powodu nowej pracy? Podjęcie posady głównego koordynatora szkolnych programów w całym hrabstwie było niewątpliwie krokiem naprzód w jej karierze. Wiązało się też z nowymi obowiązkami. Może po prostu miała tremę i dlatego była taka niespokojna?

Włożyła granatowe spodnie i białą obcisłą bluzkę. Przygotowała też koszulę z długim rękawem, bo pustynne noce na wysokości ponad tysiąca pięciuset metrów były zazwyczaj chłodne. Zwinęła włosy w węzeł z tyłu głowy i spięła je metalowym klipsem, po czym przystąpiła do makijażu: lekki podkład, kredka pod oczy, szminka do warg w odcieniu różowym.

Zostało jej jeszcze dwadzieścia minut, usiadła więc na bujanym fotelu z poduszkami w kwiaty podumać trochę o przeszłości.

Pół roku po jej czwartych urodzinach rodzice rozstali się. Kłócili się o pieniądze, o to, że tkwią w jednym miejscu, o Zię, o wszystko, co składało się na jej życie. Jej wesoły tato, król surfingów, odszedł.

Długo trwało, zanim Zia wybaczyła to matce, a jeszcze dłużej, zanim zrozumiała, że ojciec również dokonał pewnego wyboru. Wybrał życie, w którym zabrakło miejsca na żonę i córkę. Dopiero kiedy zaszła w ciążę i

dotarło do niej, że musi samotnie zadbać o siebie i dziecko, zrozumiała, przez co przechodziła jej matka, usiłując zapewnić zdrowy, stabilny dom dziecku, które w dodatku przez lata chorowało na astmę - Bogu dzięki wyrosła z tego. Uświadomiła sobie, co to znaczy żyć, oglądając dwa razy każdego centa, studiować, a jednocześnie znosić normalne stresy związane z macierzyństwem, niekończące się obowiązki i samotność. Nie przez chwilę, przez całe lata!

Przymknęła oczy i odchyliła głowę na oparcie fotela. Powróciły dobrze znane wyrzuty sumienia. Dlaczego buntowała się przeciwko Caileen, nie chciała słuchać, kiedy matka radziła jej, żeby nie angażowała się uczuciowo na pierwszym roku studiów? Egotyzm Sammy'ego widoczny był jak na dłoni, ale Zia oganiała się od matki jak od utrapionej, brzęczącej muchy. Sama zresztą była też nieźle zapatrzona w siebie.

Cóż. Co było, minęło.

W wieku dziewiętnastu lat była naiwna i głupia. W wieku lat trzydziestu trzech była chyba trochę mądrzejsza. I lepsza... Stukanie do drzwi przerwało rozmyślania.

Jeremy czuł się w obowiązku przynajmniej zaprosić Zię na kolację podczas jej pierwszego wieczoru w mieście, zwłaszcza że jej matka dzwoniła, prosząc, by sprawdził, jak ona się miewa. Zrobiłby wszystko dla Caileen i stryja Jeffa. Wiele lat temu oboje dali mu dom i wsparcie, jakiego potrzebuje każdy nastolatek, a tym bardziej osierocony nastolatek. Kochał ich za to i niezmiennie szanował.

Zia zawsze wydawała się dosyć chłodna i nieprzystępna.. Jednak nie miał okazji bliżej jej poznać, nie spędzili ze sobą wiele czasu, mógł się więc mylić. Po ślubie stryja Jeffa z Caileen Zia wyjechała do innego stanu pracować w biurach przedsiębiorstwa budowlanego swojego ojca.

Jednocześnie studiowała na uniwersytecie. W tamtym okresie nie za bardzo umiała dogadać się z matką.

Później on też wyjechał; dostał stypendium matematyczne na uniwersytecie w Boise.

Teraz, po czternastu latach, wyglądało na to, że znów będą mieszkać w jednym mieście. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie będzie to kłopotliwe, uznał jednak, że nie ma żadnych powodów, by ich drogi krzyżowały się z sobą bardziej niż w przeszłości.

Dopytawszy się, w którym pokoju zamieszkała, zastukał do drzwi. Otworzyła natychmiast.

Była olśniewająca jak zawsze. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu, smukłe kształty, długie blond włosy w naturalnym odcieniu i niebieskie oczy. Na chwilę zabrakło mu tchu w piersi, zupełnie jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Pod koniec szkoły średniej zapisał się na zajęcia z historii w college'u, zdecydowany po maturze radzić sobie zupełnie sam. Pierwszego dnia na zajęciach spotkał Zię. Chłopcy mało nie powypadali z ławek, kiedy weszła do sali, rozmawiając i żartując z koleżanką, ewidentnie nieświadoma wrażenia, jakie wywiera. Musiał jej to przyznać: większość kobiet próbowałaby wykorzystać tak niezwykłą, naturalną urodę, ale Zia nie zwracała na nią w ogóle uwagi.

Tamtego dnia nie śniło mu się nawet, że ich ścieżki życiowe splecą się jeszcze przed końcem roku szkolnego.

- Witaj. - Otworzyła drzwi, przywracając go z powrotem teraźniejszości.

Ten jej zapach... Niezależnie od tego, czy używała kwiatowych perfum, jak na weselu, czy bardziej korzennych, zawsze spowijała ją jakaś świeżość, jakby była uosobieniem wiosny.

- Miałaś rację, jestem po prostu głodna - rzuciła z łobuzerskim uśmiechem. - Przez ten korek nie zjadłam lunchu, tylko chipsy serowe na uspokojenie. Umieram z głodu.

Stał i kiwał głową, kiedy nie przerywając monologu brała torebkę i koszulę na wieczór. Poprowadził ją do swojej wysłużonej terenówki, jedynego samochodu, jaki nadawał się dla kogoś, kto jak on pracuje w rejonie głębokich kanionów, wyschniętych koryt rzek i wyniosłych płaskowyżów.

- Najlepsze steki w mieście dają w restauracji Green River - powiedział, kiedy ruszyli. - Strzeżemy tej tajemnicy przed obcymi.

- Rozumiem. Obiecuję trzymać język za zębami.

Uśmiechnął się i rozluźnił pod wpływem jej udawanej powagi. Była teraz w lepszym humorze niż po przyjeździe. Zawsze czuł, że unika go jak może... w gruncie rzeczy unikała całej rodziny, z wyjątkiem okoliczności takich jak ślub Kristy, na którym była druhną.

Poczuł dziwny ucisk w piersi na wspomnienie anioła w błękitach, który płynął główną nawą przed panną młodą. Nie mógł oderwać od niej wzroku. W pewnym sensie wydawało się, że Zii nie ma, jakby uleciał z niej duch, pozostawiając jedynie niewiarygodnie piękną powłokę cielesną, która brała udział w ślubnej ceremonii.

Kiedy z nią tańczył na weselu, ponad jego ramieniem wpatrywała się w coś niedostrzegalnego dla zwykłych śmiertelników. Dziwiła go ta duchowa nieobecność, jeśli jednak wołała zdystansować się wobec własnej rodziny - trudno, jej strata.

Później, kiedy państwo młodzi wyruszyli na miodowy miesiąc, podслуchał, jak Zia szepce:

- Życzę ci szczęścia, Kristo. Staraj się znaleźć każdego dnia jakiś powód do radości dla siebie i Lance'a.

Kiedy machali ruszającej w drogę parze, zauważył w jej oczach - sam nie wiedział, jak to określić - samotność, tęsknotę, a może żal? Tylko przez moment, zaraz potem odeszła od tłumu żegnających i wsiadła do samochodu, jakby nie mogła się doczekać odjazdu.

Mimo woli powróciło do niego stare wspomnienie tych jej błękitnych oczu, niemal zapadniętych w śmiertelnie bladej twarzy. Wstrzymał gwałtownie oddech, czując nagłe, bolesne ukłucie w sercu... ta urocza kobieta obok niego, zwykle ukryta za maską uprzejmości i rzadko odsłaniająca swoje wnętrze, kiedyś dostarczyła mu powodów do niepokoju, oj, dostarczyła.

Odgonił wspomnienia, które wciąż wywoływały w nim falę współczucia dla Zii, wjechał na parking, wysiadł i obszedł samochód, by pomóc wysiąść pasażerze.

- Jakie piękne! - zawołała.

Przystanął i też zerknął na niebo skąpane w złocie i purpurze zachodu słońca ponad ciągnącymi się po horyzont wzgórzami.

- Tak - zgodził się, ale to od niej nie mógł oderwać oczu. Zaklął w duchu. Był niewątpliwie pod jej urokiem. Owszem, taka uroda mogła przyciągać wzrok, ale wiedział, że prawdziwe piękno mieszka w sercu, nie na twarzy.

Kiedy poznał Zię, była uparta, bezmyślna i samolubna. Przynajmniej w jego odczuciu. To jednak było dawno temu.

Uczciwie musiał przyznać, że nie znał jej właściwie jako dorosłej osoby.

Znowu wziął ją pod rękę i wprowadził do restauracji, gdzie posadzono ich przy oknie.

- Panoramiczny widok - zauważyła z aprobatą. - Uwielbiam kolory zachodu słońca nad pustynią, a ty?

Skinął głową i wziął od kelnerki kartę dań.

Przyglądał się Zii sponad karty. Była teraz jakaś inna. Znowu poczuł niepokojące ukłucia w sercu; był w niej jakiś smutek, czy melancholia.

Może ona również rozpamiętywała przeszłość?

- Polecam żeberka - oświadczył, sprowadzając oboje na ziemię.

Złożyli zamówienie. Poprosił o czerwone wino; pamiętał, że lubiła burgunda.

- Ślub był cudowny, nie uważasz?- odezwała się, kiedy podano im wino z koszykiem gorących grzanek.

- Państwo młodzi w tej chwili zapewne siedzą już przy komputerach, przygotowując kontrakty - zażartował. - Wciąż trudno mi się pogodzić z myślą, że z małej Kristy wyrosła kuta na cztery nogi bizneswoman.

- Szkoda, że jej nie widziałeś, jak oznajmiła kwiaciarzowi, że ma wziąć się od roboty, jeśli chce jeszcze w życiu zobaczyć jakieś zlecenia od Aquilonów. Potem już wszystko było na czas, jak w zegarku.

Roześmiali się oboje. Poczuł, że opuszcza go napięcie. Kolacja przebiegała przyjemnie. Od jutra on będzie siedział po uszy w swojej nowej pracy, a ona w swojej.

Przez chwilę zastanawiał się, czy los nie płata im jakiegoś diabelskiego figla, rzucając oboje jednocześnie w to samo miejsce w ramach awansu zawodowego. Caileen była z tego zadowolona, ale Zia nie wykazywała jak

dotąd większego entuzjazmu. Z drugiej strony nigdy nie była specjalnie komunikatywna.

Może dlatego nie wyszła za mąż, czym z kolei jej matka bardzo się martwiła. Podczas wesela podsłuchał, jak Caileen szepce do stryja, że byłoby dobrze, gdyby Zia już sobie kogoś znalazła.

- Czy nie jesteś trochę za młody na dyrektora okręgowego zarządu? - spytała Zia, przerywając rozmyślenia Jeremy'ego.

- Jestem tylko trzy miesiące młodszy od ciebie - odparł, powściągając irytację - a ty jesteś inspektorem do spraw programowych całego hrabstwa. - Uniósł kieliszek w toaście.

- Jednak dyrektor okręgu na szczeblu rządowym to coś więcej. Myślałam o odpowiedzialności... no ale ty nigdy nie uchylałeś się od odpowiedzialności, prawda?

Jej błękitne oczy spotkały się z jego wzrokiem i przez chwilę oboje wspominali inne miejsce i inną noc, która wydawała się teraz złym snem.

- Miałeś siedemnaście lat, kiedy uciekłeś z Tonym i Kristą i przez rok żyliście samodzielnie. Dotąd nie wiem, jakim cudem nie umarliście z głodu.

- W lecie żywiliśmy się na polach. W zimie pracowałem w sklepie warzywnym. Dostawałem wszystkie odrzucone produkty za darmo. Plamka na jabłku nie odstraszała nas.

- Błyskawicznie nadrobiłeś rok zaległości i skończyłeś college w tym samym roku co ja. Pamiętasz kursy historii, na które chodziliśmy razem?

- Tak. Śpieszyłem się, żeby stanąć na własnych nogach i ruszyć do przodu.

- Z czym? - spytała z łagodną ironią.

- Z karierą. Życiem.

- Życiem... - powtórzyła, a oczy jej pociemniały, jakby przypomniała sobie o czymś smutnym.

Znów poczuł znajome ukłucie w sercu. Wzruszył ramionami. W końcu sama wybrała swoje życie. On miał dosyć własnych problemów ze swoim nowym stanowiskiem i związanymi z nim trudnościami.

Po kolacji złożonej z imponującego steku z pieczonymi ziemniakami, Jeremy zamówił kawę, a Zia herbatę z mlekiem i cukrem trzcinowym. Przypomnił sobie, że zawsze wolała herbatę niż deser, że rzadko jadła pieczywo do obiadu i nigdy nie pozwalała sobie na coś tak dekadentckiego jak masło. Uwielbiała jednak czekoladowe ciastka z orzechami i wychwalała pod niebiosa Kristę, która piekła je specjalnie dla niej.

Zastanawiał się, czemu przychodzą mu do głowy takie drobiazgi, skoro jest tyle innych, bardziej poruszających wspomnień. Nigdy nie spytał, ani wtedy, ani w późniejszych latach, dlaczego właśnie jego wezwała na pomoc tamtej nocy. Tej strasznej nocy, kiedy poroniła...

Rozdział 2

Kiedy zadzwoniła do niego, mówiła tylko, że bardzo potrzebuje, by ją szybko gdzieś zawiózł. Na dworze panowały wtedy niesamowite ciemności, jedynie cienki sierp księżycy wychodził ponad drzewa rosnące nad strumieniem. Jeremy bez zwłoki ruszył na wezwanie Zii, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać.

Zaparkował używaną półciężarówkę przed domkiem kempingowym. Stare obozowisko wędkarzy, obecnie należące do parku narodowego, pozostawało zamknięte do czasu remontu generalnego. Wokół nie było żadnych samochodów. Poprzez zasłony, z okien starego domku sączyło się światło.

Wysiadł z samochodu, cicho zamykając drzwi za sobą. Czuł niepokój. Dlaczego go wzywała? Nie byli sobie w żaden sposób bliscy, mimo że coś zaczynało się już zawiązywać między jej matką a jego stryjem.

Co więc mogło oznaczać jej wezwanie?

Siląc się na spokój, podszedł do drzwi domku i cicho zastukał.

- Zia? To ja, Jeremy.

- Zaczekaj - odpowiedziała dziwnym, ochryłym szeptem, jakby się dusiła.

Sekundy płynęły nieznośnie powoli, wreszcie usłyszał dźwięk odsuwanej zasuw. Przekręcił klamkę, wszedł do środka i zmartwił ze strachu.

Dziewiętnastoletnia Zia wyglądała jak staruszka, jej piękne oczy zapadały się niemal w trupiobladej twarzy.

- Co się dzieje? - spytał, kiedy przysiadła na zmiętym śpiworze rzuconym na łóżko polowe.

Zacisnęła usta i zgięła się w pół, chwytając za kolana. Skręcała się z bólu. Przez koszulkę trykotową i legginsy widać było spazmatyczne skurcze brzucha. On też poczuł ucisk w żołądku. Nie wiedział, co się dzieje, ale czuł, że nic dobrego.

Przysiadł obok niej i objął ją ramieniem. Odgarnął jej włosy do tyłu, żeby móc przyjrzeć się jej twarzy.

- Co się dzieje? - powtórzył przerażony.

- Poronienie - odparła z wysiłkiem. - Chyba.

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Chociaż przeszedł kurs pierwszej pomocy, nie był przygotowany na nagły wypadek tego rodzaju. Trzymał ją, dopóki skurcze nie ustały - wtedy z westchnieniem odsunęła się od niego.

- Dzięki, że przyjechałeś. - Spojrzała na niego ze słabym, przeproszającym uśmiechem. - Byłeś jedyną osobą, która mi przysłała do głowy... której mogłam zaufać.

- Czy nie powinniśmy jechać do szpitala, albo coś w tym rodzaju? - spytał, zastanawiając się, gdzie są jej wszyscy przyjaciele. Należała przecież do śmietanki towarzyskiej uniwersytetu.

- Zaraz - wydyszała. Znów zgięła się w pół, chwytając za kolana. - Pomóż mi dojść do łazienki.

Objął ją w pasie, niosąc nieomal do sąsiedniego pomieszczenia. Pot spływał mu po twarzy, piersiach, plecach.

W łazience spojrzała na niego z udręką. Nie musiała nic mówić, zrozumiał. Cofnął się, zostawiając drzwi uchylone, na wypadek gdyby go potrzebowała.

Uczesała się w odrapanym lusterku, zebrała włosy w gumkę i ochlapała twarz wodą. Luźne loki wokół szczupłej twarzy sprawiały, że

wyglądała niemal jak rówieśnica jedenastoletniej Kristy. Ze ściśniętym sercem słuchał jej głębokich oddechów i tłumionych jęków.

Kiedy stanęła w drzwiach, znów objął ją w pasie i pomógł położyć się na łóżku polowym. Posłuszny poleceniom Zii, pozbierał jej rzeczy i zatarł wszelkie ślady bytności w domku. Zaniósł rzeczy do samochodu i wrócił po dziewczynę.

- Daj mi jeszcze chwilkę poleżeć - poprosiła. - Biedny Jeremy, pewnie się teraz martwisz, że po tym, jak oddałeś mi krew i uratowałeś życie, będziesz się musiał troszczyć o mnie do śmierci? - dodała, uśmiechnąwszy się lekko.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Mówiła prawdę. Parę miesięcy wcześniej kibicowała nielegalnym wyścigom samochodowym. Dwa samochody otarły się o siebie i kawałek niklu odpadł, raniąc ją w szyję. To był jeden z tych dziwnych figli, jakie lubi płać los. Straciła sporo krwi. Jeremy i jego stryj Jeff, jako posiadacze tej samej grupy, zostali wezwani przez szpital i poproszeni o oddanie krwi.

Wtedy nie wiedział jeszcze, że ich ścieżki życiowe splecą się poprzez więzy rodzinne...

Upił kawy. Czas wracać do terażniejszości. Znów siedział w przestronnym wnętrzu Green River. Czuł, że przyglądają się im inni goście restauracji. Zia wszędzie przyciągała uwagę, choć, jak zwykle, wydawała się tego zupełnie nieświadoma.

Spojrzał na bliznę z boku jej szyi, mimo upływu lat nadal widoczną nad kołnierzykiem.

- Do końca roku nosiłam golf, żeby nikt nie widział blizny - powiedziała, idąc za jego spojrzeniem. Dodała mleko i cukier do parującej herbaty.

- Przepraszam, zagapiłem się. - Przeniósł wzrok na niebo, teraz już granatowe. W oddali widać było lecącą samotnie dziką kaczkę.

- Myślałeś o przeszłości - odgadła. - Ja też. Nie wiem, jak mogłam postawić cię w takiej sytuacji. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić.

- Zastanawiałem się, czemu nie zadzwoniłaś do Sammy'ego.

- Raz już mnie zawiódł. - Piękna twarz Zii spochmurniała. Nigdy jej jeszcze takiej nie widział. - Nie miałam zamiaru ponownie narażać się na coś takiego. Moja najlepsza przyjaciółka zawiozła mnie do tego domku i obiecała, że nie powie nikomu, gdzie jestem. Nie chciałam dzwonić do niej w środku nocy. Rodzice na pewno zaczęliby ją wypytywać, dokąd jedzie.

- Więc tylko ja zostałem.

- Tak - Upiła herbaty, patrząc na Jeremy'ego sponad filiżanki. Parująca herbata dodawała jej spojrzeniu tajemniczości. - Od tej pory starałam się już nie wciągać cię w moje kłopoty.

- To były jeszcze jakieś dalsze kłopoty? - spytał. Potrząsnęła głową. Delikatne loki poruszyły się przy skroniach. Przypomniawszy sobie, jak miękkie wydały mu się ten jeden raz, kiedy im się przyglądał. Tamtej nocy sprzed lat, już po północy wziął ją na ostry dyżur. Lekarz zbadał Zię i stwierdził, że nic poważnego się nie dzieje.

- Ponad pięćdziesiąt procent pierwszych ciąż ulega poronieniu. Po prostu organizm trenuje, zanim weźmie się do tego na poważnie - pocieszał ich życzliwie, sądząc, że są parą.

Żadne z nich nie sprostowało. Zrzucili się na zapłacenie rachunku. Później Zia przesłała mu czek na sumę, którą za nią założył. „Będę Ci wdzięczna do końca życia”, dopisała na blankiecie.

- W gruncie rzeczy od tamtej pory moje życie jest bardzo spokojne i bezproblemowe. Odpowiada mi to.

- U mnie to samo.

- Żadnych poważnych zobowiązań, od których serce niespokojnie bije?

- żartowała.

Skrzywił się. Zaskoczyło go jej pytanie. Kobieta, z którą się spotykał, postawiła sprawę jasno: nie ma zamiaru przenosić się z Cedar City w południowo-zachodniej części stanu do innego miasteczka na północnym wschodzie. Zerwali więc, bo oboje nie widzieli sensu w kontynuowaniu miłej, ale letniej w gruncie rzeczy znajomości. - Żadnych. A ty?

- Byłam dosyć poważnie związana z profesorem liceum w Provo, kiedy dostałam propozycję z Vernal. - Uśmiech na jej twarzy przygasł. - Byłam zawiedziona, że nie padł na kolana, błagając mnie, bym została. A potem dotarło do mnie, że ten awans ma dla mnie o wiele większe znaczenie niż to, czy z nim zostanę.

- Nie kochałaś go - mruknął Jeremy.

- Zależało mi na nim, ale nie chciałam wiązać się na całe życie. - Oczy jej pociemniały. - Nie wiem, czy to się zmieni.

- Nie powinnaś była dopuścić, by bęcwał w rodzaju Sammy'ego zaważył na twoim podejściu do związków - zauważył.

- Tak nie jest. Chyba. - Westchnęła. - Mimo to mama się niepokoi. Przy okazji ślubu Kristy na różne sposoby dawała mi do zrozumienia, że jestem zbyt wybredna. Przez grzeczność nie wspomniałam, że jej pierwsze podejście do małżeństwa skończyło się zupełnym fiaskiem.

- A tego się właśnie boisz? Rozvodu?

- Niczego się nie boję - odparła chłodno. - Przepraszam. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało ostro. Po prostu, chyba nie spotkałam jeszcze tego jedyne.

- Hm, to tak jak ja.

- Wszystkie moje przyjaciółki uważały cię za przystojniaka - mruknęła, już lżejszym tonem. - Kiedy przyjeżdżałeś na ferie, wpadały da nas pod byle pretekstem, żeby rzucić na ciebie okiem. Zauważyłeś?

Pokręcił głową.

- Za bardzo byłem skoncentrowany na studiach. Zależało mi na stopniach i zaliczeniach. Nie chciałem, żeby coś stanęło mi na drodze.

- To samo radziła mi mama, kiedy zaczęłam chodzić z Sammym. Nigdy nie miałam odwagi przyznać jej racji.

- To było dawno - uspokoił ją, słysząc w jej głosie nutę żalu. - Byliśmy tacy młodzi.

- Młodzi - powtórzyła, odgarniając kosmyk włosów z twarzy - młodzi i głupi. Czy to zawsze musi iść w parze?

Zaśmiała się, a on jej zawtórował. Jednak nie widział nic śmiesznego w tym, co powiedziała Zia. Współczuł jej. Jej zaufanie do mężczyzn zostało wystawione na ciężką próbę, z której najwyraźniej nie wyszła zwycięsko. Jednak co było, minęło. Czuł, że może uczciwie zameldować Caileen, że Zia cała i zdrowa wylądowała na nowym terenie.

- Lecimy? - spytał, widząc, że dziewczyna z trudem powstrzymuje się od ziewania.

Zia przyglądała się dwupiętrowemu budynkowi, w którym od sierpnia miała pracować. Pozostało jej kilka tygodni na znalezienie domu, sprowadzenie mebli z przechowalni i zagospodarowanie się. To sporo czasu.

Na razie przeglądała wszystkie swoje książki o ciągłości nauczania przedmiotów podstawowych w klasach od pierwszej do dwunastej.

Z badań wynikało, że po sześciu tygodniach poza szkołą dzieci zapomniały większość tego, czego je nauczono. Znaczyło to, że nauczyciele na początku nowego roku szkolnego powinni poświęcać przynajmniej

miesiąc na powtórkę starego materiału. Miała nadzieję, że uda jej się skrócić ten czas do dwóch tygodni. Liczyła też na to, że uda jej się wprowadzić zmiany w harmonogramie semestralnym.

Jakiś terenowy samochód wjechał na parking i zaparkował tuż obok niej. Zia z zaskoczeniem stwierdziła, że to Jeremy. Opuścił szybę.

- Oglądasz swoje nowe królestwo?

Skinęła głową trochę zawstydzona, że tak łatwo ją rozszyfrował.

- Chciałam zobaczyć, gdzie stoi ten budynek i poznać układ miasta.

- Gdzie twój samochód?

- Przyszłam na piechotę z hotelu. Potrzebowałam trochę ruchu po wczorajszym dniu przesiedzianym za kierownicą.

- I bardzo dobrze. Ja jadę na most, na południe stąd, w stronę kanionu Desolation. Zobaczyłem cię z parkingu przy budynku zarządu i pomyślałem, że może będziesz miała ochotę się przejechać. Obiecuję ładne widoki.

Biura znajdowały się naprzeciwko sądu. Przysadzisty budynek kuratorium za sądem musiał być zatem dyrekcją okręgową wydziału transportu. Nie wiedziała, że będą pracować tak blisko siebie.

- Pewnie nie chcesz dać się znowu zamknąć w samochodzie? - ciągnął Jeremy, mimo że nie odpowiedziała w żaden sposób na jego propozycję.

Odwróciła się.

- Przepraszam. Myślałam o pracy. Jeśli jesteś pewien, że nie będę ci przeszkadzać, chętnie obejrzę coś ładnego - odparła pod wpływem niejasnego impulsu.

- Wskakuj - zachęcił z ujmującym uśmiechem.

Kiedy wyjeżdżali z miasta, zachichotała na widok witającego przybyszów dinozaura.

- Trzeba czasu, żeby się z tym oswoić - powiedział Jeremy.

- Dlaczego jest różowy?

- Sam chciałbym wiedzieć.

Przyjemnie było z nim żartować, mieć kogoś, z kim czuła się swobodnie. Jeremy był jedyną osobą, która знаła mroczne sekrety jej przeszłości, nie musiała więc mieć się przy nim na baczności, jak przy rodzinie i przyjaciółach z Idaho. Prawdę mówiąc, od wieków nie czuła się z nikim tak swobodnie, być może od czasu, gdy miała dziewiętnaście lat.

To już przeszłość - upomniała się nerwowo. Kiedy zdecydowała się przyjąć nową posadę, obiecała sobie, że przeprowadzka będzie dla niej początkiem nowego życia. Błędy i żale zostaną wymazane, a ona zacznie wszystko z czystym kontem, od nowa.

Czy to możliwe? Przygnębienie, w jakie popadła od czasu ślubu Kristy, zachwiał jej postanowieniami i teraz straciła przekonanie, czy dokonała słusznego wyboru.

Spojrzała na swojego towarzysza. Jak na ironię, jedyna osoba, która znała wszystkie tajniki jej naiwnego, zdradzonego serca, była przy niej, przywołując teraz jej dawne marzenia.

- Spójrz - powiedział cicho, wskazując na poszarpane grzbiety gór. - Góry Uinta w tej okolicy wyróżniają się tym, że biegną ze wschodu na zachód, a nie z południa na północ jak inne pasma. Mamy tu jedenaście szczytów przekraczających cztery tysiące metrów. King's Peak, ma 4236 metrów i jest najwyższy w całym stanie. - Urwał. - Nie nudzę cię jako przewodnik, którego nie zamawiałaś?

- W żadnym razie. Lubię wiedzieć wszystko o okolicy, w której mieszkam. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że są tutaj kaniony i skały równie imponujące jak Wielki Kanion.

- Oczywiście, choćby Desolation Canyon i Green River. Doskonale do spływu tratwą.

- Byłeś na takim spływie?

- Parę razy. Bardzo przyjemne zajęcie.

- Jeśli się lubi ryzykować życie - mruknęła cierpko. Zaśmiał się niskim, schrypniętym głosem. Dziwny dreszcz przebiegł jej po plecach. Spotkanie Jeremy'ego z dala od ich rodzinnego miasteczka zmieniało całkowicie ich relacje, jakby przeszłość przestała się liczyć.

Nachmurzyła się. Kolejna przykra myśl odebrała jej przyjemność podziwiania krajobrazu. Nie była typem poszukiwaczki przygód. Nie lubiła niespodzianek i zamieszania. Nie była już czterolatką, której mieszkanie w przyczepie i surfing na czubku fali wydawały się szczytem szczęścia. Nie była wcale taka pewna, że zjadła wszystkie rozumy, jak w wieku lat dziewiętnastu.

Młoda i głupia? Cóż, tak właśnie było.

Kiedy Jeremy zjechał z szosy na punkt widokowy, Zia wysiadła podziwiać krajobraz. Ale widok nie uspokoił jej, a ponure myśli nadal krążyły nad nią jak gradowe chmury.

Na zachodzie wznosiły się skały Badlandu. Na wschodzie widać było ujście rzeki. Stali z Jeremym na wysokości dwóch tysięcy metrów, na oddzielającym je płaskowyżu. Łagodny powiew z kanionów owiewał ich twarze, ale gdy Jeremy zbliżył się do niej, poczuła znów gorąco,

- Popatrz - szepnął jej wprost do ucha. - Tam, na krawędzi skały. To chyba kozica.

Zobaczyła białą plamę poruszającą się w oddali. Kozica górską przebiegła po stromym zboczu, po czym zniknęła za granią.

- Jak one dają sobie radę na takiej stromiźnie? - zdziwiła się.

- Muszą mieć jakieś przyssawki pod kopytami. Roześmiał się, omiatając oddechem jej skroń. Odruchowo zwróciła twarz ku niemu; wziął ją przez zaskoczenie. Wciągnęła gwałtownie powietrze. Ich usta dzieliło zaledwie kilka centymetrów. A ona chciała...

Jego oczy z dziwnymi zielonymi cętkami wokół źrenic wpatrywały się w nią, jakby wiedział, czego ona pragnie. W końcu Jeremy się odsunął.

- Chodźmy lepiej - mruknął. - Droga jest krótka, ale bardzo kręta.

Przez resztę spaceru milczeli, choć Zia okrzykiem zachwytu witała każdą panoramę, która odsłaniała się za kolejnym zakrętem.

Po budowie kręciło się około trzydziestu osób. Większość kierowała maszynami budowlanymi, które pochłaniały potężne kęsy gleby i przesuwały głazy, jakby to były dziecinne klocki. Zia z przyjemnością odnotowała, że jedną z olbrzymich maszyn kieruje kobieta, a inna, wyraźnie w ostatnim trymestrze ciąży, wchodzi właśnie do przyczepy z tabliczką: „Biuro”.

Jeremy prowadził ją właśnie w tym kierunku.

- Tina Ramsey, Zia Peters - przedstawił ją ciężarnej. - Tina jest moim zastępcą do spraw technicznych i dba o to, żeby wszystko tutaj szło jak należy. Zia jest nowym inspektorem programowym w kuratorium naszego hrabstwa. Jest w mieście od wczoraj.

- Miło mi - powiedziała młoda kobieta. - Mieszkasz w hotelu Residential? Wszyscy się tam zatrzymują po przyjeździe.

- Tak. Wynajęłam pokój z kuchnią na miesiąc i rozglądam się za czymś własnym - odparła Zia przyjaźnie.

- Mój kuzyn Joe pracuje w nieruchomościach. Powinnaś z nim porozmawiać. Chcesz coś wynająć czy kupić?

- Najchętniej kupiłabym jakiś niewielki dom.

- To nie będzie łatwe - pokręciła głową Tina. - Ludzie nie chcą się stąd ruszać. - Jej śmiech był zaraźliwy. - Czytałam w lokalnej prasie, że reforma szkolna w naszym hrabstwie jest uzależniona od tego, czy dostaniemy państwowe dotacje. Pisali tam też o tobie.

Zii podobała się młoda, energiczna kobieta. Była przyjazną i bardzo ładną brunetką o gęstych włosach sięgających prawie do pasa. Miała jasną cerę i fascynujące szare oczy, które rozświeślały się, kiedy mówiła.

- Mam dla ciebie rachunki za załadunek do przejrzenia - Tina zwróciła się teraz od swojego szefa. - Chcę też, żebyś podpisał nadliczbowe godziny z zeszłego tygodnia.

Zia popatrywała przez okno przyczepy na ruchliwy plac budowy. Jeremy dopiero zaczął pracować w tym miejscu, ale oboje z Tiną sprawiali wrażenie zgranego tandemu.

Zia nie była skora do zawierania znajomości. Dla niej przyjaźń musiała dojrzewać powoli. Dopiero czas pozwalał ją wypróbować. Jej podejście do ludzi zmieniło się bardzo od czasu, kiedy skłonna była do pochopnych osądów. Może przyszła pora zacząć ufać ludziom bez dawnej podejrzliwości?

- Chodźmy, oprowadzę cię - zaproponował Jeremy. Podobnie jak jego stryj, był jedną z najszlachetniejszych osób, jakie poznała w życiu, rozmyślała, idąc za nim. Nigdy nie zawiódłby w potrzebie...

Wziął ją pod rękę i wyprowadził na zewnątrz, przerywając jej rozmyślenia.

Wąwóz, nad którym miał przechodzić most, był wąski i głęboki. Rzeka w tym miejscu płynęła wartko wśród głazów wielkich jak samochody. Krajobraz po obu stronach był piękny, ale jego nieskrywana dzikość nie zachęcała do osadnictwa.

- To będzie filar mostu łukowego.

- Łukowego?

- Jezdnia będzie się wspierać na wierzchołku łuku ze stalowych belek wspartego o brzegi rzeki. To dość prosty typ konstrukcji i bardzo wytrzymały. Chińczycy używali tej techniki parę tysięcy lat temu, tylko, że ich mosty były zbudowane z powiązanych kłód, a jezdnia miała również kształt łuku. Niestety, żaden z nich się nie zachował, znamy je tylko z rycin.

Zanim przeszli na drugą stronę rzeki po niezbyt pewnej -w odczuciu Zii - kładce, dowiedziała się o wiele więcej na temat mostów, niż było jej to potrzebne. W oczach Jeremy'ego tliło się rozbawienie.

Kładka przypominała drabinę przerzuconą nad wąwozem ze śliskimi linami w charakterze poręczy. Robotnicy prawdopodobnie przechodzili przez nią pewnym krokiem, jak kozica, którą widzieli nie tak dawno.

Zia uważnie stawiała kroki, świadoma, że jakieś dziesięć pięter niżej szaleje wodna kipiela, a między deskami kładki są prześwity, przez które nietrudno spaść.

- Bardzo dobrze to zniosłaś - pochwalił Jeremy, kiedy wrócili do baraków. - Niektórzy ludzie nie znoszą widoku pustki pod sobą. Paraliżuje ich strach.

- To nie była pustka - skomentowała cierpko. - To była rzeka pędząca z szybkością stu kilometrów na godzinę trzydzieści metrów pod nami.

Robotnicy, do których dotarły słowa Zii, ryknęli radosnym śmiechem. Jeremy dołączył do nich. Zdobyła się na słaby uśmiech..

- Dochodzi południe - stwierdził Jeremy. - Masz ochotę na lunch?

- Tutaj?

- Mamy kantynę w namiocie.

- Mam nadzieję, że jest po tej stronie rzeki. Skrzywiła się, gdy wszyscy znów wybuchnęli śmiechem, po czym weszła za Jeremym do pawilonu o blaszanym dachu i brezentowych ścianach. Pawilon stał za przyczepą z biurem.

- Ojej, macie tu klimatyzację!

- W lecie robi się strasznie gorąco, a robotnicy potrzebują trochę wytchnienia od upału - wyjaśnił Jeremy. - Nie chodzi o luksus.

Tego dnia było około trzydziestu stopni, ale już w sierpniu temperatury podskoczą do czterdziestu stopni w ciągu dnia. W nocy spadały do dziesięciu, czasem prawie do zera. Choć lata były tu zazwyczaj suche, burze przynosiły gwałtowne ulewy. Pustynne wyżyny nie były miejscem dla bez troskich turystów. Podeszli do bufetu, który oferował kilka gatunków sałatek i wędlin, po czym siedli do długiego stołu, przy którym siedziały już dwie kobiety. Zia rozpoznała w jednej z nich operatorkę maszyny budowlanej, którą zauważyła po przyjeździe.

- Paula i Marti, a to jest Zia - przedstawił je sobie Jeremy.

- Jak się nauczyłaś kierować taką wielką maszyną? - spytała Zia, ściskając dłoń Marti, mniej więcej czterdziestoletniej, energicznej blondynki.

- W szkole - odparła. - W technikum maszyn budowlanych uczyli nas obsługi najróżniejszych urządzeń. Mój ojciec prowadził zakład napraw drogowych, ale nie chciał się zgodzić, żebym u niego pracowała. Postanowiłam więc udowodnić mu, że kobiety nie gorzej od mężczyzn potrafią siedzieć za sterami buldożerów.

- Jest jedną z najlepszych - wtrącił Jeremy. - Zgodziła się przyjechać tutaj znad Jeziora Słonego, kiedy pokazałem jej artykuł o reformie naszych szkół. W pewnym sensie pomogłaś mi ją ściągnąć.

- Mam syna w szóstej i córkę w czwartej klasie - wyjaśniła kobieta. - Nie byłam pewna, czy szkoły tutaj będą równie dobre jak w mieście.

- Modernizacja programu nauczania to nowy projekt rządowy, wdrażany w kilku stanach. Jestem nim bardzo podekscytowana - powiedziała Zia.

Przez większość lunchu omawiały z Marti sytuację w miejscowych szkołach. Zia zerknęła na Jeremy'ego. Przyglądał się im z zamyślonym uśmiechem. Odwzajemniła uśmiech i powróciła do rozmowy.

Jeremy, Tina i kobieta z wydziału komunikacji, która zajmowała się finansami rozmawiali tymczasem o problemach na budowie. Zia przysłuchiwała się im, kiedy Marti wróciła do swojej pracy.

Niewątpliwie o przeniesieniu Jeremy'ego z budowy w okolicach kanionu Bryce do hrabstwa Uinta zdecydowały czynniki finansowe. Budowa mostu opóźniała się, a dotychczasowy wykonawca już przekroczył budżet. Zadaniem Jeremy'ego było przyspieszyć roboty i dopilnować ich należycie.

Słuchając go, czuła, że jest z niego dumna. Wydawał się znakomicie panować nad sytuacją. Widać było jak na dłoni, że obie kobiety respektują jego decyzje bez dyskusji. Cieszyła się, że tak dobrze wystartował w nowym miejscu.

Po pierwszej byli już z powrotem w drodze na północ, do miasta.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał.

- Bardzo. Widoki rzeczywiście były niesamowite, a budowa bardzo interesująca. Czuję się specjalistką od budowy dróg i zaskoczę moich przyjaciół, wyjaśniając im arkana budowy mostów łukowych.

Roześmiał się serdecznie.

Kiedy wjechali w granice miasta, posmutniała. Bawiła się dobrze, może nawet za dobrze. Nie może przecież ciągle liczyć na towarzystwo Jeremy'ego. Nie byłoby to uczciwe wobec niego. Powinien szukać kobiety swego życia.

Jej matka wspominała, jak bardzo martwi się Jeremym i tym, że dotąd się jeszcze nie ożenił. Caileen sądziła, że ciążyło na nim trudne dzieciństwo. Jego ojciec umarł bardzo młodo na zawał, potem stryj - środkowy z braci Aquilonów - przewrócił się w ciężarówce w śnieżną noc i zamarzył na śmierć, zanim go odnaleziono. Zanim wylądował wreszcie bezpiecznie u stryja Jeffa, kolejne rodziny zastępcze nauczyły go prawdopodobnie ostrożności w uczuciach. Ona odebrała podobną lekcję od Sammy'ego.

Nie sądziła, by Jeremy szczególnie ją lubił. Wiedziała, że od chwili, kiedy się poznali, uważał ją za krnąbrną jedynaczkę, która bez powodu przysparza matce zmartwień. W porównaniu z Kristą i Tonym, bitymi przez opiekuna, czy Jeremym, którego ojciec nagle przewrócił się i już nie wstał, miała łatwe życie.

Po prostu za łatwe. Może dlatego z takim trudem je znosiła?

- Przede mną nie musisz udawać - powiedział z powagą, gdy dojeżdżali do hotelu.

- Nie udaję, Jeremy - obruszyła się Zia. - Naprawdę świetnie się dzisiaj bawiłam. Widoki były wspaniałe. Dobrze mi się rozmawiało z twoimi koleżankami z pracy. - Urwała. - Wczoraj wieczorem byłam naprawdę zmęczona, więc chyba nie byłam zbyt atrakcyjną towarzyszką. Przykro mi, jeśli cię w jakiś sposób rozczarowałam.

- Nie to miałem na myśli. Przyszło mi tylko do głowy, że mogłaś się czuć zobowiązana do, hm, okazywania mi przyjaźni. Chciałem ci powiedzieć, że nie musisz. Nie musimy się widywać.

Odchyliła głowę na oparcie siedzenia.

- Jesteśmy parą głupców. - Zaśmiała się cicho. - Myślałam, że jesteście miły, bo czujesz się zobowiązany zadbać o mnie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mama dzwoniła i kazała ci sprawdzić, czy dojechałam. Jakbym była dziesięciolatką, która pierwszy raz samodzielnie podróżuje. To przechodzi ludzkie pojęcie! - skończyła rozbawiona.

- No to wreszcie oboje mamy jasność - podsumował. -Koniec chińskich uprzejmości.

- Zgoda. Możemy dzwonić do siebie czasem, żeby Jeff i Caileen się nas nie czepiali, poza tym jednak chodzimy własnymi drogami.

- Umowa stoi.

Kiedy zaparkował przed hotelem, wyskoczyła, zanim zdążył wysiąść.

- Jeszcze raz dziękuję za wycieczkę. Jak tylko znajdę dom, zaproszę cię na obiad.

- Domowy obiadek w stylu twojej mamy byłby nie do pogardzenia. Pieczeń Caileen...

- Potrafię - zapewniła go. - Dam ci znać, jak się urządzę. Zgoda?

Skinął głową. Zia zatrzasnęła drzwiczki terenówki i ruszyła do swojego pokoju. Na werandzie odwróciła się, odprowadzając go spojrzeniem. Wyjaśnienie sytuacji przyniosło jej sporą ulgę. Kto wie, może nawet uda im się zostać przyjaciółmi?

Przyjaciółmi, jakich wiele, dodała w myślach, wchodząc do przyjemnego pokoju. Dobrymi znajomymi, z którymi chętnie zamieniasz parę słów, kiedy wpadniecie na siebie na mieście. Którzy czasem idą razem na kawę albo na lunch. Żadnych męsko-damskich ceregieli.

W ich przypadku nic więcej nie wchodziło w rachubę. Przeszłość zawsze czekała za rogiem, gotowa wyskoczyć w każdej chwili,

przypominając, dlaczego nie ma ochoty na żadne powtórki z błędów młodości. On chyba też wolał jej unikać.

A jednak, kiedy tańczyła z nim na weselu, nie myślała ani przez chwilę o przeszłości. Przeciwnie, jej niemądre serce snuło fantazje na temat przyszłości wypełnionej wszystkimi cudownymi rzeczami, jakie się mogą wydarzyć prawdziwie kochającej się parze.

Powróciła głęboka tęsknota za... innym życiem. Może jej marzenia spełnią się tutaj, w Vernal.

Z westchnieniem zagłębiła się w fotelu, patrząc przez okno na wspaniałą panoramę górskich grzbietów. Dotrzyma słowa i zaprosi Jeremy'ego na obiad, a wtedy... uwolni się od zobowiązań wobec niego.

Rozdział 3

- Dziękuję za pomoc. Jeśli zobaczę coś ciekawego przez weekend, zadzwonię w poniedziałek. - Zia uściśniła dłoń agenta nieruchomości.

- Ja też dziękuję - odparł Jim Ramsey. Skontaktowała się z kuzynem Tiny Ramsey od razu w poniedziałek.

Jim był jej rówieśnikiem. Masywny i trochę od niej niższy, ale za to towarzyski i gadatliwy, z entuzjazmem przystąpił do szukania domu dla Zii.

Jednak tygodniowe poszukiwania - był już piątek - nie nastrajały zbyt optymistycznie.

- Stale pojawia się coś nowego na rynku - pocieszał Jim. -Znam też kilka innych domków na sprzedaż, niektóre w mieście, inne w okolicy.

- Zastanowię się.

- Na pewno nie chcesz, żebym cię podwiózł do hotelu? Pokręciła głową.

- Przejdę się. Lubię ruch.

Ruszyła ulicą, zostawiając Jima przed biurem pośrednictwa nieruchomości, które mieściło się dwie przecznice od kuratorium. Jedno trzeba było przyznać małym miasteczkom - wszędzie było blisko.

Przechodząc obok siedziby dyrekcji wydziału transportu, szybko rozejrzała się po parkingu. Zauważyła samochód Jeremy'ego przy bocznym wejściu.

- Cześć. - Właśnie wyszedł, wpadając prosto w jej objęcia. Znów ją zaskoczył, podobnie jak w zeszły piątek, kiedy przybyła do miasta. Jakby nagle duch zmaterializował się przed nią, jakby go przywołała myślami.

- Cześć, Jeremy - rzuciła i urwała, bo nagle, nie wiedzieć czemu, zabrakło jej tchu.

Miał na sobie ciemne spodnie, białą koszulę i krawat. Marynarkę przewiesił przez ramię. W letnim stetsonie wyglądał jak bohater jakiegoś westernu wracający z sesji fotograficznej dla eleganckiego czasopisma. -Jak leci?

- Jeśli pytasz o poszukiwania domu, to nie bardzo. -Uśmiechnęła się, żeby nie pomyślał, że narzeka.

- W czym rzecz?

- Obawiam się, że moje gusta przerastają mój portfel. Roześmiał się; jego zęby wydawały się śnieżnobiałe w kontraście ze smagłą cerą. Miał zabójczy uśmiech, który rozświetlił całą jego twarz, uprzytamniając Zii kolejny raz naturalną urodę i męski wdzięk Jeremy'ego. To właśnie one w swoim czasie przyciągały do niego jej przyjaciół.

- Idę na lunch. Towarzystwo mile widziane. Idziesz ze mną?

Zawahała się, po chwili jednak skinęła głową.

- Właśnie wracam z polowania na domy z Jimem Ramseyem.

- Kuzynem Tiny? Faktycznie, była o nim mowa.

- Owszem. Jim bardzo dobrze orientuje się w okolicy. Byliśmy we wschodniej części miasta, wyjechaliśmy nawet poza Vernal.

- Mój dom też jest po tamtej stronie. - Wziął ją pod rękę. - Kuchnia meksykańska czy zupa z kanapką? - Wskazał na dwie sąsiadujące restauracje.

- Meksykańska - zdecydowała. - Byłam wczoraj w barze kanapkowym. Pyszności! Właśnie właściciel baru namówił mnie, żeby szukać we wschodniej części miasta. Mówią, że ludzie zaczynają sprzedawać domki letniskowe, bo ceny spadają. Niektórzy są skłonni je wynajmować.

Weszli do restauracji. Popijając mrożoną herbatę z oszronionych szklanek, szybko wybrali dania i złożyli zamówienie.

- Lubię zdecydowane kobiety - oznajmił, kiedy kelnerka odeszła.

- Czyżbyś miał w przeszłości problemy z czyimś niezdecydowaniem?

- Tylko raz. Kiedy przez sześć miesięcy pracowałem w Salt Lake City, spotykałem się z dziewczyną, która prowadziła sklep z pamiątkami. Nie wiem, jakim cudem wybierała swój towar, skoro decyzja, co zjeść na obiad, zajmowała jej tydzień.

- Hm. Wasze spotkania musiały więc trwać bardzo długo.

- No dobrze, może tylko pół godziny, ale wydawało się, że tydzień. -
Uśmiechnął się kwaśno.

Pojawiły się sałatki, więc jedli w milczeniu. Zia próbowała znaleźć jakiś temat od rozmowy, ale jej myśli uporczywie krążyły wokół kobiety, której nie udało się go zdobyć.

- Domyślam się, że nie zaprosiłeś jej drugi raz?

- Zaprosiłem, ale znów było to samo. A kiedy zaprosiła mnie na grilla do przyjaciół, musiałem odmówić, bo właśnie zostałem przeniesiony na budowę do kanionu Bryce.

- Było ci to na rękę - stwierdziła lekko.

- Zgadza się. Łatwiej nam było wyjść z tego z twarzą.

- Myślę, że mężczyźni mają korzystniejszą sytuację, zwłaszcza jeśli to ty wykonałeś pierwszy ruch - powiedziała w zadumie. - Możesz po prostu do niej nie zadzwonić.

- A co jeśli ona zadzwoni?

- Wystarczy patrzeć na wyświetlacz, kto dzwoni, i pozwolić w razie czego odebrać sekretarce.

-I nie oddzwonić?

- Otóż to.

- Tak robią moje koleżanki z facetami, których nie chcą już widzieć.

Czy ta sama taktyka sprawdza się w odniesieniu do mężczyzn?

- Pewnie tak. Co? - spytała, kiedy się nachmurzył.

- Nie wydaje mi się fair tak zostawiać kogoś w niepewności.

- No to co byś zrobił, gdybyś nie chciał się z kimś widywać, a nie dostałbyś przeniesienia? - drażyła, choć zaczynała powoli być zła na siebie za idiotyczną ciekawość, która kazała jej podtrzymywać temat. Co ją obchodziło, jak Jeremy zachowuje się wobec kobiet!

- Powiedziałbym, że będę teraz zajęty przez kilka tygodni.

Co zwykle jest prawdą - dodał. - Dużo też wyjeżdżam poza miasto, na budowy.

- Moja przyjaciółka studiowała etykę. Twierdzi, że prawda podana w fałszywej intencji staje się fałszem. - Uśmiechnęła się, ciekawa, co na to odpowie.

- A jak jest z tobą? - Spytał, przyglądając się jej bacznie. - Co ty robisz, żeby pozbyć się niechcianych facetów? Musisz mieć takich telefonów na pęczki.

- Nie bardzo. Zwykle nie przyjmuję zaproszeń od mężczyzn, których dopiero poznałam. Umawiam się tylko z takimi, których znam od jakiegoś czasu. - Kiedy uniósł brwi, wyjaśniła: - Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia, zanim zostanę z nim sam na sam. To wiele upraszcza, nie uważasz?

- Tak - przyznał łagodnie. - Wiele upraszcza.

Coś w jego oczach kazało jej się zastanowić, czy nie powiedziała za wiele. Zapewne nie myślał nigdy o niej jako osobie tak ostrożnej w kontaktach z ludźmi. Swego czasu zachowywała się impulsywnie, nierozsądnie, a konsekwencje były oplakane.

- Wracając do rynku nieruchomości - przerwała, siląc się na swobodny uśmiech. - Co byś mi radził? Czy powinnam myśleć o kupnie?

- Jak ci się podoba twoja nowa praca? - odpowiedział pytaniem.

- Cóż, trudno jeszcze powiedzieć - odparła zaskoczona. - Rozmawiałam z nadinspektorem w poniedziałek, obejrzałam moje biuro we wtorek, a w środę spotkałam się z sekretarką wydziału szkolnictwa. Urzęduje chyba od dnia, w którym postawiono budynek kuratorium. Nie wiem, czy zostanę tu dłużej, niż opiewa moja trzyletnia umowa,

- Jesteś na trzyletniej umowie?

- Tak. To posada w administracji. Nie dostajemy stałego etatu, tylko podpisujemy umowę na czas określony, żeby wdrożyć swoje projekty i sprawdzić rezultaty. - Wzruszyła ramionami. - Jeśli sprawy nie będą toczyć się tak szybko, jak na to liczy departament szkolnictwa, będą musieli wykupić mój kontrakt, żeby się mnie pozbyć.

- Hm, w takim razie może powinnaś poczekać z kupowaniem domu, przynajmniej kilka miesięcy, dopóki nie będziesz mniej więcej wiedziała, na czym stoisz.

- Też tak myślę - westchnęła. - Ale znalezienie małego domu do wynajęcia nie jest takie proste.

- Dlatego właśnie ja kupiłem swój. Myślałem, że będę tutaj co najmniej przez dziesięć lat, ale potem dopadły nas znów kłopoty w rejonie południowo-zachodnim. Niemniej w czasie urlopów wkładam dużo pracy w mój domek. Teraz, kiedy stacjonujemy w okolicy, udaje mi się o wiele więcej zrobić.

- Jak długo, twoim zdaniem, pozostaniecie w tym okręgu?

- Planuję dociągnąć tutaj do emerytury. - Jego czarujący uśmiech przyprawił ją o dreszcz. - Chyba że zostanę dyrektorem biura transportu. Ale nie bardzo to widzę.

- Dlaczego?

- Zbyt wiele jest przy tym politycznych gier na szczeblu stanowym. Pokazałbym drzwi jakiejś grubej rybie i za chwilę sam bym przez nie wyleciał.

- Nie wierzę, zawsze wydawałeś mi się bardzo taktowny - zdziwiła się Zia.

Milczał przez chwilę.

- Z niektórymi ludźmi łatwiej być miłym niż z innymi. Ich oczy spotkały się na chwilę, która... mogła potrwać trochę dłużej.

„Z niektórymi ludźmi łatwiej być miłym niż z innymi... ” Myślała o tych słowach, kupując owoce, chleb i masło orzechowe w sklepie spożywczym, a potem w publicznej pralni, piorąc i susząc ubrania, które nosiła w tym tygodniu.

Później, kiedy zapadł zmierzch i na niebie dogasały wieczorne zorze, Zia jadła samotnie kolację na bocznej werandzie hotelu. Słowo „miły” rozbrzmiewało w jej głowie wielokrotnym echem, jak grzmot z odległych górskich szczytów.

Jeremy był miły dla wszystkich, którzy byli mniejsi i słabsi od niego. Jak cudownie zaopiekował się swoimi kuzynami, Tonym i Kristą, uwalniając ich od okrutnego opiekuna. Oboje wyrosli na porządnych, wartościowych obywateli, dzięki staraniom Jeremy'ego i stryja.

Każdy, kto poruszył jego serce, mógł liczyć na dozągoną miłość i troskę. Szczęśliwa kobieta, której się to uda.

Próbowała wyrzucić z myśli rozmowę przy lunchu, ale słowa i zdania wciąż do niej wracały.

Nagle zapragnęła, żeby Jeremy był teraz przy niej. Chciała go spytać o... o życie i o miłość i co to wszystko znaczy...

- Panna Peters?

Drgnęła na dźwięk swojego nazwiska. Recepcjonista z nocnej zmiany stał w rogu werandy.

- Tak, to ja.

- Telefon do pani. Czy przełączyć rozmowę na aparat w pokoju?

- Tak, poproszę. Dziękuję - odparła, pospiesznie wracając do siebie.

Telefon zadzwonił, ledwie weszła

- Halo?

- Zia?

- Tak. Kto mówi?

- Heather. Próbowałam cię złapać na komórkę, ale nie odpowiadałaś.

- Bateria się ładuje - wyjaśniła, na serio już zaniepokojona. Heather.

Stara przyjaciółka mamy. Mogła dzwonić tylko z jednego powodu.

- Co się stało? - spytała Zia, przygotowując się na złe wieści.

- Mama zachorowała. Jakiś stan zapalny. Karetka pogotowia wiezie ją do szpitala w Boise. Jeff jedzie z nią. Prosił, żebym cię zawiadomiła.

- Stan zapalny? Jaki? Gdzie?

- W pęcherzu i wątrobie. Wygląda na to, że doszło do zablokowania dróg żółciowych i zniszczenia większej części wątroby, zanim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje.

Zia próbowała spokojnie przeanalizować to, co usłyszała, jednak panika ogarniała ją błyskawicznie.

- Co będą z nią robili w tym szpitalu? - Boise było oddalone o godzinę od ich miasta, w którym był tylko mały szpital okręgowy.

- Najpierw muszą zlikwidować stan zapalny - powiedziała Heather po chwili wahania. - Doszło do krwotoku wewnętrznego. Tym również będą musieli się zająć możliwie szybko. Uszkodzenie wątroby jest dosyć poważne. Wygląda na torze... Zia, powinnaś raczej przyjechać do domu. I bez tego zdążyła już podjąć tę decyzję.

- Przyjadę rano. Do kogo jeszcze dzwoniłaś?

- Jesteś pierwszą osobą, która mi przyszła do głowy. Chcesz, żebym zadzwoniła do taty?

- Sama nie wiem. Nie. Zadzwonię jutro... kiedy będziemy wiedzieć więcej. - Przycisnęła dłoń do czoła. - Jeremy! Skontaktuję się z nim. Musimy zadzwonić do Tony'ego i Julianne. Krista i Lance nie wrócili jeszcze z podróży poślubnej. Są gdzieś w Europie. Ich może nie zawiadamiamy.

- Też tak sędzę. Jeff dał mi notes z telefonami Caileen. Stąd mam twój numer. Kiedy nie odbierałaś, przypominałam sobie, że mieszkasz w hotelu. Caileen wymieniła podczas lunchu jego nazwę. - Heather, była asystentką matki z sądu dla nieletnich; od niepamiętnych czasów raz w tygodniu spotykały się na lunchu. - Zadzwoiłam do hotelu i recepcjonista powiedział, że kiedy przyjeżdżał na swoją zmianę, widział cię na werandzie.

- Bogu dzięki - mruknęła Zia. - Zawiadomię Jeremy'ego i zacznę się pakować. Co jeszcze powinnam zrobić?

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Gdyby coś się zmieniło, zadzwonię na komórkę. Jeff pytał, czy mogę zostać waszą skrzynką kontaktową, gdyby były jakieś problemy z wpuszczeniem was do szpitala.

- Dzięki, Heather. Przyjadę najszybciej, jak się da.

- Jedź ostrożnie. Jeszcze by tego brakowało, żeby tobie coś się przydarzyło.

- Będę uważać.

Odłożywszy słuchawkę, wybrała numer Jeremy'ego w komórce, ale albo wyłączył telefon, albo był poza zasięgiem. Zostawiła na sekretarce prośbę, by skontaktował się z nią jak najszybciej. Porwała największą z toreb i wygarnęła do niej zawartość komody, głównie dzinsy, koszulki i bieliznę. Kosmetyki trzymała w kuferku, zapięła go więc tylko i postawiła obok torby.

Nie minął kwadrans, a już stała z kurtką i torebką w rękę, gotowa do podróży. Znow spróbowała skontaktować się z Jeremym.

I znow bez skutku.

Wstawiła bagaże do samochodu i zawróciła do recepcji, informując o nagłej, ważnej sprawie rodzinnej. Zostawiła recepcjoniście numer swojej komórki, na wypadek gdyby ktoś chciał się z nią skontaktować.

- Zatrzymuje pani swój pokój?

- Tak. Zostawiłam w nim część rzeczy.

- To świetnie. Proszę uważać na drodze. W nocy jest mały ruch, więc ludzie jeżdżą bardzo szybko.

- Dziękuję, będę pamiętać.

Jeszcze raz spróbowała złapać Jeremy'ego. Bezskutecznie. Odnalazła jego adres na planie. Dopiero kiedy dojeżdżała do jego domu, przyszło jej do głowy, że dla niego wcale nie musiało być oczywiste, że musi natychmiast jechać z nią do Idaho. Może będzie wolał poczekać, aż sytuacja się wyklaruje.

Tak czy owak, ona bezwzględnie jedzie.

W świetle samochodowych reflektorów mignął jej numer skrzynki pocztowej Jeremy'ego przy bocznej drodze. Skręciła w żuźłówkę.

Po paru minutach dojechała do domu stojącego na polance pośród świerków i cedrów. Nie była to leśna chatka, jakiej się spodziewała. Dom wyglądał bardziej jak mała, elegancka rezydencja zbudowana do połowy z kamieni w pustynnych odcieniach ochry i terakoty. Górna część ścian pokryta była stiukiem w kolorze bardzo jasnej terakoty. Okno w dachu sugerowało, że poddasze też zostało zaadaptowane.

Samochód Jeremy'ego stał pod daszkiem, w środku paliło się światło. Uspokojona zaparkowała i ruszyła do drzwi.

Dębowe drzwi zewnętrzne były otwarte na oścież.

- Jeremy? - zawołała, kiedy w nieoświetlonym holu pojawiła się czyjaś postać.

Postać znieruchomiała.

-Zia?

- Tak. - Nie czekając na zaproszenie, otworzyła drzwi siatkowe i weszła do środka. - Tak się cieszę, że cię zastałam.

Dopiero teraz dotarło do niej, że wyszedł właśnie spod prysznic. W słabym świetle lampy w salonie zdążyła tylko dostrzec zarys muskularnego męskiego ciała, zanim zniknął.

Zamarła na moment.

- Przepraszam - krzyknęła poruszona tym widokiem. To nie był czas na kurtuazję. - Nie chcę ci przeszkadzać, ale sprawa jest pilna.

Był już z powrotem, z ręcznikiem owiniętym wokół szczupłych bioder.

- Mama jest bardzo chora. Jeff wiezie ją karetką do Boise.

- Co się stało?

Powiedziała mu to, co przekazała jej Heather. Skinął głową.

- To brzmi poważnie - odgarnął wilgotny kosmyk z czoła. Podszedł bliżej.

- Jestem w drodze do szpitala. Pomyślałam, że moglibyśmy pojechać razem, gdybyś chciał. Mama... - coś ją ścisnęło za gardło.

- Jesteś spakowana, gotowa do drogi? Skinęła głową.

- Daj mi dziesięć minut.

Zniknął w pokoju w głębi domu. Zia zatoneła w wielkim skórzanym fotelu przed kominkiem. Jej serce biło już wolniej. Oddech też się uspokoił. Rozejrzała się po pokoju.

Ściany pokryte były chropawym tynkiem w stylu toskańskim, jasnozłota farba mieszała się z glazurą koloru sieni palonej. Wyglądało to bardzo atrakcyjnie.

Nieduża kuchnia skryta była we wnęcie po prawej stronie: szafki z drzewa cedrowego, nowoczesne urządzenia kuchenne. Błat kuchenny oddzielał ją od salonu, który zajmował całą szerokość domu. Sofa pokryta była lśniąca, brązową skórą dopasowaną do fotela, na którym usiadła. Drugi fotel był mniejszy, z haftowanym kordonkiem obiciem w kolorze ciemnej terakoty i brązu. Długi podnózek z tacą służył jako stolik do kawy. Po obu stronach sofy stały dwie piękne lampy. Niska skrzynia z szufladami stała pod bocznym oknem, wychodzącym na strumień i las. Po drugiej stronie obszernego pokoju stał dębowy stół z szóstką krzesel i barek.

Zastanawiała się, kto wybierał te meble. Doszła do wniosku, że kobieta. Nie mogła sobie wyobrazić, by Jeremy zaprzętał sobie głowę wystrojem wnętrza.

Wrócił do pokoju i rzucił płócienną torbę i kosmetyczkę z przyborami do golenia na podłogę obok drzwi.

- Potrzebuję jeszcze paru minut - powiedział, wchodząc do kuchni.

Otworzył drzwiczki pokryte cedrową wykładziną, które okazały się drzwiczkami lodówki, i wystawił na zewnątrz trochę produktów. Wylał mleko do zlewu, wyrzucił resztki do śmieci, a główkę zielonej sałaty cisnął daleko przez boczne drzwi kuchenne.

- - To chyba wszystko. - Omiótł wzrokiem schludną przestrzeń.

- Masz bardzo ładny dom - powiedziała, podnosząc się. Uśmiechnął się, ale w jego oczach widać było nadal niepokój.

- Kiedyś pokażę ci zdjęcia, jakie porobiłem na pamiątkę, zanim zacząłem go remontować. Wszystko się tu ledwie trzymało.

- Sam wybierałeś meble?

- Tak, ale Krista doradzała mi w kwestii kolorów i tym podobnych. Wysyłałem jej zdjęcia przez telefon. Zaaprobowała sofę i fotele. Właściciele sklepu z meblami zaplanowali ustawienie mebli i namówili mnie na tę skrzynię.

- Podnóżek z tacą jest bardzo nowoczesny.

- Świetnie się też trzyma na nim nogi podczas kawalerskich wieczorów z pizzą i piwem.

Udało jej się roześmiać. Wyszedł zza blatu i położył jej dłoń na ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze. Caileen jest silna. Wyjdzie z tego.

Skinęła głowa, przez chwilę niezdolna wydobyć z siebie słowa.

- Jesteś gotów?

- Tak. Jak dojedziemy do miasta, zadzwonię do kierowników na budowach i poproszę, żeby do mojego powrotu mieli na wszystko oko.

- Nie wyjeżdżamy na długo. - Słowa zabrzmiały fałszywie nawet dla niej samej.

- Ruszajmy. - Zaczekał, aż wyjdzie, pogasił światła i zamknął drzwi. - Pojedziemy moim. Będzie szybciej.

Bez protestu poszła do swego samochodu, wyjęła bagaż. Jednym ruchem dorzucił jej torby do swoich.

- Chcesz zostawić samochód tutaj czy w mieście?

- Tu jest bezpiecznie?

- Nigdy nie było żadnych problemów.

- W takim razie zostawię.

Otworzył przed nią drzwiczki, po czym sam wsiadł na miejsce kierowcy. Zapiął pas. Ruszyli w drogę, która miała trwać do świtu.

- W nocy przynajmniej nie będzie korków - zauważyła, gdy skręcali na asfalt.

- Tak, to jeden plus.

W Vernal zatrzymał się przy biurach wydziału transportu i wykonał szereg telefonów do współpracowników, informując, gdzie go będzie można znaleźć. Zia czekała w samochodzie. Wrócił, niosąc z sobą duży termos z kawą, dwa plastikowe kubki i dwie puszki napojów orzeźwiających. Pomiedzy siedzeniami postawił koszyk z dwoma jabłkami, orzeszkami ziemnymi, chipsami i krakersami.

- Powinno nam wystarczyć do śniadania - ocenił, kierując się na zachód, w stronę autostrady.

- Podróż na ślub Kristy zajęła mi parę dobrych godzin -mruknęła Zia, wpatrzona w spowity mrokiem krajobraz. Wyjechali poza miasto.

Zerknęła na jego profil. Jak przystojny, jak... światowy wydał jej się na weselu. Przywykła myśleć o Jeremym jako o człowieku mocno stąpającym po ziemi - cóż, to rzecz chyba naturalna u budowlańca - jednak zaczynała

odkrywać jego drugie oblicze - eleganckiego mężczyzny, który czuł się swobodnie w najelegantszym otoczeniu.

Oderwała wzrok od widoków za oknem. Spochmurniała. Przeszyła ją nagła tęsknota za czymś, czego brakowało w jej życiu, co najwyraźniej jej umknęło. Nie umiałaby jednak powiedzieć, co to jest.

W świetle księżyca szosa wydawała się fosforyzującą wstęgą. W zasięgu wzroku nie było samochodów. Mogli być jedynymi ludźmi na świecie. Było w tym coś niesamowitego.

Jeremy włączył automatyczną skrzynię biegów, otworzył puszkę. Pociągnął długi łyk i wstawił puszkę w uchwyt na kubki.

- Nie jadłem kolacji - wyjaśnił, otwierając zębami torbę chipsów.
- Ojej, nie pomyślałam o tym. Jadłam dzisiaj wcześniej niż zwykle.
- Nie ma sprawy. Po prostu, kiedy przyjechałaś, dopiero wróciłem z budowy. Uznałem, że bardziej potrzebuję prysznic niż jedzenia.
- Masz jakieś problemy na budowie?
- Tak. Przeplatają się warstwy kruchych i twardych skał. Musimy dać bardzo solidne fundamenty pod filary.
- I co zrobicie?
- Wwiercimy metalowe pale w kruche skały. Podniesie to koszty i opóźni budowę. Kolejny raz.
- To niedobrze.
- Ci na górze nie będą zbyt szczęśliwy, ale, moim zdaniem, przeżyją to bez szwanku, jak zawsze.

Uśmiechnęła się, ubawiona jego ironią. Rozmowa pozwalała zabić czas.

- Widzę, że potrafisz być cyniczny.

- Trzymaj się mnie, to poznasz moje prawdziwe oblicze - zażartował. - Nie będziesz zbudowana.

Zaśmiała się krótko i niepewnie, ale szczerze. Atmosfera stała się lżejsza, noc przestała wydawać się tak mroczna.

Księżyc wyszedł zza płaskowyżu, oświetlając krajobraz. Porozrzucane po piaszczystym podłożu skały rzucały długie, granatowe cienie o dziwnych kształtach. Pustynne krzewy obsypane złotymi kwiatami, widziane z samochodu, wyglądały w ciemnościach jak przykucnięte istoty obserwujące niebo.

Mijały ich ze trzy ciężarówki na godzinę. Wiozły żywność i towar na wschód, do Vernal. Tuż za miastem spotkali jeden samochód osobowy, następne - dopiero kiedy odbili na Salt Lake City. Na autostradzie międzystanowej panował o wiele większy ruch; samochody mijały ich z zawrotną szybkością.

- Musiał jechać sto pięćdziesiąt na godzinę - mruknęła, kiedy minął ich jakiś wóz sportowy.

- Droga jest prosta, więc ludzie się rozpędzają.

- Ty też?

- Jestem konserwatywny. Jeżdżę tylko dziesięć kilometrów ponad dozwoloną szybkość. Nalałabyś mi kawy? Teraz będę potrzebował kofeiny. O tej porze już zwykle śpię.

- Ja też.

W mdłym świetle deski rozdzielczej zobaczyła, jak rzuca jej baczne spojrzenie.

- To dziwne, jak mało wiem o tobie. Nie wiem, czy jesteś rannym ptaszkiem, czy nocnym Markiem, czy wstajesz nieprzytomna czy radosna jak skowronek.

Podala mu parujący kubek.

- W gruncie rzeczy wiesz o mnie wszystko. Znasz moich rodziców. Wiesz wszystko o moim wczesnym dzieciństwie, o tym, że wyrosłam z astmy, o tym, do jakich szkół chodziłam. Chodziłeś zresztą do tych samych szkół, z wyjątkiem tych paru lat, które spędziłam na uniwersytecie Oregon, gdzie pracowałam dla mojego ojca i wynajmowałam mieszkanie z córką jego brygadzysty.

- Dobrze się tam czułaś?

- Tak. Zdążyłam się już wiele nauczyć, więc... byłam inna niż przy mamie. - Głos jej zadrżał. - Zawsze czułam, że powinnam ją przeprosić za to, co ze mną przeszła. Nie wiem, czy jeszcze będę miała szansę - powiedziała zrozpaczona.

- Wyjdzie z tego - uspokoił ją. - Dlaczego nie zadzwonisz sprawdzić, co się dzieje? Heather może mieć jakieś wiadomości.

- Dobry pomysł. - Wybrała w komórce numer Heather. Najlepsza przyjaciółka jej matki odebrała natychmiast. - Heather? Tu Zia. Jesteśmy z Jeremym w drodze, już za Salt Lake City. Masz jakieś wiadomości?

- Tak. Dzwonił Jeff. Caileen jest operowana. Mówił, że dobrze się trzymała, kiedy ją wieźli na blok operacyjny... -W głosie Heather słyhać było ostrożny optymizm.

- Co za ulga! Zadzwonię znowu, jak będziemy dojeżdżać do Boise. Daj znać, jakby coś się działo. Dzięki za wszystko. Dojedziemy nad ranem. - Zia rozłączyła się i powtórzyła wiadomości Jeremy'emu.

- Wygląda na to, że wszystko jest pod kontrolą. Milczeli przez dłuższą chwilę, pogrążeni we własnych myślach.

- Chyba się prześpię - westchnęła. - Powiedz, kiedy będziesz chciał, żebym cię zmieniła za kierownicą.

- Może jak będziemy brać paliwo. Mniej więcej za godzinę.

- Dobrze.

Odchyliła siedzenie do tyłu i narzuciła kurtkę na ramiona. Jechali przez pustynię i noc z każdą chwilą stawała się coraz chłodniejsza. Z nerwów i zmartwienia co rusz przebiegał ją dreszcz, którego nie mogła opanować.

Jeremy wyciągnął rękę i starannie otulił ją kurtką. Musnął dłonią jej brodę; strumień ciepła spłynął do jej serca i zaczął promieniować na całe ciało. Było to bardzo dziwne uczucie.

- Dzięki - szepnęła.

Jak to dobrze, że jechał z nią ktoś, kto dzielił jej troski, myślała sennie.

Od kiedy zaczęła pracować, nie pozwoliła sobie pomagać, nawet matce i ojcu. Postanowiła już nigdy nikomu nie zawracać głowy swoimi problemami. Jednak Jeremy to zupełnie co innego. Był godzien zaufania, myślała, zapadając w sen. Był bardzo przywiązany do Caileen i szczerze się o nią martwił.

Dopiero kiedy znalazła się w tarapatach, a duma, wstyd i gmatwanina innych uczuć nie pozwalały jej zwrócić się do rodziców, zorientowała się, jak wiele dla niej znaczą. Dopiero kiedy zamieszkała z ojcem, poczuła, jak bardzo brakuje jej matki. Kiedy sama znalazła się w rozpaczliwej sytuacji, dotarło do niej, jak musiała się czuć jej matka, kiedy nie miała do kogo zwrócić się po pomoc.

Jeremy przyszedł jej na ratunek, kiedy była w potrzebie. Podobnie jak teraz. Nie miała zamiaru wspierać się na nim, ale krzepiła ją świadomość, że może zasnąć, a kiedy się obudzi, on będzie przy niej, silny i spokojny.

Rozdział 4

Obudziła się na dźwięk swojego imienia. Usiadła i rozejrzała się, zaspana i dezorientowana. Jeremy zjeżdżał z autostrady i skręcał w parking stacji obsługi. Na jasno oświetlonym placu stało kilka TIR-ów i tylko jeden wóz osobowy.

- Która godzina?

- Dochodzi czwarta.

Niebo na horyzoncie szarzało.

- Nie zbudziłeś mnie - stwierdziła z pretensją.

- Nie zbudziłaś się, kiedy brałem benzynę, a ja nie byłem zmęczony, więc pojechałem dalej.

- Gdzie jesteśmy?

- Niedaleko Boise. Gotowa do śniadania? Myślałem, że moglibyśmy zjeść teraz i pojechać stąd prosto do szpitala.

Skinęła głową.

- Czuję się, jakbym była w pętli czasu, czy coś w tym rodzaju.

Wszystko wydaje się takie dziwne. - Ziewnęła, przeciągając się.

- Jazda po nocy i przebudzenie w obcym miejscu potrafią człowieka wytrącić z równowagi. - Przyjrzał się jej. - Mają tutaj prysznic. Myślę, że się umyję przed śniadaniem. Ary?

- Dobra myśl, może mi się trochę rozjaśni w głowie -mruknęła, siląc się na wesołość.

Uśmiechnął się.

- Jeśli nie, to dokona tego kawa. Byłem już tutaj. Ich kawa jest w stanie rozpuścić metal.

Wziąwszy z sobą ubranie na zmianę, poszli wziąć prysznic i odświeżyć się. Kiedy spotkali się przy drzwiach do restauracji, Zia musiała przyznać, że czuje się o wiele lepiej.

Po śniadaniu ze szwedzkiego stołu ruszyli w dalszą podróż, napelniwszy termos świeżą kawą.

- Mam w komórce numer do Heather - powiedziała, wjeżdżając na autostradę. Teraz ona prowadziła. - Może powinniśmy zadzwonić i sprawdzić, co się dzieje?

- Słońce jeszcze nie wzeszło. Heather może spać.

- Masz rację, nie pomyślałam o tym.

- Stryj Jeff albo ona zadzwoniliby, gdyby coś się działo. - Jeremy pogładził ją lekko po plecach.

- Tak, jasne.

Wyszukał stację z wiadomościami lokalnymi. Wysłuchali prognozy pogody; zapowiadano dzień bezchmurny i słoneczny, z temperaturą powyżej dwudziestu stopni. Zia spodziewałaby się raczej ciężkich, czarnych chmur.

Takich jak chmury w jej duszy.

Spojrzała na Jeremy'ego. Czoło przecinały mu dwie pionowe zmarszczki. Na co dzień na jego twarzy malował się na ogół wyraz skupienia i powagi, teraz jednak doszła do nich głęboka troska. Z jego oczu wyzierało przygnębienie. Widocznie czuł to, co ona.

Dojeżdżali do Boise i ruch się zwiększał, na szczęście było jednak jeszcze za wcześnie na korki. Jeremy próbował zadzwonić na komórkę Caileen, licząc na to, że stryj ma ją przy sobie, jednak nikt nie odebrał. Zia zjechała z autostrady międzystanowej. Parę minut później, kiedy słońce pojawiło się nad widnokregiem, wjechała na parking przyszpitalny.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała półgłosem. Na samą myśl o wejściu do budynku robiło jej się niedobrze.

- Zobaczymy, jak się sprawy mają. Potem dowiem się, gdzie mogę oddać krew. Mam już ponad dwa miesiące przerwy, więc mogą mi utoczyć kolejną kwaterkę.

Zia przypomniała sobie, jak obaj ze stryjem pojawili się w szpitalu w Council, gdzie mieszkały wtedy z mamą, żeby oddać krew dla niej.

- Dobry pomysł. Też tak zrobię. Obie mamy grupę ARh+. Jeremy podszedł do okienka informacji, po czym ruszyli

na drugie piętro do skrzydła, w którym mieścił się oddział intensywnej terapii. W progu poczekalni powitał ich stryj Jeff.

Cała trójka wymieniła pospieszne uściski.

- Caileen jest jeszcze na intensywnej terapii - wyjaśnił. Bruzdy na jego twarzy wydawały się głębsze niż zwykle. - Operacja się udała. Zahamowano krwotok, a z infekcją uporają się antybiotyki. Był tutaj chirurg. Powiedział, że Caileen będzie przetrzymywana w lekkiej śpiączce, dopóki jej organizm nie wróci od normy. Lekarze chcą, żeby pozostawała całkowicie nieruchoma, a jej organy wewnętrzne jak najmniej obciążone.

- Możemy ją zobaczyć? - spytała Zia.

- Musisz zapytać pielęgniarki. Właśnie wychodzę od niej, a wolno nam być u niej tylko pięć minut na godzinę.

W oczach Jeremy'ego stryj Jeff od zawsze pozostawał silnym i nieugiętym bohaterem; dopiero teraz, widząc zmęczenie bijące z całej jego sylwetki i głęboki niepokój w oczach stryja, zorientował się, jak dziecinna była ta optyka.

- Co się stało? - spytał. - Jak doszło do zapalenia?

- Mały kamień częściowo zablokował drogi żółciowe. - Jeff przejechał dłonią po karku, rozmasowując zeszywniałe mięśnie. - Z czasem doszło do całkowitego zatoru. Żółć cofała się do wątroby i zniszczyła ją prawie całkiem, zanim zorientowaliśmy się, że coś jest nie tak. Potem wywiązała się infekcja.

- Rozumiem. Spałeś choć chwilę?

- Jeszcze nie.

- W poczekalni nie ma nikogo. - Zia dotknęła ramienia Jeffa. - Nie ma nic do roboty poza czekaniem. Odpocznij, póki się da. Zbudzimy cię, gdyby coś się działo.

- Może to i dobry pomysł - zgodził się Jeff. - Idźcie na oddział intensywnej terapii porozmawiać z pielęgniarką. Caileen jest w pokoju B1.

Stanowisko pielęgniarek znajdowało się na środku holu, na który z trzech stron wychodziły pokoje chorych.

- Caileen Aquilon - zwrócił się Jeremy do młodej kobiety, która podniosła wzrok, gdy nadeszli.

- Jesteście krewnymi?

- Jestem córką - odezwała się Zia. - On jest bratankiem. Pielęgniarka zajrzała w kartę Caileen.

- Nadal jest nieprzytomna ale możliwe, że głos do niej dociera. Mówcie cicho i spokojnie. Nawet jeśli nie ma żadnej reakcji, pacjenci często wyczuwają obecność bliskich im osób. - Uśmiechnęła się do nich. - Pokój B1. Pięć minut. Ale nie patrzę na zegar zbyt często - dodała z życzliwym uśmiechem.

Jeremy otworzył drzwi. Caileen leżała bez ruchu, biała jak płótno. Namiot tlenowy, o którym nikt nie wspomniał, szumiał, pomagając jej

oddychać. Leżała w płataninie rur, a monitory informowały o tym, jak funkcjonuje jej schorowany organizm.

Zia zasłoniła sobie usta, by nie krzyknąć z przerażenia. Jeremy położył dłoń na jej ramieniu.

- Odpoczywa - powiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał pewnie. Odwróciła twarz i przytuliła do jego ramienia.

- Dobry Boże! - szepnęła.

- Cześć, Caileen. Tu Zia i Jeremy - odezwał się cichym głosem, widząc, że dziewczyna znów patrzy na matkę bez słowa. - Jechaliśmy przez całą noc i właśnie dotarliśmy. Rozmawialiśmy ze stryjem Jeffem. Stryj teraz odpoczywa na kanapie w poczekalni.

- Bardzo podoba mi się hotel Residential, w którym mieszkam w Vernal - podjęła Zia, gdy Jeremy stracił koncept. - Wszyscy są bardzo mili. Między piątą a siódmą podają pyszną mrożoną herbatę. Na obiad jem zwykle zupę w świetnej restauracji na mieście, a potem deser w hotelu. Mają pyszne babeczki.

- Nie zaprosiła mnie wcale, żebym mógł spróbować tych pysznych babeczek - poskarżył się Jeremy z udawanym oburzeniem. - A ja ją wziąłem na najlepsze steki w mieście. Ładna mi wdzięczność.

- Ależ byłam wdzięczna - zaprotestowała Zia. - Po prostu tego nie okazywałam... z wrodzonym wdziękiem.

Oboje parsknęli czymś, co można było od biedy wziąć za śmiech.

Jeremy z trudem przełknął ślinę. Caileen, która zastąpiła mu matkę, leżała nieruchomo jak kłoda. Ciszę zakłócał jedynie szum namiotu tlenowego. Widział, jak Zia patrzy na aparaturę wzrokiem pełnym rozpacz. Nigdy jeszcze nie dostrzegł w niej tylu emocji, był zaskoczony. Cóż, może

była zdolna do głębszych uczuć... W końcu to przecież jej matka leżała tutaj, a wyglądała tak, jakby była już jedną nogą na tamtym świecie.

- Nasze pięć minut się skończyło - szepnął.

- Chcę zostać jeszcze trochę.

Skinął głową i niewiele myśląc, pocałował ją w skroń.

- Jest silna - szepnął. - Jak ty.

Zia odpowiedziała słabym uśmiechem, po czym wróciła do łóżka matki. Jeremy ruszył z powrotem do poczekalni, by zobaczyć, co z wujem.

Zia siedziała na krześle, wpatrzona w nieruchomą postać. Bezwiednie dopasowała oddech do szumu tlenowego namiotu. Jej matka, jak słusznie zauważył Jeremy, była silna.

Ale ona, Zia, nie. W tej kwestii się pomylił. Przepelniała ją zgroza i lęk, jakby coś w niej znało już ostateczny wynik tego, co się tu działo, jakby coś w niej wiedziało, że nie będzie dobrze.

Czy kiedykolwiek powiedziała Caileen, jak bardzo ją kocha, jak bardzo docenia poświęcenie, z jakim matka próbowała zapewnić jej odpowiedni dom?

Znów powróciły wyrzuty sumienia. Zia skarciła się w myślach za egoizm. To było takie podobne do niej - domagać się przebaczenia dawnych win właśnie teraz, gdy chora tak bardzo potrzebowała modlitwy i pozytywnych myśli.

Starając się zdławić rozpacz, przykryła dłonią spoczywającą na kołdrze dłoń matki. Była chłodna i krucha, tak bardzo krucha...

Ta dłoń, która opatrywała tylekroć jej rany i stłuczenia. Blade usta, które całowały jej zadrapania, żeby mniej bolały. Miała teraz ochotę ucałować swoją matkę, która życie i zdrowie swojego dziecka przedkładała ponad własne pragnienia, a nawet małżeństwo.

- Mamo - szepnęła. - Jestem tutaj z tobą. Jeff i Jeremy też tu są. Proszę, nie odchodź.

Przez sekundę słyszała tylko szum aparatury tłoczącej powietrze do płuc i swój urywany oddech, a potem poczuła w swojej dłoni ledwie wyczuwalny ruch.

Czyżby matka próbowała uścisnąć jej dłoń? Czy może było to tylko złudzenie wywołane rozpaczliwym pragnieniem?

- Czułam to - powiedziała, starając się, by w słowach jej zabrzmiał entuzjazm. - Czułam twoją dłoń w mojej dłoni. To było dobre. Bardzo dobre.

Starła się przypomnieć sobie coś zabawnego, jakieś wesołe wydarzenie, które przeniosłoby je w weselsze czasy.

- Pamiętasz, jak próbowałyśmy robić lody w starej zamrażarce, którą wyrzucił sąsiad? Przytaszczyłam zardzewiałego grata do domu, a ty męczyłaś się nad nim i doprowadziłaś do użytku, ale nie wypłukałyśmy go dokładnie z detergentu. Dostał się do lodów, więc bałyśmy się je zjeść. Byłam strasznie zawiedziona. Wzięłaś mnie na lody z bitą śmietaną i bananami. Wydałaś wszystkie nasze pieniądze na jedzenie, więc w następnym tygodniu żywiłyśmy się wyłącznie kanapkami z masłem orzechowym.

Urwała, uśmiechając się do wspomnień. Poczowała, że pieką ją powieki. Zamrugowała.

- Odtąd zawsze uwielbiałam kanapki z masłem orzechowym - mówiła drżącym głosem. - Jedzenie na pocieszenie, można powiedzieć.

Gorące łzy napłynęły jej do oczu. Zacisnęła zęby, chwyciła torebkę i wyszła z pokoju, żeby nie rozplakać się przy matce. Jeszcze by tego brakowało!

Wyszła na korytarz, przeszła przez drzwi wahadłowe i dołączyła do Jeremy'ego w poczekalni. Jeff spał na kanapie.

- Chyba powinniśmy zawiadomić resztę rodziny - szepnęła. - Co o tym sądzisz?

Skinał głową.

- Chodźmy na korytarz - odszepnął, patrząc na stryja, który poruszył się niespokojnie.

W korytarzu przy windach znaleźli kaplicę. Nie było w niej nikogo. Nie mogli dodzwonić się do nowożeńców w podróży poślubnej, Zia wysłała więc SMS-a. Tony był poza zasięgiem, ale dodzwoniła się do jego żony, kierującej przychodnią dyplomowanej pielęgniarce i wyjaśniła jej sytuację.

- Widziałam podobne przypadki --uspokoila ją Julianne. -Powiem ci na pocieszenie, że wątroba jest jedynym narządem,który się regeneruje, jeżeli choć dziesięć procent funkcjonuje prawidłowo. W San Francisco działa małżeństwo chirurgów, którym udało się pobrać fragment wątroby od żywego dawcy i doprowadzić od zregenerowania jej i u dawcy, i u biorcy.

Po skończonej rozmowie oboje z Jeremym oddali krew. Personel szczególnie ucieszył się z jego krwi. Laborantka, prześliczna dwudziestoparoletnia dziewczyna, żartobliwie przymawiała się o jeszcze jedną porcję.

- Miło być pożądanym - przekomarzał się z nią.

Nikt nigdy z nią nie żartował, pomyślała Zia. Świadczyło to zapewne o jej charakterze. Czyżby była całkiem nieprzystępna? Westchnęła. Poczowała dotyk dłoni na swoim ramieniu. Ich oczy spotkały się i nagle zalała ją fala tęsknoty tak dojmującej, że aż bolesnej.

Zdobyła się na uśmiech, jednak myślami była gdzie indziej. Ostatnio była dziwnie niespokojna. Stało za tym coś więcej niż tylko choroba matki,

choć i tego już wystarczyłoby, żeby osiwieć. Ostatnio reagowała przesadnie na byle drobiazg.

Może po prostu potrzebowała odmiany. Dlatego właśnie nowa praca wydała jej się tak podniecająca. Odmiany! Pamiętała jeszcze ze szkoły, że wszechświat zmierza do chaosu, a w ryzach utrzymuje go chwiejna równowaga sił. W jej przypadku o równowadze nie mogło być mowy.

- Już po wszystkim - oznajmiła wesoła laborantka. - Dziękuję bardzo.

Podawała im sok pomarańczowy i kazała posiedzieć dziesięć minut przed wyjściem z laboratorium.

Potem wrócili do poczekalni i przez trzy godziny przeglądali czasopisma, wychodząc tylko co godzinę na pięć minut do Caileen. Jeff spał jak zabity. Zia domyśliła się, że nie był w stanie odpocząć, dopóki ktoś nie przejął od niego czuwania przy chorej.

Zauważyła, że Jeremy też przysnął. Ciemny, niesforny kosmyk opadł mu na czoło, zupełnie jak Jeffowi. Obaj byli szczupli i mieli ten sam szorstki wdzięk w ruchach. W obu wyczuwało się pewność siebie i umiejętność radzenia sobie z wszelkimi wyzwaniem, jakie życie postawi na ich drodze.

Zawsze byli dla niej bardzo dobrzy, bez względu na to, co mogli myśleć o jej zachowaniu. Zaakceptowali ją, jakby naprawdę była ich rodziną...

Poczuła nagle, że wdzięczność splata się w niej z miłością, wielką, głęboką, bolesną, niewypowiedzianą miłością do nich wszystkich.

Dlaczego nie potrafiła jej wyrazić?

- Która godzina?

Zia spojrzała na zegarek.

- Parę minut po dwunastej.

Jeremy przetarł oczy, po czym ruszył do umywalni po drugiej stronie korytarza. Wrócił odświeżony. Kosmyk włosów zniknął z czoła.

- Jest tutaj barek. Pójdziemy na lunch? Pokręciła głowa.

- Zostanę, bo może przyjdzie lekarz.

- Musisz coś jeść - powiedział stanowczo. - Jeśli nam tu zemdlejesz, nie będzie z ciebie żadnego pożytku.

Zachowywał się żartobliwie, ale jego oczy zdawały się penetrować najdalsze zakamarki jej umysłu.

- Myślę, że nie odczułabym braku jednego czy dwu posiłków - odparowała.

- Coś wiadomo? - Jeff poderwał się, a potem zaczął się przeciągać.

- Bez zmian. Nadal śpi - odparła Zia.

- Czas na lunch - oświadczył Jeremy. - Może teraz wy dwoje pójdziecie do Caileen. Powiedzcie pielęgniarce, że schodzimy do barku i poproście, żeby nas wezwały na górę, jeśli pojawi się doktor.

- Dobry pomysł - zgodził się Jeff.

Zia poszła z Jeffem na oddział intensywnej terapii. Stali w milczeniu przy łóżku, obserwując, jak pierś Caileen podnosi się i opada w rytm respiratora.

- Nie widziałam jej nigdy śpiącej na wznak - przerwała ciszę Zia.

- Ja też - odparł Jeff z uśmiechem. - Trochę dziwne, jakbym poznawał ją od nieznanej strony. - Nachylił się nad łóżkiem. - Ej, dziewczyno - zażartował cichym głosem. - Masz zamiar przespać cały dzień? Goście do ciebie przyszli.

W każdym jego słowie słychać było czułość. Jego gesty wyrażały głęboką troskę, a przede wszystkim żarliwe pragnienie, by Caileen wyszła z tego, zwyciężyła chorobę, dała sobie radę.

Prawdziwa miłość. Nawet jeśli Zia jej nie doświadczyła, potrafiła ją rozpoznać. Spłynęła na nią wielka radość. Radość, że jej matka ma tego mężczyznę, tego dobrego, łagodnego mężczyznę.

Kiedy minęło pięć minut, zeszli po schodach na parter.

Przy stoliku Jeff wypytywał o ich nowe miejsce zamieszkania - miasto i okolice. Zia popisывała się nowo nabytą wiedzą o konstrukcji mostów; na twarzach obu mężczyzn pojawił się identyczny uśmiech, kiedy opisywała kładkę i zgrozę, jaką w niej budziła.

Rozmawiali też o gospodarce regionu i szansach Zii na znalezienie odpowiedniego domu.

Jeremy mówił o problemach przy budowie dróg i bezpieczeństwie na nowych autostradach.

- Wystarczy sekunda nieuwagi i już może być kłopot. Dlatego inżynierowie drogowcy lubią ekrany dźwiękoszczelne przy głównych drogach. Zawężone pole widzenia sprzyja koncentracji na drodze. Chyba że kierowca gada przez komórkę.

- Wszyscy za szybko jeździmy - stwierdziła Zia. - Pędzimy przez życie.

Urwała. Jeff i Jeremy potakiwali ze zrozumieniem. Poczwała, jak Jeremy kładzie dłoń na jej dłoni. Jego dotyk był taki... kojący.

Byłoby tak wygodnie, myślała, wracając na oddział intensywnej terapii, wesprzeć się na jego sile, napawać się czułością. Nie miała zamiaru tego zrobić, ale miła jej była sama świadomość, że mogłaby. Gdyby naprawdę tego potrzebowała.

Nadal czuwali przy Caileen. Jeremy pilnował, żeby Zia i jego stryj pili kawę i schodzili na dół do barku, mieli trochę ruchu i coś jedli. Resztę czasu

siedzieli w poczekalni, czasami w towarzystwie innych osób, które odwiedzały swoich bliskich, jednak zwykle byli tam sami.

Krista i Lance odezwali się o zmroku. Byli w Paryżu na wystawie elektronicznych urządzeń domowych.

- Musimy wypróbować każdą nowinkę, którą Krista wypatrzy - żartobliwie skarżył się Lance.

Jeremy wiedział dobrze, co ma na myśli. Krista lubiła być w centrum każdego nowego projektu, który testowali, najchętniej jako szefowa. Zastanawiał się, jakim cudem tandem złożony z dominującego męża i równie dominującej żony, dwóch typów alfa, był w stanie dokonać czegokolwiek, nie pozabijawszy się nawzajem.

Może po prostu postępowali tak, jak się postępuje w małżeństwie. Omawiali swoje problemy i dochodzili do kompromisu, co, zdaniem Caileen, było postępowaniem godnym cywilizowanych istot.

Miłość, wspomnienia, nadzieja przepełniły jego duszę.

Zia zdecydowanie wyperswadowała Kriście natychmiastowy przylot do domu.

- Poczekajmy, aż lekarz się wypowie. Zadzwoń do ciebie zaraz po obchodzie - obiecała.

Tony odezwał się natychmiast po powrocie do domu, w którym mieszkał z Julianne. Wrócił z dopiero co rozpoczętych wykopalisk archeologicznych koło kanionu Chaco. Pytał, jak mogą pomóc.

- Na razie nic tu po was - wyjaśnił Jeremy. - Bądźmy w kontakcie.

O ósmej Jeremy wyszedł i zarezerwował pokoje dla ich trójki nieopodal szpitala, w hoteliku, w którym podawano też śniadania.

- Pomyślałem, że przyda nam się jakieś miejsce w pobliżu, gdzie można się wyciągnąć - wyjaśnił, wręczając karty meldunkowe stryjowi i Zii.

- Dobry pomysł - odparł Jeff z wdzięcznością. - Ale kiedy już przeniosą Caileen z oddziału intensywnej terapii do zwykłego pokoju, będę mógł sypiać przy niej. Jedna z pielęgniarek powiedziała mi, że fotele w pokojach można rozłożyć.

O dziesiątej Jeremy włączył telewizor i wysłuchali wiadomości. Obejrzelili prognozę pogody. W stronę Boise nadciągał niż z deszczem i chmurami burzowymi.

- Tego nam jeszcze brakowało - jęknął Jeff. Po raz pierwszy usłyszeli w jego tonie nieskrywane przygnębienie.

Parę minut później poderwali się na nogi. Do poczekalni wszedł mężczyzna w białym kitlu.

- Dobry wieczór. Jestem doktor Matherson.

- Ordynator oddziału intensywnej terapii - wyjaśnił Jeff pozostałej dwójce, wymieniając uścisk dłoni z lekarzem. - Co z moją żoną?

Doktor przysiadł na oparciu fotela, ruchem ręki zachęcając do zajęcia miejsc obok. Jeremy posunął się, żeby Zia mogła obok niego usiąść. Kiedy otarła się o niego biodrem, poczuł falę gorąca; czuł wyraźnie jej ciepło i kształt jej smukłego, zgrabnego ciała.

Wstrzymał oddech. Powoli wypuścił powietrze, zły na siebie za niekontrolowane reakcje swojego ciała.

- Pacjentka jest w dobrym stanie - oznajmił lekarz. - Antybiotyki zadziałały i nie ma już prawie gorączki. Wszystkie narządy pracują, i to coraz lepiej. Pozwoliłem przenieść ją do pojedynczej sali, przylegającej do oddziału intensywnej terapii.

- Wspaniale. A więc wątroba już działa? Jeff wyciągnął pochopne wnioski.

- Z tym mamy chwilowo największy problem - wyjaśnił doktor Matherson z powagą.

Jeremy spojrzął na obecnych. Stryj wpatrywał się w doktora. Zia wbiła wzrok w dłonie splecione na podolku.

- Bardzo niedobrze? - spytał Jeff, na którego twarzy znowu pojawiły się głębokie bruzdy.

Jeremy próbował siłą woli opanować narastający niepokój.

Kiedy lekarz się zawahał, już wiedział, że wiadomości nie będą dobre.

- Stan jest stabilny - powiedział ostrożnie doktor. Doświadczenie nabyte na oddziale intensywnej terapii powstrzymywało go przed rozbudzeniem bezpodstawnej nadziei. - Musimy zobaczyć, jak zareaguje organizm.

- A jeśli wątroba będzie w stanie się regenerować - przeszła od konkluzji Zia - to czy zostało jej wystarczająco dużo, by... ?

- Chirurg sądzi, że tak.

- A jeśli nie? - spytał Jeff.

- Będziemy potrzebować dawcy do transplantacji. Pani Aquilon zdecydowanie kwalifikuje się do takiego zabiegu. Pięćdziesiąt dwa lata to jeszcze żaden wiek, w dodatku jest bardzo zdrową osobą. Jeśli wyraża pan zgodę - zwrócił się do Jeffa - szpital wpisze jej nazwisko na listę oczekujących na przeszczep.

- Oczywiście - odpowiedział bez namysłu Jeff.

- Poproszę, żeby ktoś z administracji przyniósł formularz na górę. Tymczasem będzie pod obserwacją, choć odstawiliśmy już aparaturę tlenową. Dochodzi teraz do siebie; pozwolimy jej się przebudzić w naturalny sposób. Możecie być przy niej.

Ruszył do wyjścia. Zia ruszyła w ślad za nim. Wychodząc, zamknęła drzwi do poczekalni.

Jeremy zastanawiał się, jak długa może być lista oczekujących na przeszczep.

Nagle dobiegł go głos Zii. Brzmiał, jakby dochodził ze studni znajdującej się w poczekalni. Po chwili zorientował się, że słowa dobiegają z przewodu wentylacyjnego nad drzwiami. Musieli stać z doktorem przy kratce wentylacyjnej na korytarzu.

- Czy żyjąca osoba mogłaby odstąpić mojej matce część wątroby, gdyby kwalifikowała się jako dawca? - pytała Zia.

Jeremy ze stryjem wymienili zaskoczone spojrzenia, czekając na odpowiedź.

- Owszem, jest to bardzo powszechna praktyka - odparł doktor.

- Tak mi się właśnie wydawało. A tutejsi chirurdzy - dążyła dalej Zia - czy potrafiliby przeprowadzić taką operację?

- Sprawdzę to - obiecał doktor Matherson po chwili zastanowienia.

- Jestem jej córką - wyjaśniła Zia. - Mamy taką samą grupę krwi.

Myślę, że mogę być dawcą.

- Po to, żeby być dawcą, trzeba spełnić więcej kryteriów - powiedział ostrożnie doktor. - Zobaczymy. - W jego głosie wyczuwało się zatroskanie. - Wolałbym raczej poczekać na organ od nieżyjącego dawcy. Każda operacja może być potencjalnie groźna nawet dla zupełnie zdrowej osoby.

- Wiem o tym, ale ona jest moją matką - tłumaczyła niecierpliwie Zia, - Powinnam...

Kiedy urwała nagle, Jeremy poderwał się, zaciskając dłonie. Czuł że musi być przy niej, dzielić z nią jej stres.

- Chcę to zrobić dla niej - wyjaśniła. - Tak wiele jej zawdzięczam. -
Zaśmiała się przez łzy. - Czy mógłby pan porozmawiać z zespołem
chirurgów już teraz... na wypadek gdyby trzeba było działać szybko?

- Będzie to pierwsza rzecz jutro rano, kiedy rozpocznę dyżur. Dam
pani znać, jak tylko porozmawiam z chirurgiem i szefem personelu naszego
szpitala.

Doktor odszedł. Jeremy i stryj ponownie wymienili spojrzenia. Czuł,
że obaj myślą o tym samym - czyżby Zia przestała być samolubną
jedynaczką, jaką poznali czternaście lat temu?

Zia wróciła i poszli we trójkę do Caileen, którą przeniesiono do
nowego pokoju. Tak jak wspomniał doktor, odstawiono respirator i chora
wydawała się spać spokojnie. Do piersi miała przyklejone elektrody, dzięki
którym monitorowano rytm serca i poziom tlenu we krwi.

Zia zadrżała, kiedy otarli się o siebie rękami. Jeremy rzucił jej szybkie
spojrzenie.

- Wygląda lepiej - zdecydował Jeff. Badał fotel, który można było
rozkładać jak leżankę. - Powinien być wygodny w nocy. A wy idźcie już do
hotelu. Wy też potrzebujecie odpoczynku.

Upewniwszy się, że Jeff ma numery ich komórek, zebrali się szybko i
wkrótce Jeremy podjechał pod hotel. Przystanął przy drzwiach do pokoju
Zii.

- Zapukaj, jeśli obudzisz się pierwsza - poprosił. - Zjemy tutaj
śniadanie, żeby od rana być w szpitalu.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Dziękuję, że przyjechałeś ze mną
tutaj i pomagałeś nam przez cały dzień.

- Gramy w jednej drużynie - powiedział, zaskoczony własną
łagodnością wobec tej kobiety, która dotychczas wydawała mu się wyniosła

i niezbyt zainteresowana bliźnimi. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego i tym podobne.

Skinęła głową, a jej piękne oczy patrzyły na niego osowiałym spojrzeniem.

- Rodziny sobie pomagają - dodał.

Myślał o jej pomysśle, by oddać Caileen części wątroby. Zalała go fala nieoczekiwanej czułości. Do diabła, nie mógł rozeznaczyć się we własnych uczuciach, a tym bardziej w uczuciach Zii.

- Dobranoc - pożegnała go i zniknęła za drzwiami.

Był już w swoim pokoju, ale niepokój nie ustępował. Nie był w stanie się odprężyć. Słyszał przez ścianę, jak Zia bierze prysznic. W jego umyśle zaczęły pojawiać się obrazy - zobaczył ich oboje kąpiących się razem, czuł ciepłą wodę spływającą po ich nagiej ciałach, wzajemny dotyk. Wyobrażał sobie, jak pożądanie znajduje ujście w porywie oszalamiającej namiętności.

Od lat dostrzegał jej urodę, nigdy jednak nie poświęcał jej więcej uwagi. Miał inne sprawy na głowie, jak ukończenie studiów i zdobycie pozycji zawodowej, a i ona nieczęsto pojawiała się w ich wspólnym domu.

Jednego dowiedział się za sprawą niebezpiecznej choroby Caileen - jej córka Zia była istotą głębszą, niż sądził. Czyżby jej wnętrze było równie piękne jak jej zewnętrzna powłoka? Byłaby to wspaniała niespodzianka.

Rozdział 5

Zadzwonił budzik. Była szósta. Zia z trudem zmusiła zeszywniałe, oporne ciało do wstania. Zastukała w ścianę - Jeremy zawołał, że już nie śpi - potem umyła się i ubrała. Po dziesięciu minutach usłyszała jego głos przez drzwi łączące ich pokoje; z każdej strony był w nich zamek.

- Jestem gotowa - oznajmiła, otwierając drzwi.

Owionął ją świeży zapach wody po goleniu. Nagle dotarło od niej, że Jeremy to uosobienie męskiej urody i łagodnego wdzięku. Jeśli do tego dodać jego wrodzoną dobroć, należy sądzić, że jakaś kobieta w przyszłości będzie bardzo szczęśliwa.

A kim będzie mężczyzna, który ją uszczęśliwi?

Coś ją ścisnęło za gardło, jednak zmusiła się do promiennego uśmiechu. Może kiedyś znajdzie takiego. Nie będzie to jednostronne uczucie. Chciała dzielić życie i miłość z tym jedynym, wybranym, któremu będzie mogła zaufać całym sercem... tylko gdzie on jest?

Kiedy zeszli z Jeremym do jadalni na śniadanie, w lustrze za bufetem uchwyciła ich odbicie. Jej blond włosy i jasna cera kontrastowały z jego śródziemnomorską urodą. Byli uderzająco piękną parą. Kiedy szli przez hol hotelowy, recepcjonista przyglądał im się i widać było, że zazdrości Jeremy'emu; czuła, że Jeremy również przygląda się jej odbiciu.

Mężczyźni, którzy jej nie znali, zawsze osądzali ją na podstawie wyglądu. Już wiele lat temu nauczyła się mieć stosowny dystans wobec tego rodzaju nagłych zauroczeń. Niektórzy mężczyźni, choć pilnowała się, by nie rozbudzać w nich fałszywych nadziei, wpadali w gniew, kiedy nie reagowała na ich awanse. Zachowywali się tak, jakby należało im się coś za ich płytkie komplementy, których bynajmniej nie oczekiwała.

Niejeden raz w życiu wyzywano ją od „zimnych suk”. Patrząc na odbicie swoje i Jeremy'ego, zapragnęła nagle, żeby jej życie było prostsze. Żeby była bardziej podobna do matki, która była ładna, niż do ojca, który był zabójczo przystojny...

Jej ojciec żenił się - i rozwodził - trzykrotnie. Czy kobiety oczekiwały od niego więcej z powodu jego urody Adonisa?

- Jesteś dziś jasna i promienna jak poranek - zauważył Jeremy.

- A ty mroczny i nieprzenikniony jak noc - odparła z uśmiechem, usiłując uderzyć w lżejszy ton, choć krew jej zaszumiała w żyłach i zabrakło jej nagle tchu.

- Punkt dla ciebie - mruknął, posyłając jej przez lustro jeden ze swoich olśniewających uśmiechów.

Wciąż jeszcze uśmiechała się, zalewając płatki mlekiem, potem dała się uwieść pączkowi w czekoladzie. Jeremy nie spuszczał wzroku z gofrownicy, z której wychodziły idealnie okrągłe gofry.

- Bardzo chciałabym mieć taką w domu - westchnęła.

- Mrożone też są niezłe. - Podał jej na widelcu kawałek do spróbowania.

- Pycha - pochwaliła.

Zjedli szybko i postanowili przejść na piechotę do szpitala, żeby nie szukać miejsca na parkingu.

Na drugim piętrze, w skrzydle przylegającym do oddziału intensywnej terapii, czekał już Jeff, świeży i wypoczęty. Cały parapet był zastawiony koszami kwiatów i owoców, przez co pokój w jedną noc upodobnił się do ogrodu.

Matka spała, jednak jej policzki i wargi nabrały lekkiego rumieńca. W nosie nie miała już rurki z tlenem.

- Zbudziła się? - spytała Zia.

- Tak, rozmawialiśmy jakąś godzinę temu. Powiedziałem jej, że przyjechaliście - wyjaśnił Jeff. - Prosiła, żeby się nie martwić, bo czuje się dobrze. Kiedy jednak pielęgniarka zaproponowała jej kroplówkę ze środkiem przeciwbólowym, od razu się zgodziła. Od tego czasu śpi.

- Wygląda o wiele lepiej - szepnęła Zia. Jeff zachichotał.

- Musiałem wyszczotkować jej włosy, podać szczotkę do zębów i gąbkę, zanim pozwoliła podłączyć się do kroplówki. Powiedziała, że nie chce być rozczochrana jak jędzka, bo się dzieci wystraszą.

Zia roześmiała się, chociaż oczy zapiekły ją od łez. To cała mama, zawsze dbająca o to, co myślą i czują inni. Nachyliła się i złożyła pocałunek na chłodnym czole; gorączka najwyraźniej ustąpiła.

- Jedliście? - spytał Jeff.

- Tak, w hotelu - odparł Jeremy.

- Wobec tego zejść teraz do barku. Nie chciałem wychodzić, żeby nie przegapić wizyty doktora.

- Idźcie razem - zaproponowała Zia. - Ja zostanę. Będę się czuła choć trochę przydatna.

Po wyjściu mężczyzn przysunęła krzesło i oparła nogi o krawędź łóżka. Patrzyła przez okno na słoneczne niebo
I czuła, że powoli zaczyna odzyskiwać ducha.

Po trzech kwadransach nadeszli jednocześnie Jeff z Jeremym i starszawa, dostojnie wyglądająca lekarka.

Doktor Cohen, jak się okazało, była naczelnym chirurgiem szpitala. Wydawała się bardzo kompetentna.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, w razie potrzeby jest pani gotowa zostać dawcą - zwróciła się do Zii, lustrując ją wzrokiem.

- Jeśli to możliwe.

- Ja też zgłaszam się na ochotnika - wtrącił się Jeremy. - Mam tę samą grupę krwi, więc też się nadaję.

- I ja też - zgłosił się Jeff. Doktor Cohen uśmiechnęła się do całej trójki.

- Od operacji co cztery godziny analizujemy w laboratorium poziom enzymów pani Aquilon. Jeszcze nie wróciła do normy, ale stan się poprawia, więc niewykluczone, że ruszył proces regeneracji.

- Można to już stwierdzić? - dopytywał się Jeff.

- Znałam pacjentów, którzy w ciągu tygodnia odtwarzali pięćdziesiąt procent zniszczonej wątroby. Wątroba to zdumiewający narząd.

Zia zauważyła, że oczy Jeffa wilgotnieją; odwrócił się, ocierając twarz dłonią.

- Teraz nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać - ciągnęła lekarka. - Jeśli do jutra gorączka nie wróci, będziemy mogli uznać, że najgorsze już minęło.

- Kiedy będzie zdrowa? - spytał Jeff.

- Sześć do ośmiu tygodni rekonwalescencji i wróci do normalnego życia.

- O mnie mowa? - pogodny głos przeciął zbiorowe westchnienie ulgi.

- Ej, dziewczynko - Jeff przyszedł do łóżka i wziął ją za rękę - napędziłaś nam niezłego stracha.

- Przecież mówiłam ci, że nic mi nie będzie - odparła Caileen, patrząc mu przez ramię. - Teraz przynajmniej wiem, co oprócz ślubu może was ściągnąć do domu.

- Proszę nie dawać jej więcej tych środków znieczulających - zwrócił się Jeremy do lekarki. - Robi się po nich niemożliwa.

Śmiech rodziny i jej własne chichotanie dotarło do Zii jak z oddali. Ogarnęła ją dziwna lekkość, jakby unosila się w powietrzu. Wyszukała krzesło, na którym siedziała wcześniej i opadła na nie. Nigdy w życiu nie zemdlala i nie groziło jej to teraz, jednak na dźwięk głosu matki przeżyła większą ulgę, niż mogła się spodziewać.

Przez resztę dnia Caileen jeszcze przysypiała i budziła się na przemian, jednak w pokoju panował już weselszy nastrój. Jeff z Jeremym rozmawiali o swojej pracy i polityce, Zia zadowalała się słuchaniem.

Kiedy matka oświadczyła, że jest głodna, a następnie zirytowała się na wiadomość, że musi poczekać na zgodę lekarza, Zia nie mogła pohamować śmiechu. To była ogromna ulga widzieć Caileen domagającą się posiłku, jak zdrowy człowiek.

Spotkali się z Jeremym wzrokiem, wymieniając konspiracyjne uśmieszki. Chciało jej się śmiać bez powodu, z czystej radości.

Matka nie była jeszcze w formie, ale Zia czuła, że wstępują w nią nowe siły i nowa nadzieja.

O dziewiątej wieczór, kiedy Caileen wypila filiżankę bulionu - mimo wszystko nadal odżywiano ją przez kroplówkę - Jeff zaproponował, żeby już sobie poszli. Miał ochotę się wyciągnąć.

- Mam w pokoju hotelowym dwa łóżka - przypomniał Jeremy. - Możemy spać razem. Albo ja zostanę tutaj, a ty odpoczniesz.

Stryj pokręcił głową.

- Będę spał spokojniej, trzymając rękę na pulsie - uśmiechnął się, sięgając po rękę żony.

- Cieszę się, że mama spotkała Jeffa - powiedziała Zia parę minut później.

Szli z Jeremym ulicą. Zapadał zmierzch.

- Są szczęśliwi ze sobą - stwierdził z westchnieniem.

- Początkowo nienawidziłam jej odnalezionego szczęścia. Byłam zazdrosna, że jej życie zaczynało się układać - próbowała się roześmiać, by pokazać, że po latach to wszystko nie ma już znaczenia, jednak śmiech zabrzmiał dziwnie ochryple - podczas, gdy moje... rozpadało się w gruzy.

- To naturalne - zauważył.

- Jesteś urodzonym dyplomata.

Przed swoimi drzwiami przystanąła i spojrzała na Jeremy'ego.

- O co chodzi? - spytał czujnie, trochę speszony, trochę rozbawiony.

- Bardzo mi przypominasz twojego stryja - powiedziała cicho.

- Jest sto razy lepszy, niż ja będę kiedykolwiek.

Potrząsnęła głową, a potem, pod wpływem nagłego impulsu, położyła dłonie na jego ramionach i uniosła twarz, aby poszukać jego ust.

Jeremy znieruchomiał. Poczowała ucisk jego piersi, kiedy gwałtownie zaczerpnął tchu. Oplótł ją ramionami i uwięził w uścisku.

Jak ciepło, zdążyła pomyśleć. Jak bezpiecznie. Przywarła do niego całym ciałem i pocałowała. Jeszcze, jeszcze!

Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Przestała myśleć. Przez chwilę znalazła się poza czasem, napawając się jego bliskością i magią tej chwili.

Jeremy pachniał lasem i zapach ten zdawał się spowijać ją kokonem, chronić przed światem, który nie obchodził się z nią za dobrze. Wsparała się na nim, czując siłę emanującą z jego ciała.

Mięśnie Jeremy'ego były twarde i napięte. Przywarła do niego całą sobą i poczuła, że ich ciała stapiają się w jedno tak zgodnie, tak naturalnie, że nie musi nawet myśleć o tym, dlaczego tak się dzieje, ani zadawać tysiąca innych pytań, które zwykle cisną się na usta.

Kiedy przeciągnął językiem po jej ustach, otworzyła się na niego z namiętnością, jakiej nie zaznała od lat. Jego dłonie, duże i łagodne, gładziły jej plecy, kojąc i podniecając zarazem. Jego dotyk, chwilami był ledwie muśnięciem, chwilami stawał się mocny, nagły i budził w niej pragnienie zjednoczenia.

Miała świadomość, że do tego nie dojdzie.

Na chwilę ogarnął ją smutek. Z westchnieniem odsunęła się leciutko, zaledwie na milimetr. Natychmiast wypuścił ją z objęć.

Czoło przecięła mu gniewna bruzda. Nie mógł uwierzyć w to, co mu się przed chwilą wydarzyło, i to, jak na złość, właśnie z Zią.

- Zia, na Boga, wybacz - wybąkał. - W ogóle nie miałem takiego zamiaru. Nie wiem, jak to się stało...

- Nie ma sprawy. - Chciała oszczędzić mu tych przeprosin. - To po prostu zmęczenie i... ulga - dodała, usiłując przekonać samą siebie, że mówi szczerą prawdę i że nic się właściwie nie stało.

- Masz rację. Oboje ostatnio żyliśmy w stresie z powodu zmiany pracy, przeprowadzki, a potem choroby Caileen. W tej sytuacji człowiek łatwo traci głowę.

- To oczywiste.

Chwyciła się jego słów jak ostatniej deski ratunku. Szybko przekręciła klucz w drzwiach i, życząc mu dobrej nocy, weszła do siebie.

Najdziwniejsze było to, że wcale jej nie zachwycił ten grad usprawiedliwień dla ich niemądrego zachowania.

Młodzi i głupi...

Czy to się już nigdy nie powtórzy? Czy nigdy nie dane jej będzie po prostu zaufać drugiej osobie?

Zapewne nie.

A przecież w ramionach Jeremy'ego, przez tych parę chwil, czuła się tak bardzo na właściwym miejscu... pożądana... kochana. Jak to w ogóle możliwe? Co się z nią dzieje?

Gdy następnego poranka Jeremy wszedł pod prysznic, zza ściany dobiegał już szum płynącej wody. Jego ciało zareagowało natychmiast. Te wszystkie ekscesy z Zią w roli głównej, jakie gwałtownie nawiedzały ostatniej nocy jego niczym dotychczas niezmacony sen, to jedno, ale prawdziwa Zia to przecież coś innego...

Jęknął na samo wspomnienie wczorajszego pocałunku, który obojgu uderzył do głowy. Czuł, jak jego ciało napina się, spragnione swej drugiej połowy. Do diabła, sam nie wiedział, jak do tego doszło. To ona zrobiła pierwszy ruch - tego był prawie pewien - ale on, cóż, dokonał reszty. Znów zaklął.

Zanim zasnął poprzedniej nocy, przez godzinę lub dwie analizował wszelkie szczegóły tej sceny i doszedł do wniosku, że nieoczekiwany pocałunek Zii był po prostu wyrazem wdzięczności za jego wsparcie i ulgi, że matka czuje się lepiej.

To z jego winy sprawy zaszły za daleko. Krzywiąc się na wspomnienie rozpaczliwego pragnienia, które wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem, wszedł pod strumień wody i namydlił się. Jego libido, mówiąc szczerze, miało w nosie powody, dla których Zia zbliżyła się do niego. Było bezczelnie zachwycone, że wpadła na ten pomysł.

Noc była jednym wielkim marzeniem o spełnieniu, a wezbrana rzeka pożądania toczyła swe bezkresne wody w jego snach. Jeremy, choć bardzo się starał, nie był w stanie zatrzymać jej biegu i zasnąć zwyczajnie, jak porządny człowiek.

Porządny człowiek! Doprawdy, żarty! Jeden dotyk jej ust i był stracony. Dotyk jej ciała, które poddawało mu się tak delikatnie, pozbawił go wszelkiej rozwagi. Przez chwilę wydawało mu się, że Zia do niego należy. Co gorsza, jakaś jego część nadal pragnęła ją zawłaszczyć, powiedzieć wszystkim, żeby trzymali ręce przy sobie, ponieważ jest jego kobietą.

Sto razy trudniej byłoby być przy niej i nie pamiętać... nie pragnąć...

Przestawił kurek na zimną wodę.

Po dwudziestu minutach usłyszał stukanie i otworzył drzwi od swojej strony.

- Gotowy? - spytała.

Wyglądała rześko jak ptaszek w czerwonych spodniach, białej bluzeczce i czerwono-białych koralach i klipsach. Z sandałów wystawały polakierowane na czerwono paznokcie, na których widok znów przeszło go dojmujące pragnienie.

Cóż, chyba przepadł z kretesem.

- Gotowy. Chcesz, żebym ci dziś zrobił gofra? - spytał, żeby odwrócić uwagę od jej soczystych ust, piersi nabrzmiątych pod obcisłą bluzką, krągłości jej bioder.

Jęknął w duchu.

- Byłbyś tak dobry? Przyznam, że o niczym innym nie marzę od czasu jak wczoraj dałeś mi spróbować swojego.

Gawędząc po koleżeńsku, zeszli do jadalni. Zia naląła im kawy i soku, a Jeremy przygotował gofry dla obojga. Przy stole przeglądali lokalną prasę i oglądali wiadomości telewizyjnych.

Na ekranie pojawiła się relacja z pokazu mody.

- Kto zdrowy na umyśle ubrałby się w coś takiego? - skomentowała Zia komplet dżinsowy, który wyglądał, jakby się miał rozpaść za najłżejszym podmuchem wiatru.

- Cóż, może do sprzątania podwórza - zasugerował Jeremy.

Zachichotali. Dolał kawy obojgu, po czym wrócił do działu sportowego gazety. Zia zadzwoniła do ojca, żeby powiedzieć mu o chorobie Caileen i o swoich planach związanych z nową pracą. Potem wzięła się do lektury recenzji książek i wiadomości gospodarczych.

Scena ta przypomniała mu weekendowe poranki, kiedy Jeff i Caileen przesiadywali przy stole, podczas gdy on, Tony i Krista zajmowali się już swoimi sprawami. Stryj i matka Zii lubili czytać sobie na głos wiadomości i dyskutować o nich. W tamtych czasach jemu i kuzynom wydawało się to zachowaniem godnym co najwyżej emerytów.

Ogarnęło go poczucie straty. Nagle dotarło do niego, jak bardzo brakuje mu tych poranków, obecności tych dwojga ludzi, którzy otoczyli ich miłością i troską. W pędzie do kariery odstawił na boczny tor całą resztę - przyjaciół, związki, miłość - wszystko po to, żeby zdobyć pozycję w świecie.

Przy sąsiednim stole usiadła para w zbliżonym do nich wieku, przerywając Jeremy'emu zarówno rozmyślenia, jak i przyjemność popijania kawy z piękną kobietą.

- Wolałabym iść do muzeum - oznajmiła kobieta kwaśno.

- Ja chcę jeszcze pochodzić po górach. - Mężczyzna rozłożył mapę. - Moglibyśmy wjechać na górę wyciągiem narciarskim, pochodzić tam, a potem zejść na dół i zjeść lunch w schronisku.

Oboje udawali, że nie słyszą, jak para kłóci się o to, jak spędzić ostatni dzień niewątpliwie rozkosznego małżeńskiego urlopu.

- Idziemy? - spytał, kiedy Zia skończyła gofra. Skinęła głową.

W drodze do szpitala rozkoszował się jasnością poranka, ćwierkaniem ptaków na drzewach, urodą kobiety idącej u jego boku.

- Ta para z jadalni powinna wyjść na dwór - mruknął. - W takie dni jak dziś, cały świat wydaje się w porządku.

- Ale potem dochodzisz do szpitala i orientujesz się, że nie wszystkich to dotyczy.

- Kiedy byłem mały, zanim ojciec umarł, miałem ukochanego psa. Był moim rówieśnikiem, ale dla psa to był podeszły wiek. Wynosiliśmy go z ojcem na słońce, bo miał reumatyzm - urwał, zagłębiając się we wspomnieniach. - Buster i mój ojciec umarli tego samego roku. To był koniec pewnej epoki w moim życiu - zakończył cicho.

- Straciłeś dwie ukochane istoty.

Odchrząknął zakłopotany. Co się z nim działo? Nigdy przy nikim nie roztkliwiał się nad sobą!

- Zmierzam do tego, że... hm, chorych powinno się wynosić na słońce. Wydaje mi się, że szybciej by tam zdrowieli niż w pokojach.

- Zgadzam się. O ile wiem, szpitale miały dawniej własne solaria. Chyba gdzieś o tym czytałam.

- Czyli miałem dobry pomysł.

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech. Poczucie winy, niejasny dyskomfort z powodu tamtego pocałunku, ustąpiły. W drzwiach szpitala przepuścił Zię przodem, po czym zaczął ją gonić po schodach. Uniosła brew, jakby zwątpiła w jego zdrowe zmysły, ale podjęła wyzwanie i ruszyła w górę. Przeskakiwali po trzy stopnie na raz. Na drugie piętro dotarli z zadyszką, ale roześmiani.

Przez kilka chwil, kiedy szedł korytarzem do pokoju Caileen, czuł, że mógłby tak biec w górę bez końca - gdyby tylko była przy nim Zia.

Zastali matkę siedzącą w łóżku, radosną jak ptaszki, które widzieli w drodze do szpitala. Jeff czytał jej na głos artykuł z gazety, tak jak Jeremy czytał Zii tego ranka. Scena była tak swojska, że zachciało jej się płakać.

Oczywiście nie rozplakała się. Podeszła do matki i uścisnęła ją. Potem uścisnęła Jeffa, przepelniona wdzięcznością za to, jakim był człowiekiem, za miłość i troskę okazywane jej matce.

- Jeremy, weź go na dół i nakarm - poprosiła Caileen - bo inaczej zaraz stanie się marudny jak niedźwiedź obudzony z zimowego snu.

- Patrzcie no, kto tu się tak wymądrza. - Jeff wznosił oczy do nieba. - Od wczoraj domaga się czegoś konkretniejsze-go niż bulion. Doktor obiecał, że dostanie wieczorem jakiś przecier, jeśli poziom enzymów nadal będzie wzrastać.

- Wcale nie prosiłam o papkę dla niemowląt - skrzywiła się Caileen. Wybuchnęli śmiechem.

Kiedy panowie wyszli, Zia wzięła matkę za rękę.

- Zabrali jedną kroplówkę i usunęli monitory. To dobry znak. Był już lekarz?

- Tak, zaraz po szóstej. Nie wiem, kiedy on śpi i widzi swoją rodzinę. Skoro już mowa o rodzinie, dzwonili Tony i Kri-sta. Prosili, żeby pozdrowić ciebie i Jeremy'ego. Krista i Lance dziś po południu jadą z Francji do Włoch. Mają się tam spotkać z producentem oprogramowania. Za to Tony powiedział mi, że spodziewają się dziecka, masz pojęcie? Nasz zbuntowany Tony zostanie tatusiem! Są bardzo podnieceni.

- Cudownie - ucieszyła się Zia.

Szczerze cieszyła się szczęściem obu młodych par. Znaleźli swoją prawdziwą miłość. Westchnęła i poczuła ukłucie zazdrości.

Ostrożnie, skarciła się w myślach.

- Wszystko się dobrze układa. - Kiedy Caileen się uśmiechała, robiły jej się zmarszczki na nosie. - Powinnam była powiedzieć lekarzowi, że od miesiący nie czułam się tak dobrze. Mam teraz wyrzuty sumienia, że musieliście rzucić wszystko z Jeremym i pędzić tutaj.

Zia przysunęła krzesło, żeby mogły wygodnie poplotkować.

-I tak jestem wolna, bo zaczynam pracę dopiero w drugim tygodniu sierpnia. Jeremy parę razy dziennie rozmawia przez telefon z kierownikami swoich budów, tak że nie ma sprawy... - urwała, jakby się nad czymś zastanawiała. - Nie masz powodów, by czuć się czemukolwiek winna.

- Powinnaś szukać mieszkania i zacząć się urządzać. Zagospodarować się w nowym biurze.

- Już to zrobiłam. Jest wielkości schowka na miotły, a sekretarka urzęduje w nim chyba od chwili, kiedy położono kamień węgielny pod ten budynek.

- Ma swoje lata?

- Wiek nie jest problemem - ciągnęła Zia. - Problemem jest jej skostnienie i rutyna. Program rządowy wymusi kilka zmian, które nie będą łatwe do przyjęcia dla takich jak ona.

- Na przykład?

- Choćby rozliczenia. Musimy rozliczać się z każdego projektu i każdego wydanego grosza. Będziemy to robić komputerowo, używając programu, który, moim zdaniem, jest bardzo sprawny. Pobiera informacje z konta bankowego szkoły, przetwarza dane, a następnie odprowadza kwoty

na odpowiednie konta. Otworzyłam rachunek bieżący w banku i wiem, że są podłączeni do sieci. Nie powinno być żadnych problemów.

- Poza tym, że problemem będą osoby, które nie chcą się już się uczyć niczego nowego. - Caileen spojrzała na córkę spod oka. - Dlatego właśnie martwi cię ta sekretarka?

Zia skinęła głową.

- Powinniście z Jeremym wracać do siebie. Jeszcze przed sierpniem poproś ją o pomoc przy wdrożeniu nowego systemu - zasugerowała matka, rozsądnie i taktownie jak zawsze, choć Zia musiała dorosnąć, by to zauważyć.

- Innymi słowy, wciągnąć ją we współpracę, zanim konieczne stanie się obsługa nowego programu?

- Otóż to. - Caileen przerwała na chwilę. - Myślę, że Jeremy mógłby ci pomóc w znalezieniu mieszkania. Na pewno ma dużo kontaktów przez pracę w wydziale transportu.

- Nie przyszło mi do głowy, żeby go o to prosić. Sekretarka z budowy mostu poleciła mnie swojemu kuzynowi, który pracuje w nieruchomościach. Oglądaliśmy kilka miejsc. Niektóre są zbyt kosztowne, inne za daleko od miasta, jeszcze inne praktycznie są ruinami. Hotel Residential jest uroczy, ale zbyt drogi, żeby w nim mieszkać na stałe.

- Może powinnaś wynająć pokój u Jeremy'ego, dopóki czegoś nie znajdziesz. Jego dom, zdaje się, nie jest zbyt daleko?

- Nie, najwyżej pięć kilometrów. Jest uroczy, to znaczy salon i kuchnia. Reszty nie widziałam.

Opowiedziała Caileen o meblach i kolorach i o tym, że Krista udzielała porad wnętrzarskich przez komórkę. Po paru minutach Caileen zaczęła ziewać, więc Zia umilkła. Kiedy matka zasnęła, zapatrzyła się w okno,

mając jednak przed oczyma widok wysokiego, smukłego ciała, które przemknęło w półmroku holu.

Poprzedniej nocy obudziła się ze snu tak realnego, że wciąż czuła usta Jeremy'ego na swoich, chociaż zdawała sobie sprawę, że w pokoju oprócz niej nie ma nikogo.

Mój Boże, ten pocałunek! Co ją skłoniło, żeby się aż tak do niego zbliżyć?

Choć powtarzała to pytanie bez końca, nie umiała znaleźć na nie sensownej odpowiedzi. Co za głupota doprowadzić siebie do stanu, w którym potrzebuje się czyjejś obecności i wsparcia. Nie miała zamiaru zawieszać się na Jeremym ani prosić go o żadne uprzejmości.

O ile Caileen nie widziała nic niestosownego w tym, aby Zia zamieszkała pod jednym dachem ze swym przyszywanym kuzynem, o tyle ona sama miała nawet nie wątpliwości, ale całkowitą pewność, że to najgorsze z możliwych rozwiązań jej problemów mieszkaniowych.

Pożądanie zostało przebudzone. Stało między nimi jak dzikie zwierzę, tygrys gotowy do skoku. To jej wina!

Dotknęła swych ust, wspominając namiętność i potrzebę spełnienia.

Przycisnąwszy dłoń do czoła, jęknęła w duchu, usiłując odsunąć od siebie wspomnienia. Rzecz w tym, że zarówno pożądania, jak i wspomnień nie można uwięzić w żadnej klatce.

Odpychając od siebie te myśli, przypomniała sobie o tym, że matka nauczyła jej jednego - dyscypliny. Ważne tylko, żeby się opanować i mówić stanowcze „nie” za każdym razem, gdy w jej umyśle pojawi się niewłaściwy obraz...

- Hej - przerwał jej rozmyślania cichy głos. Podskoczyła.

- Ćśś. Mama śpi.

Obejrzała się. W nogach łóżka stał Jeff, przyglądając się żonie.

- Ma się zdecydowanie lepiej. Myślę, że możecie oboje już jechać, wracać do swoich spraw. Inaczej będzie się zamartwiać, że tracicie przez nią czas.

- Chyba masz rację. Jeremy ma wiele obowiązków i problemów na budowie. Musimy do południa zwolnić pokoje. Może powinniśmy się wymeldować i ruszyć w drogę na przykład po lunchu?

- Mogę nas spakować i zapłacić za hotel, a ty jeszcze po-bądź ze staruszkami - włączył się Jeremy.

- Dobry pomysł - poparł go Jeff.

- Zapłać za mój pokój moją kartą kredytową - poprosiła Jeremy'ego, a potem, kiedy poszedł pozałatwiać ich sprawy, cicho gawędziła z Jeffem o tym, jak mu idzie, i o tym, co słyhać w Idaho.

Przynieśli kanapki i sok do pokoju i, jedząc, gawędzili z Caileen, która dostała tacę z bulionem i mlecznym napojem odżywczym. Kiedy jęknęła na widok swojego posiłku, oboje wybuchnęli śmiechem.

- Chcesz, to przed odjazdem przeschmugluję ci pizzę? - zaproponował Jeremy, puszczając do niej oko.

- Koniecznie!

- Wykluczone - oznajmiła pielęgniarka, wkraczając do pokoju. - Musiałabym ją skonfiskować, podobnie jak ciasta i pieczywo. - Zmierzyła Caileen temperaturę i ciśnienie. - Dobrze pani wygląda - zauważyła na odchodnym. - W przyszłym tygodniu pizza murowana.

Po tym optymistycznym stwierdzeniu Zia i Jeremy pożegnali się i wyruszyli w drogę przez Salt Lake City do Vernal. Już na drodze wyjazdowej dogonił ich niż baryczny i większość drogi odbyli w strugach deszczu przy akompaniamencie dramatycznych grzmotów.

Prowadzili na zmianę, niewiele rozmawiając po drodze. Dotarli do Vernal parę minut przed północą. Kiedy Zia przesiadła się do swojego wozu, Jeremy jechał za nią aż do hotelu. Odprowadził ją pod same drzwi i wstawił jej torbę do pokoju.

- Daj znać, jak ci idzie szukanie domu. Powiem wszystkim w pracy, że rozglądasz się za czymś.

- Myślę, że spróbuję teraz poszukać mieszkania. W północnej części miasta są nowe apartamentowce.

- Tam są pola golfowe. Będzie drogo.

- Coś w końcu się znajdzie - powiedziała, powstrzymując westchnienie.

- Jasne. - Uniósł dłoń w geście pożegnania. - W najbliższym czasie będę na budowie przy kanionie Desolation. Nadal mamy tam kłopoty. Szef żąda, żebym osobiście pokierował budową.

- Powodzenia - powiedziała, wchodząc do pokoju. - Dzięki za pomoc i za to, że pojechałeś ze mną. Byłeś cudowny.

- Caileen jest dla mnie kimś bardzo ważnym. - Stał już o kilka metrów od niej. - Pomogła Tony'emu i Kriście zaaklimatyzować u stryja Jeffa. Wypełniła pustkę w jego życiu, której my, dzieci, nie byliśmy w stanie zappełnić, chociaż musiało minąć parę lat, zanim to zrozumiałem.

Uśmiechnął się, a ona poczuła ciepło w sercu. Kiedy odjechał i została sama w swoim przyjemnym pokoju, pomyślała o tej tajemniczej, niezwyklej przestrzeni, jaka powstaje tam, gdzie mężczyzna i kobieta kochają się nawzajem.

Czy jej serce znajdzie kiedyś swoją przystań?

Nagle uderzyła ją pewna myśl. A gdyby tak... Jeremy?

Podobał się kobietom. To było widać. Jednak jego uwagę pochłaniała praca i inne sprawy. Może kiedy urządzi swój dom, zacznie rozglądać się za kobietą, która tam z nim zamieszka.

Będzie dobrym ojcem. Tony i Krista zawsze zwracali się do niego ze swoimi dużymi i małymi problemami. Przez ten rok, kiedy mieszkali we trójkę, polegali na nim we wszystkim.

Umyła się i założyła koszulę nocną. Poczowała ukłucie w sercu.

Nie potrafiła zaufać ludziom. Może dlatego niektórzy uważali ją za chłodną i wyniosłą. Wcale nie chciała, żeby ją za taką mieli.

Zgasła światło. Leżała w ciemnościach, ale sen nie nadchodził.

Jeremy dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie ma dla niej więcej czasu. Wypełnił obowiązek, tak jak mu to nakazywało sumienie, a teraz miał inne sprawy na głowie. Problemy na budowie będą go trzymać mocno przy ziemi, czy może raczej przy moście.

Uśmiech wypłynął na jej usta. Wyprawa na budowę była bardzo przyjemna. Wszyscy byli dla niej tacy mili. Dlaczego nie mogłaby teraz tego powtórzyć... kto wie? Może dzięki temu spełnią się jej najskrytsze pragnienia?

Ale najpierw musi skoncentrować się na znalezieniu jakiegoś lokum dla siebie.

O co jej jednak chodziło?

Rozdział 6

Przez następnych parę dni Zia przeglądała ogłoszenia w lokalnej prasie i szukała mieszkania. Obejrzała parę stancji w prywatnych domach, jednak nie odpowiadały jej.

Niektóre były na piętrze, tak że musiałyby wchodzić przez wspólne drzwi i przechodzić przez mieszkanie właścicieli, żeby się dostać na schody do swojego pokoju. Było też mieszkanie z osobnym wejściem, ale musiałyby używać wspólnej kuchni. Inne z kolei znajdowało się nad rozpadającym się garażem: wyglądało tak, jakby się miało zawalić i czekało tylko, aż Zia wniesie bagaże.

Przywykła do większej prywatności, niż oferowało którekolwiek z nich. A przecież czekały ją romantyczne schadzki, kiedy tylko pozna kogoś niezwykłego.

Mieszkania przy polach golfowych miały być oddane do użytku dopiero za trzy miesiące i, jak słusznie przewidział Jeremy, nie bardzo były na jej kieszeń.

Mijały kolejne dni i zaczęła spuszczać z tonu. Nie szukała już idealnego miejsca, wystarczyłoby jej odpowiednie.

Mimo kłopotów mieszkaniowych, docierały do niej również pogodniejsze wieści - matka czuła, się coraz lepiej. Po dziewięciu dniach pobytu w szpitalu wypuszczono ją do domu, jednak przez dwa miesiące nie wolno jej było w ogóle wracać do pracy, a potem tylko w biurze. Oczywiście Caileen niepokoiła się o dzieci i rodziny, którymi opiekowała się jako kurator, musiała jednak przyznać, że odpoczynek jej służył.

Zia dzwoniła co wieczór, dopóki nie przyszedł gigantyczny rachunek telefoniczny. Wtedy zaczęła kontrolować długość rozmów. Opowiadanie,

jak minął dzień i wysłuchiwanie wieści z rodzinnego miasta było niestety zbyt przyjemne.

Lipiec był gorętszy niż zwykle; temperatura nie schodziła poniżej trzydziestu stopni w cieniu. Czwartego Lipca, w święto narodowe, hotel wydał dla swoich gości piknik na trawniku. Potem Zia poszła do parku miejskiego obejrzeć rozgrywkę bejsbolową między miejscowymi przedsiębiorcami a pracownikami służb miejskich, wśród których był burmistrz, kilku strażaków i kilku policjantów. Dochody z turnieju miały zostać przeznaczone na wyposażenie parku i nowe urządzenia nawadniające.

Ku swemu zdumieniu, wypatrzyła Jeremy'ego w drużynie służb miejskich. Niebieska koszulka kleiła mu się do pleców, na czole nosił przepaskę pochłaniającą pot. Miał potężne ramiona, nie była więc zaskoczona, kiedy bez trudu zdobył drugą bazę.

Było w nim coś bardzo pierwotnego, nieokiełznana żywiołowość i surowe piękno. Zrównoważony, spokojny, prawy mężczyzna. Ideał dojrzałej kobiety, która wie, czego chce.

Zia wrzuciła na talerz kilka kanapek i przygnębiona wróciła do swojej samotni.

Hotel zamieszkiwały pary albo rodziny. Wyjątek stanowił sprzedawca garnków, którego mijiała na ulicy - ale nawet on miał psa. Każdy, kogo spotkała tego dnia, był w towarzystwie.

Nic dziwnego, że niektórzy z jej przyjaciół pobierali się z desperacji. Samotność nie była łatwa do zniesienia, zwłaszcza podczas świąt i dni wolnych od pracy.

Ale przecież ona już niedługo będzie miała własne mieszkanie, a od przyszłego miesiąca pójdzie do pracy i wszystko się ułoży. Samotność to coś, z czym nauczyła się radzić sobie już dawno temu.

Jeremy stał na zakurzonej drodze, patrząc za karetką odjeżdżającą z budowy. Sekretarka budowy, która była zorientowana we wszystkim, odjeżdżała właśnie do szpitala. Miał nadzieję, że zdołają dojechać na miejsce, zanim zacznie się poród.

„Pójdzie jak po maśle” - zawyrokował sanitariusz, wkładając lateksowe rękawice i siadając obok ciężarnej. Był lekko podekscytowany. Chyba liczył na to, że wypadnie mu odebrać poród w karetce.

Jeremy stał bez ruchu. Sytuacja znowu obudziła w nim wspomnienia z przeszłości: twarz Zii, w której tylko ciemnoniebieskie oczy zachowały kolor, jej wargi wykrzywione grymasem bólu, ilekroć chwycił ją skurcz, jego straszliwy lęk, że Zia może umrzeć, a on nie ma pojęcia, jak jej pomóc!

Odpędził dramatyczne wspomnienia i wrócił do biura. Kiedy otworzył drzwi, owiało go chłodne powietrze. W zeszłym tygodniu zepsuła się klimatyzacja, kazał ją naprawić ekspresowo. Nie sposób było pracować we wnętrzu, gdy temperatura sięgała czterdziestu stopni i więcej.

Sadowiąc się przy burku Tiny, usiłował przypomnieć sobie instrukcje, jakich mu udzielała, gdy sanitariusze kładli ją na nosze i nieśli do samochodu. Znalazł kwity oczekujące na jego podpis, podpisał, po czym zaczął się biedzić, która z potrójnych kopii powinna być dołączona do wypłaty, która ma powędrować do szafy z segregatorami i co, do diabła, zrobić z trzecią kopią.

Uporawszy się z papierkową robotą, przeszedł do barakowozu inżynierów, by obejrzeć próbki podłoża, które kazał pobrać po obu stronach wąwozu. Choć jego zwierzchnikom wcale się to nie podobało, trzeba było ponownie pogłębić wiercenia, gdyż fundamenty filaru musiały być posadowione o dodatkowe półtora metra głębiej.

Opóźnienia oznaczały dodatkowe koszty. Na szczęście udało się przeforsować projekt udostępnienia parku narodowego dla celów turystycznych i rekreacyjnych; za tą decyzją napłynęły rządowe fundusze.

Resztę dnia spędził z naczelnym inżynierem i kierownikiem budowy. Kiedy już opracowali optymalną strategię, ruszył do miasta i oczekującej tam góry papierów.

Te wszystkie cholerne raporty! Zrobiłby dwa razy więcej, gdyby ich nie było.

Zia patrzyła na członków miejscowego zarządu szkół, jakby mówili do niej w obcym języku.

- Brak funduszy stanowych? - powtórzyła, nie mogąc się połapać w sytuacji.

- Fundusze stanowe miały uzupełnić dotację rządową - wyjaśnił dyrektor okręgowego wydziału oświaty. - Nie mamy środków na pensję dla pani.

- Nawet na rok? - zdumiała się.

- Bardzo nam przykro - oświadczył przewodniczący. - Podobnie jak pani, jesteśmy w szoku. Kiedy dostaliśmy dotacje rządowe, myśleliśmy, że sprawa jest już przesądzona.

- A mój kontrakt?

- Cóż, ponieważ nie podjęła pani jeszcze pracy, prosilibyśmy, żeby uznała go pani za... nieistniejący.

Wyraz twarzy przewodniczącego wskazywał na to, że oczekuje, iż Zia przyjmie werdykt bez szemrania.

- Szanowni państwo - wstała, po kolei patrząc na każdego członka rady i dyrektora wydziału. - Żeby przyjechać tutaj, zrezygnowałam z bardzo dobrej posady. Wyprowadziłam się z mieszkania i oddałam meble na

przechowanie, dopóki nie znajdę tutaj domu. Podpisaliśmy umowę.

Zerwanie kontraktu jest możliwe tylko w drodze negocjacji. Mam nadzieję, że się dobrze rozumiemy.

- Nie mamy pieniędzy, żeby płacić za nieistniejącą pracę - stwierdził chłodno przewodniczący.

- Jestem gotowa do podjęcia moich obowiązków.

- Musimy porozmawiać z naszym radcą prawnym - oznajmił przewodniczący.

Zia uśmiechnęła się z wyższością. W swojej dawnej pracy przywykła do obcowania z biurokratami na szczeblu rządowym, stanowym i lokalnym.

- Nie mam nic przeciwko temu. Proszę też zwrócić uwagę radcy, że kontrakt nabiera mocy prawnej od chwili podpisania, czyli od maja, nie zaś od chwili podjęcia pracy. Zrywając umowę, jesteście zobowiązani wypłacić mi sześciokrotny ekwiwalent miesięcznej pensji, równie dobrze moglibyście więc płacić mi pensję - zasugerowała. - Może przez ten czas udałoby się wam przekonać władze stanowe, by dorzuciły się do dotacji, albo wygospodarować te pieniądze z waszego budżetu. Program jest zbyt dobry, żeby z niego rezygnować. Macie numer mojej komórki - dorzuciła, stojąc przy drzwiach. - Jeżeli nie zaproponujecie innego rozwiązania, albo nie dostanę czeku na kwotę przewidzianą w wypadku zerwania umowy, pojawię się w biurze w drugim tygodniu sierpnia.

Opuściwszy nowoczesny gmach kuratorium - skąd, do diabła, wyrwali fundusze na jego budowę? - ruszyła ulicą w stronę hotelu.

Próbowała ochłonać i dojść do siebie po rozmowie, ale słońce paliło niemiłosiernie. Kiedy dostała wezwanie do kuratorium, przygotowała się do wypowiedzi na temat zmian programu, a także wdrożenia komputerowych

programów kalkulacyjnych, których obsługi miała nauczyć personel zgodnie z zaleceniami rządowymi.

Była pełna entuzjazmu i przez myśl jej nie przeszło, że wzywają ją, by zerwać dawno podpisany kontrakt. Westchnęła. Czuła, jak otucha wycieka z niej na gorący chodnik, pod obcasy jej beżowych pantofelków.

W gruncie rzeczy poczuła się zdradzona.

Nie po raz pierwszy w życiu, stwierdziła, kiedy dotarła do hotelu i poszła się przebrać w trykotową koszulkę i szorty.

Ze szklanką mrożonej herbaty wyszła na werandę i siadła boso na fotelu bujanym, zagłębiając się we wspomnieniach.

Kiedy miała cztery lata i zorientowała się, że ojciec rozstaje się z matką, szlochając przywarła do niego. Nie chciała pozwolić mu odejść. Uwolnił się jednak z objęć i odsunął ją od siebie. Powiedział, że dostał pracę w innym stanie, ale wróci do niej.

Nie wrócił.

Kiedy miała dziewiętnaście lat, Sammy wyraźnie dał jej do zrozumienia, że może być jego dziewczyną tak długo, jak długo nie będzie żadnych komplikacji. Rzucił ją, kiedy tylko się pojawiły. Nie bacząc na jej łzy, wyszedł z jej domu, nie odwróciwszy się ani razu.

Nauczyła się nigdy, przenigdy nie okazywać uczuć w obliczu rozczarowania, zawodu czy zdrady. Westchnęła kolejny raz, głęboko, na granicy żalu, rozpacz i tysiąca innych bezużytecznych uczuć.

Powinna wreszcie postawić krzyżyk na tym wszystkim. Ileż można żyć przeszłością!

Z pewnością potrafi znieść rozczarowanie z powodu utraty pracy, której nawet nie zaczęła. Po prostu musi znaleźć inną posadę, żeby mieć za co żyć, gdzie mieszkać i na tym podobne luksusy, stwierdziła z wisielczym

humorem. - Może jutro - mruknęła, przykładając chłodną szklankę do czoła z kolejnym westchnieniem.

Jutro. Jutro na pewno będzie lepiej.

Do Vernal przyjechała pod koniec czerwca. Teraz był poniedziałek siedemnastego lipca. W sobotę zapłaciła za kolejne dwa tygodnie w hotelu. Na pewno znajdzie coś do końca miesiąca.

Skąd jednak brała się jej nieuzasadniona pewność?

Roześmiałyby się, gdyby nie to, że do oczu napłynęły jej łzy.

Nie będzie płakać. O nie!

Jeremy zaklął i cisnął długopisem przez całą długość przyczepy. Długopis uderzył w ścianę i spadł za szafkę z dokumentami. Mężczyzna sapnął ze złości, odepchnął krzesło i ruszył do drzwi. Musiał zjeść lunch, a potem iść na dywanik do króla rewidentów stanu Utah, spowiadać mu się z problemów budżetowych, co potrwa zapewne aż do wieczora. Była środa. Sam środek upiornego tygodnia.

W mieście udało mu się znaleźć miejsce w cieniu na parkingu przy wydziale transportu; było to pierwsze szczęśliwe wydarzenie, od kiedy Tina poszła przed tygodniem do szpitala i urodziła o dwa tygodnie za wcześnie maleńkiego synka. Mama i dziecko mieli się dobrze.

Niestety, nie mógł tego samego powiedzieć o sobie. Zatrzasnąwszy drzwi ciężarówki, skierował się do restauracji serwującej zupy i sałatki. Kątem oka dostrzegł znajomą sylwetkę.

- Cześć, Zia - zawołał.

Kiedy odwróciła się w jego stronę, zabrakło mu tchu. W białych szortach i niebieskim topie, z włosami związanymi w koński ogon rozwiewany podmuchami lekkiego wiatru, który po południu zawsze wiał od gór, wyglądała jak ucieleśnienie marzeń każdego nastolatka.

Cóż. Nie był już młodzieniaszkiem, ale jego serce zaczęło walić jak maszyna parowa z jednym tłokiem. Śnił o niej na okrągło przez kilka tygodni po, tamtym pocałunku, kiedy Caileen wylądowała w szpitalu.

- Cześć. - Zatrzymała się w bezpiecznej odległości.

- Idę na lunch. Dotrzymasz mi towarzystwa?

Wahała się tak długo i ostentacyjnie, że targnął nim gniew. Co się z nią dzieje?

- Rozumiem, masz inne plany - wyręczył ją. Zaczął szykować się do odejścia.

-Nie, zaczekaj. Ja... sama nie wiem... to znaczy, tak, lunch to miły pomysł.

Zmusił się do uśmiechu. Ochłonął. Zia znów była sobą -wyniosłą, zdystansowaną dziewczyna. W porządku, dla niego to nic nowego.

Zrównując z nią krok, wskazał na małą restaurację. Skinęła głową. W milczeniu weszli do środka, zamówili dania i zapłacili, a dopiero potem rozejrzeli się za stolikiem.

Jeremy poczuł się trochę nieswojo, kiedy Zia odliczyła z portmonetki dokładną należność za swoją porcję. Nie proponował, że zapłaci za nią, bo w przeszłości odmawiała z chmurnym, wyniosłym wyrazem twarzy.

- Mam nadzieje, że znalazłaś już mieszkanie? - odezwał się, wsypując trzy łyżeczki cukru do wielkiej szklanki mrożonej herbaty.

- Niestety, nie - odparła, nie podnosząc wzroku. Wycisnęła plasterk cytryny do szklanki z wodą. - Nie jestem pewna, czy zostanę tutaj.

Próbował zrozumieć, o co w tym chodzi, ale poddał się.

- Nie spodobało ci się nasze miasto? Potrząsnęła głową. Jej uśmiech był chłodny, odległy.

- Moja praca nie wypaliła.

- Co takiego? Mówiłaś, że podpisali trzyletni kontrakt!

Gdyby nie przyglądał jej się uważnie, przeoczyłby zapewne, że oddycha powoli i głęboko, jakby usiłowała opanować się, zanim zacznie mówić.

- Nie dostali dotacji, więc zrezygnowali ze mnie. Kuratorium chce unieważnić kontrakt.

- Wolno im?

- Legalnie nie. Muszą zapłacić mi odszkodowanie. - Zaśmiała się ironicznie. - Rzecz w tym, że orientuję się, jak cienko szkoły przędą i czuję się winna.

- A co z tobą? Tobie się dobrze powodzi?

- Nie lubię wydawać oszczędności. - Zagryzła wargi, potem uśmiechnęła się. - Pamiętam, z jakim trudem mama płaciła rachunki, kiedy byłam mała. Którejś nocy zbudziłam się, a ona płakała. Rachunki leżały porozkładane na całym stole. Dostałam ataku astmy i musiała mnie zawieźć na pogotowie.

Kiedy skończyła, Jeremy milczał, jakby przeżuwał to, co usłyszał.

- To z mojej winy ciągle brakowało nam pieniędzy - podjęła po chwili. - Z pieniędzy na jedzenie musiała kupować mi lekarstwa, których nie obejmowało ubezpieczenie. Może dlatego wyrosłam z choroby. Wiedziałam, że nas na nią nie stać.

Znów zaśmiała się krótko, a on poczuł, że serce mu się ścisza z żalu, bo poza ironią w jej głosie słyszał ból i poczucie winy.

- Umowa pozostaje umową - upierał się. - Ty też musisz z czegoś żyć. Kuratorium nie powinno było podpisywać z tobą kontraktu, nie mając pewności co do swojej sytuacji.

- Tak też sobie mówię, ilekroć do nich dzwonię.

Zawahał się. Albo wpadł właśnie na genialny pomysł, albo działał pod wpływem chwilowej niepoczytalności.

- Pamiętasz Tinę z budowy? Skinęła głową.

- W zeszłym tygodniu urodziła dziecko, ponad dwa tygodnie za wcześnie. Chce przedłużyć urlop macierzyński do sześciu tygodni. Potrzebuję kogoś na zastępstwo. Byłabyś zainteresowana? Zanim zdecydujesz, co chcesz robić, albo kuratorium zmieni zdanie - dodał z zamętem w głowie.

Patrzyła na niego w osłupieniu, nic nie mówiąc.

- Tak mi przyszło do głowy - tłumaczył się. - Tylko chwilowo. Potem, oczywiście, znajdziesz coś na swoim poziomie...

- Nie, nie - przerwała. - To brzmi bardzo dobrze. Mogłabym przez chwilę odetchnąć... jeśli rzeczywiście masz na to ochotę. Czy... czy to ty mnie zatrudnisz, czy jakaś instytucja?

Roześmiał się.

- Mogę wziąć kogoś na zastępstwo za sekretarkę. Prawdę mówiąc, mój szef uważa, że im prędzej, tym lepiej. Mamy straszny bałagan.

- Nie mam pojęcia o wydziale transportu.

- Cóż, to jest moja działka. Twoje obowiązki polegałyby na odbieraniu telefonów, spławianiu interesantów, porządkowaniu dokumentacji, sprawdzaniu rachunków... zwykła, biurowa robota.

Przez chwilę miał dziwne uczucie, że widzi łzy w jej oczach. Nie, to nie ona, uznał, widząc, jak znów się uśmiecha na swój chłodny, opanowany sposób.

- W porządku. - Wyciągnęła do niego rękę. - Umowa stoi, jeśli jesteś pewien, że mnie potrzebujesz.

- Jestem pewien.

Jeremy potrząsnął jej dłonią, choć w jego duszy powoli zaczęły się budzić spóźnione wątpliwości.

Nie, nie ma się nad czym zastanawiać, w ten sposób problemy obojga zostaną rozwiązane.

Tak. To dobry pomysł.

Jeszcze jedna rzecz przyszła mu do głowy. Zawahał się, w końcu jednak doszedł do wniosku, że raz kozie śmierć. Skoro powiedział A, musi teraz powiedzieć B.

- Chcesz u mnie zamieszkać? Mam wolny, wykończony pokój. Co prawda jeszcze nieumeblowany. Możesz sobie wybrać, co ci będzie potrzebne, jeśli oczywiście zdecydujesz się zamieszkać. Przez jakiś czas.

Przez sekundę zobaczył na jej twarzy wyraz zdumienia, zaraz jednak wykwitł na niej promienny uśmiech.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że będę ci płacić - zapowiedziała Zia.

W sobotę położyli z Jeremym materac na jej szerokim łóżku.

Zaproponowała, żeby zamiast kupować coś nowego, odebrać jej meble z przechowalni. Kiedy Jeremy zorientował się, że Zia musi opłacać przechowalnię, zaproponował przeniesienie wszystkich mebli do niego.

Wyposażenie łazienki i kuchni, a także meble z salonu złożyli w szopie na tyłach domu.

- No i jak ci się podoba? - spytała zadowolona, po tym jak cały dzień meblowali jej pokój.

W rogu pokoju stanął klonowy stolik, leżanka i lampa do czytania. Przez okna po obu stronach wpadało jasne światło.

Ściany pomalowano pastelową żółtozłotą farbą, dodatkowo pokrytą sztuczną patyną. Aż trudno było uwierzyć, że ostatnie pociągnięcia pędzla miały miejsce zaledwie przed tygodniem. Zia cieszyła się, że jej letnia

narzuta w różowe i żółtozłote kwiaty na niebieskim tle doskonale pasuje do koloru ścian.

Doszła do wniosku, że kilka niebieskich, żółtych i brązowych, odcinających się od narzuty poduszek zrównoważy całość kolorystycznie. Będzie musiała pobuszować trochę w sklepach w Vernal.

Na przeciwległej ścianie stała wysoka komoda z szufladami na odzież. Na blacie Zia postawiła ślubne zdjęcie Caileen i Jeffa.

- To był dawniej taras - wyjaśnił Jeremy, pokazując jej nowy pokój. - Ponieważ jest od południa, postanowiłem obudować go i zamienić w werandę. Za rok albo za dwa założę okna zimowe.

- Świetny pomysł - powiedziała, wyobrażając sobie zimowy krajobraz za oknami.

Pokój Zii był po lewej stronie holu. Po prawej, za kuchnią, znajdowała się pralnia, wspólna łazienka i pokój Jeremy'ego.

Hol rozdzielał dom na dwie części, na jego końcu znajdowały się drzwi na dobudowaną werandę. Stał na niej stolik ogrodowy i cztery krzesła a w narożniku grill na gaz.

Zastanawiała się, czy Jeremy ma jakieś plany na wypadek, gdyby ożenił się i miał dzieci. Przydałaby się tu wtedy jeszcze jedna łazienka i sypialnia. Oczywiście, nie była to sprawa Zii.

- Cóż, przeprowadzkę można chyba uznać za zakończoną - oznajmiła, wrzucając zapasową narzutę do szafy z ubraniami. - Muszę zadzwonić do mamy. Martwiła się, że nie mogą nic znaleźć. Teraz się uspokoi, że jestem w dobrych rękach.

Rzuciła Jeremy'emu łobuzerskie spojrzenie, zakręciła się ze śmiechem na pięcie. Była zachwycona swoim nowym pokojem, szczęśliwa, że udało jej się znaleźć jakieś wyjście, mimo problemów z kuratorium.

Miała zamiar pracować trochę dla Jeremy'ego, dopóki nie wróci Tina, a trochę dla wydziału oświaty, przekazując nowe programy lokalnym pracownikom oświaty. W tym czasie kuratorium miało zwrócić się ponownie do władz stanowych o przyznanie dotacji na wdrożenie programów.

Nie mówiła nikomu, ale dowiadywała się również o swoją dawną posadę w Prom Mieli już kogoś na jej miejsce, ale dyrektor był zachwycony na wieść, że może wpisać jej nazwisko na listę kandydatów na przyszły rok, oczywiście, o ile zwolni się jakieś miejsce.

Wszystko jest na dobrej drodze, pomyślała z zadowoleniem.

Przed nią stał jej nowy gospodarz.

- Rozumiem, że podoba ci się twój pokój - uśmiechnął się czarująco i spokojnie zarazem.

- Źle się czułam, nie mając swojego miejsca - powiedziała dziwnie słabym głosem.

- Więc teraz masz już swoje miejsce? - spytał, patrząc na efekty ich wspólnych wysiłków.

- Tak. Chwilowo mogę przerwać poszukiwania - dodała szybko, żeby nie myślał, że będzie musiał się z nią męczyć Bóg wie jak długo. - Ale praca i miejsce, które nie przerasta moich możliwości finansowych, to spora ulga.

- Udało ci się pogodzić oba harmonogramy?

- Idealnie. Ranki na budowie, popołudnia w mieście. Kiedy Tina wróci, być może będę już pracowała w kuratorium na cały etat.

Skinął głową i spojrzał na zegarek.

- Co byś powiedziała na sandwicza? Potem muszę jechać na most na spotkanie. Możesz się ze mną zabrać, jeśli chcesz.

- Dobry pomysł. Przez ten czas, kiedy będziesz zajęty, obejrzę sobie biuro i zorientuję się, jak Tina prowadzi dokumentację. Zauważyłam, że różni ludzie mają różne sposoby, a nie chciałam jej nic namieszać.

Obrzucił ją baczny spojrzeniem, jakby zdziwiło go, że zna się tak dobrze na pracy biurowej, czy może na ludziach. Nie wiedział, że przez wiele lat pomagała mamie.

Kiedy wyjechali z leśnych terenów wokół domku Jeremy'ego i zbliżali się do kanionu Desolation, Zia wpatrywała się w pejzaż pustyni, jakby widziała go po raz pierwszy. Widząc kwiaty na pękających kaktusach, żółte jak kwiaty szaławii, odetchnęła głębiej, ogarnięta dziwnym spokojem.

- Lubisz pustynię - domyślił się.

- Lubię, mimo że urodziłam się na południu Kalifornii - wyjaśniła. - Mama wróciła do Idaho, skąd pochodzi, kiedy zorientowała się, że potrzebuję innego środowiska, więc przywykłam do karłowatych cedrów i suchych krzewów. W Idaho jest nieco więcej zieleni, prawda?

- Tak. Im dalej na północ, albo im wyżej w górach, tym więcej deszczu.

- Słusznie. - Ponieważ żaden ciekawy temat do rozmowy nie przychodził jej do głowy, umilkła, delektując się jazdą.

Kiedy dojechali na miejsce, przywitała się z dwoma czekającymi na Jeremy'ego mężczyznami. Steve, inżynier, miał trzydzieści parę lat; Gordan, kierownik, musiał mieć około pięćdziesiątki. Zniknęli w przyczepie inżynierów, a Zia poszła do biura.

Przez następne trzy godziny wertowała i porządkowała półmetrową stertę nieprzejrzanych papierzyk, obejrzała dotychczasową dokumentację, stos rachunków i nieotwartych listów, robiąc notatki z pytaniami do

Jeremy'ego. Podlała również roślinki Tiny, odkurzyła i uporządkowała pomieszczenie.

- Tak czystego biura nie widziałem przez cały rok. - Jeremy wszedł do środka, rozejrzał się i gwizdnął z uznaniem. - Tylko nie powtarzaj Tinie, że tak powiedziałem - dorzucił scenicznym szeptem.

Zię nieoczekiwanie dla niej samej ucieszyła ta szczerą i niewymyślną pochwałą.

- Możemy jechać do domu? - spytał.

Poczuła w piersiach coś dziwnego, jakby przeszła ją błyskawica, tylko o wiele przyjemniejszego. „Do domu”. Te słowa nigdy nie brzmiały tak miło, choć przecież był to jedynie dom tymczasowy. Skinęła głową, wzięła torebkę i ruszyła w stronę drzwi.

Jeremy zgasił światło i sprawdził, czy zamek dokładnie zatrzasnął się za nimi.

-I jak się mają sprawy z naprzemiennymi pokładami twardych skał i miękkiego gruntu? - zagadnęła, kiedy ciężarówka, podskakując na wybojach, zmierzała w kierunku autostrady.

- Dobrze.

- O co chodzi? - spytała, kiedy obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Jestem zaskoczony twoją pamięcią. Mało znam kobiet, nawet pracujących w naszej branży, które zaprzętałyby sobie czymś takim głowę.

- Cóż, przez trzy lata pracowałam u ojca, przygotowując się jednocześnie do licencjatu. Ojciec budował domy, a to też wymaga kopania fundamentów i wydobywania kamieni i gruzu. Ponieważ mam pracować na budowie mostu, pozwoliłam sobie przeczytać część raportów, zanim powkładałam je w segregatory.

- Mądrze myślisz - pochwalił, wyraźnie zadowolony. Poczwała się tak, jakby rozbłysła w niej jakaś iskra. Choć ostrzegała się, żeby nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do pewnych rzeczy, nie potrafiła jej ugasić.

Tak bardzo chciała, żeby w nowym miejscu wszystko ułożyło się jak najlepiej.

RS

Rozdział 7

- Zaczynamy!

Zia wyjrzała przez okno biura. Przyłożyła rękę do uszu. Gordan, kierownik budowy, zapowiadał przez megafon eksplozję dynamitu.

Ziemia i kamienie wyleciały w powietrze, zostawiając w powietrzu chmurę pyłu, którą szybko rozwiały powiewy popołudniowego wiatru. Gordan wraz z Steve'em, naczelnym inżynierem, ostrożnie zbliżyli się do wyrwy, szacując jej rozmiary.

Steve uniósł kciuk do góry. Cała załoga, nie wyłączając Zii, zaczęła wiwatować. Śmiać jej się chciało, że podnieca ją coś równie błahego jak dziura w ziemi.

Gordan skinął na operatorkę buldożera, Marti - kobietę, z którą Zia rozmawiała podczas lunchu, kiedy przyjechała pierwszy raz na budowę - żeby zaczęła uprzątać gruz.

Zia, nadal uśmiechnięta, powróciła do pracy. Najpierw uporowała się z segregowaniem dokumentów, potem wzięła się do księgowania. Procedury były bardzo proste i przypominały pracę biurową, którą wykonywała dla ojca, kiedy studiowała w college'u. Lubiła zaprowadzać porządek, a ludzie na budowie byli przyjaźni i od razu uznali ją za jedną ze swoich.

A może po prostu czuła, że nie musi tutaj niczego udowadniać, więc zachowywała się swobodnie?

Trzy sterty papieru czekały na decyzję Jeremy'ego. Spojrzała na zegar. Spóźniał się - ale to nie było zaskoczeniem. Tego ranka miał spotkanie z rezydentem stanowym.

- Idziesz na lunch? - W uchylonych drzwiach pojawiła się twarz Marti.

- Tak. Nie zauważyłam, że już tak późno.

Zia założyła na nadgarstek gumkę z kluczem do przyczepy i w towarzystwie operatorki maszyn ruszyła do namiotu ze stołówką. W ciągu tygodnia, który przepracowała na budowie, zaprzyjaźniła się z Marti.

Wybrały potrawy i zniosły tace do długiego stołu, dołączając do dziewczyny z ich załogi. Sadie miała osiemnaście lat i pracowała jako sygnalistka; od jesieni miała iść do szkoły pielęgniarstwa. Jej ojciec był kierowcą jednej z ciężarówek, które wywoziły gruz.

- Jak leci? - zagadnęła ją Zia.

- Marti o mały włos nie wjechała przede mną tyłem na ciężarówkę mojego taty - skrzywiła się Sadie. - Tato wyglądał, jakby miał dostać apopleksji.

- Mężczyźni zawsze robią z igły widły, zwłaszcza przy rodzinie - pocieszyła ją pogodnie Marti. - Przejdzie mu.

- Mam nadzieję, że nie zdradzi mnie wieczorem przed braćmi. Będą sobie stroić ze mnie głupie żarty, a mama będzie się zadrećzać, że mogłam się zabić.

Zia z uśmiechem przysłuchiwała się, jak Marti pociesza nastolatkę opowieściami o innych świeżo upieczonych sygnalistach, akurat płci męskiej, i o ich wpadkach.

- Żaden nie zginął ani nie uległ obrażeniom - zakończyła Marti triumfalnie.

- Kiedyś musi być pierwszy raz. - Sadie przełknęła kęs hamburgera, mimo wszystko wyraźnie podniesiona na duchu.

- Masz podejście do ludzi, Marti - powiedziała Zia po tym, jak Sadie wróciła do pracy. - Wiesz, co powiedzieć, żeby ich pokrzepić. Moja mama też jest taka. To musi być wrodzony dar.

- E, tam. Po prostu dobrze pamiętam, co to znaczy być jedyną dziewczyną otoczoną stadem mężczyzn wyczekujących na twoje najmniejsze spotkanie. A zaraz, jak się miewa twoja mama?

- Znakomicie. Wzięła się do pracy w ogrodzie i mówi, że trzeba ją będzie siłą zaciągnąć do biura. Ale nie wytrzyma długo bez swoich dzieciaków i ich rodzin... Jak można stać się mądrym? - spytała po chwili namysłu.

- Pytasz mnie czy tak w ogóle? - Marti przyjrzała jej się bacznie.

- Jedno i drugie. - Zia wzruszyła ramionami. - Mam trzydzieści trzy lata. Dlaczego moje życie prowadzi donikąd?

- A dokąd chciałabyś, żeby prowadziło?

- Nie mam bladego pojęcia.

- Masz obniżoną samoocenę, bo zawiodły oczekiwania, z którymi tutaj przyjechałaś. - Marti westchnęła współczująco. - To nie ma nic wspólnego z byciem mądrym, lub niemądrym.

- To dobrze, bo ostatnio czuję się jakoś głupio.

- Hm, może coś ci jeszcze dolega - zasugerowała kobieta. W kącikach jej ust błąkał się dziwny uśmiezek..

- Co? - Zia skończyła pieczonego kurczaka w jarzynach i upiła łyk mrożonej herbaty.

- Może się zakochałaś?

Łyk herbaty uwiązał jej w gardle.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wykrztusiła po długim ataku kaszlu.

- Kiedy zakochałam się w moim mężu, miesiącami nie dopuszczałam tego do świadomości - wyjaśniła Marti. -Dopiero co zostałam operatorem sprzętu ciężkiego i bardzo chciałam wszystkim udowodnić, że poradzę sobie

w świecie mężczyzn. Musiało trochę potrwać, zanim dotarło do mnie, że świat należy do wszystkich, i że wolno mi być, kiedy zechcę, kobietą.

- Gdzie jest teraz twój mąż?

- Zginął trzy lata temu. Odpalał ładunek. Doszło do opóźnionego wybuchu. To taka eksplozja, która nagle odpala ci w twarz, kiedy już myślisz, że zawiodły przewody.

- Strasznie mi przykro. Jeremy nie wspomniał o tym, kiedy mówił, że zwabił cię tu obietnicą lepszego życia dla ciebie i twoich dzieci. Byłam przekonana... myślałam, że jesteś rozwódką.

- Przeprowadzka pozwoliła nam zacząć wszystko od nowa, z dala od wspomnień o lepszych czasach. Dzieciom się tutaj podoba i wszystko jest w porządku.

- Nie czujesz się samotna?

Marti przyglądała jej się długo, zanim odpowiedziała.

- Zawsze będzie mi brakowało mojego Jimmy'ego. - Westchnęła. - Ale dziś wieczór idę z całą paczką na tańce do baru w zachodniej części miasta. Może poszłabyś z nami?

- Nie, nie mogę.

- Podaj choć jeden powód.

W tym momencie do namiotu wszedł Jeremy i rozejrzał się dookoła. Zauważywszy Zię, podszedł do nich.

- Witaj - powiedział, przysiadając się. Zsunął czapkę na tył głowy i otarł rękawem czoło.

- Cześć - odparła Zia, czując, że się rumieni pod bacznym spojrzeniem Marti.

- Widziałem, że uzupełniłaś już dziennik - podjął. - To wielka ulga. Dziś po południu będziemy mieli tutaj rewidenta z ramienia władz stanowych.

- Na słowo „finanse” biorę nogi za pas - oznajmiła Marti. - Moją książeczkę czekową kontrolują moje dzieci. Aha, idziemy dziś wieczorem Pod Bobra. Zabierz Zię. Po rozmowie z rewidentem na pewno będzie potrzebować chwili relaksu.

- Dobry pomysł - pochwalił Jeremy bez entuzjazmu. Cóż, Zia nie oczekiwała wybuchu radości, ale dlaczego spochmurniał?

- Nie musimy. W gruncie rzeczy powinnam... - próbowała szybko przypomnieć sobie, co też takiego powinna.

- Będzie miło - zapewnił ją Jeremy serdeczniejszym tonem. - W każdy piątek wieczorem mają muzykę na żywo. Chodzą tam prawie wszyscy od nas. Możemy wyjść wcześniej, jeśli będziesz zmęczona.

- Dobrze mówi. - Marti wstała, zabierając swoją tacę. - Jeżeli lubisz tańczyć, to jest miejsce dla ciebie. Średnio dziesięciu facetów na ciebie jedną. - Puściła oko do Zii i odeszła.

- Naprawdę nie musisz się mną martwić - Zia zwróciła się do Jeremy'ego. - Nie masz obowiązku mnie zabawiać.

Popatrzył na nią w osłupieniu.

- Jeżeli nie chcesz iść, nie ma sprawy - stwierdził chłodno. - Skończyłaś? Rewident ma tu być koło pierwszej.

Poszła z nim do biura, świadoma nagłego dystansu, jaki pomiędzy nimi powstał. Pierwszy raz. Przez cały tydzień nie wyczuła nic podobnego. Zresztą, Jeremy wracał prawie co noc bardzo późno. Kierował całymi kilometrami robót drogowych, a most nie był jedynym miejscem, w którym miał problemy. Po godzinach zostawał w mieście, bo ktoś musiał zająć się

papierkową robotą, która, w jego odczuciu, była bezproduktywną stratą czasu.

W środę wieczór, kiedy zaproponowała, żeby przywiózł do domu szkice raportów, a ona podszykuje je na swoim laptopie, popatrzył na nią zaskoczony, potem jednak potrząsnął głową.

- Za mało ci płacę, żebyś się ubierała w dodatkową robotę - oznajmił.

Więcej nie proponowała mu już swojej pomocy. Wieczorami samotnie jadła, sałatę z sandwichem na werandzie. Kilka wiewiórek zorientowało się, że ma miękkie serce i jeśli podejda do drzwi z siatki, dostaną od niej resztki sałaty i marchewki.

Często leżała już w łóżku, kiedy Jeremy wracał do domu.

Piątkowe popołudnie minęło niepostrzeżenie. Rewident, rzeczowy mężczyzna w średnim wieku, kazał jej wyszukiwać faktury, a także udostępnić księgi do wglądu. Nie zwracał najmniejszej uwagi na Jeremy ego, który przeglądał projekty, przysłuchując się w milczeniu skąpej wymianie zdań między Zią a mężczyzną.

O piątej, kiedy rewident wreszcie odjechał, Jeremy odetchnął głośno.

- Mam nadzieję, że nie będzie się tu długo kręcił. Czuję się winny, nawet kiedy nie wiem, o czym mówi, jakbym popełnił jakieś przestępstwo, za które gliny wpakują mnie za kratki.

- W razie czego, podam ci pilnik w cieście - pocieszyła go Zia ze śmiechem.

- Dzięki - zachichotał, ubawiony.

- Okazuje się, że rachunki są w porządku. Tina prowadziła księgowość bardzo skrupulatnie, również wszystkie daty są w porządku, więc nie masz powodów do niepokoju. - Wyjęła torebkę z dolnej szuflady i rozejrzała się, by mieć pewność, że wszystko zostawia w porządku.

- Pojadę za tobą do domu - powiedział, otwierając przed nią drzwi. -

Do pubu pojedziemy koło siódmej.

- Będę miała dość czasu, żeby ugotować kolację.

- Nie musisz dla mnie gotować - zastrzegł natychmiast.

- Moja mama byłaby wstrząśnięta, gdyby się dowiedziała, że tego nie robię. Rzuciła mu przez ramię komiczne spojrzenie. Ruszyli razem w stronę parkingu.

Przystanął przy jej samochodzie.

- To nieważne, co sobie myślą nasi staruszkowie. Płacisz za swój pokój. Nie musisz nic więcej robić.

- Wiem, ale ja też muszę jeść, a o wiele przyjemniej jest gotować dla kogoś oprócz siebie.

Kiedy spojrzał na nią, jakby była jakimś egzotycznym okazem, machnęła dłonią i z uśmiechem ruszyła w stronę domu.

Kolacja i tańce, pomyślała z ironią. Brzmiało to jak zapowiedź romantycznego wieczoru.

Cóż, każdemu wolno czasem pomarzyć.

Jeremy zaparkował obok Zii pod domem. Wszedł bocznymi drzwiami, przez kuchnię, przepuszczając ją przed sobą.

-Pomyślałem, że spłuczę z siebie brud przed kolacją. Chcesz pójść do łazienki pierwsza?

Pokręciła głową, wyraźnie zaabsorbowana już swoimi dobrowolnymi obowiązkami.

Odczuwał pewną rezerwę wobec pomysłu wspólnej kolacji w jego domku po całym dniu ciężkiej pracy. Było w tym coś zbyt intymnego. Przeciągnął się ze znużeniem, wszedł do łazienki i odkręcił prysznic. Patrząc na półkę pod lustrem, musiał przyznać, że Zia bardzo dba o to, by nie

naruszać jego prywatnej przestrzeni. Nie zostawiała nigdy żadnych przyborów toaletowych na umywalce, nawet szczoteczki do zębów. Za każdym razem zabierała wszystko z powrotem do pokoju.

Zrzucił zakurzone ubranie robocze i wszedł pod prysznic. Obok resztki mydła, którego używał - ciągle zapominał wyciągnąć nową kostkę - leżało różowe mydełko o egzotycznym zapachu. Zapach ten kojarzył mu się z Zią. Był zbyt subtelny, żeby zarejestrował go świadomie, jednak czasem wyczuwał wokół niej ten ulotny, zagadkowy aromat.

Podniósł mydełko do nosa; chociaż pachniało egzotycznie, w jego woni była również nuta świeżości. Uświadomił sobie, że zostawiła mydełko specjalnie, sądząc, że skończył mu się zapas. Zaczął mydlić pierś, kiedy zauważył nagle przyklejony do mydła krótki, kręcony włos koloru ciemnoblonde. Oczyma wyobraźni natychmiast ujrzał szereg obrazów - Zia w strumieniach gorącej wody, gładząca pachnącą kostką ramiona, tułów, uda, delikatną krągłość brzucha...

Krew w nim zawrzała, oddech uwiązł w gardle. Próbował siłą woli okiełznać podniecenie, ale już ośwładnęło nim dojmujące pożądanie kobiety, która żyła z nim pod jednym dachem. Bardzo pięknej kobiety, która miała również inne zalety, o czym zdążył się przekonać w ciągu miesiąca, który przemieszkała w Vernal.

Wpatrywał się w maleńki włos. Myślał o tym, jak delikatne w dotyku były jej włosy, i że zapewne cała była równie delikatna... wszędzie, gdzie by ją gładził... gdyby byli razem... gdyby się kochali...

Zmełł w ustach przekleństwo, co bynajmniej nie przyniosło mu ulgi. W końcu odłożył mydełko z powrotem do mydelniczki i zaczął się myć swoją resztką. Udało mu się jakoś namydlić. Umył włosy szamponem,

opłukał się i owinąwszy biodra ręcznikiem, ruszył do swojego pokoju, upewniając się najpierw, że Zii nie ma w polu widzenia.

Żeby uwolnić umysł od natrętnych wizji, zmusił się do rozmyślania o problemach zawodowych. Udało mu się jakoś ubrać w sposób odpowiadający miejscowym wyobrażeniom o nieoficjalnym stroju na piątkowy wieczór: czyste dżinsy z kantem, buty od garnituru i biała koszula z podwiniętymi rękawami.

Przez następne pół godziny jego uwagę pochłaniał telefon do kierownika jednej z budów. Kiedy wreszcie otworzył drzwi sypialni, poczuł, że w całym domu pachnie jego ulubionym daniem. Ruszył do kuchni.

Zia wyjmowała pieczeń z piekarnika. Pieczeń pokryta była gęstym sosem pomidorowym, takim samym, jaki przyrządzała jej matka.

- Co za boski zapach! - zachwycił się. - Czy mogę coś zrobić, żebyśmy szybciej siedli do stołu?

Rzuciła mu uśmiech przez ramię. Twarz miała zarumienioną z gorąca. Poskręcane włosy przylegały jej do szyi i skroni. Znowu poczuł, że płonie.

- Mógłbyś nakryć do stołu?

- Jasne. - O ile uda mu się stać prosto, bez obawy, że się ośmieszy.

Na szczęście oddzielał ich barek. Położył na stole dwie kolorowe maty, na nich dwa talerze i dwa komplety sztućców.

- Co będziemy pić?

- Mrożoną herbatę. Stoi na ladzie obok lodówki. Rozdrabniała właśnie ręcznym mikserem ziemniaki na puree. Żeby sięgnąć po dzbanek z herbatą, musiał przecisnąć się za jej plecami. Smuga jej wyjątkowego, ekscytującego zapachu przyprawił jego zmysły o szaleństwo. Zaciskając zęby, napełnił wysokie szklanki mrożoną herbatą, szybko zaniósł je do stołu i usiadł na swoim miejscu.

Chwilę później Zia postawiła na środku stołu pieczeń, gorące bułeczki, ziemniaki i miskę fasolki szparagowej, a przy każdym z nakryć miseczkę, w której na zielonych liściach sałaty leżała surówka z buraków i dyni z orzechami nerkowca i połówkami winogron polana ostrym sosem własnego pomysłu.

Zia usiadła i dała znak, by zaczynał.

- Pycha! - jęknął, skosztowawszy pieczeni.

- Dzięki - ucieszyła się. - Przepis mojej mamy. Zgodnie z obietnicą.

- Tyle tylko, że ty jesteś u mnie, a nie ja u was.

- Nie będę się tu zasiadywać. - Z jej twarzy zniknęły wszelkie emocje, jakby zapadła kurtyna, - Sprawdzam codziennie ogłoszenia o wynajmie.

Postaram się... postaram się długo ci nie zawadzać.

Niepewność w jej oczach uświadomiła mu nagle z wielką jasnością, że to, co przywykł brać za chłód, w rzeczywistości było, raczej brakiem pewności siebie. Czyżby błędnie osądzał ją przez te wszystkie lata?

Gorzej. On i jego kuzyni sprawili, że czuła się niechcianą outsiderką, która raz na jakiś czas wkraczała w ich życie.

- Tina mówi, że chłopczyk rośnie jak na drożdżach - odezwał się, starając przenieść rozmowę na bezpieczny grunt.

- Widziałeś się z nią?

- Nie. Dzwoniła do biura w mieście dowiedzieć się, czy jej przedłużą urlop macierzyński. Ucieszyła się, że ją zastępujesz. Powiedziałem, że dbasz o to, żeby zachować jej system księgowania.

Uśmiech powrócił na jej twarz. Był pełen rezerwy, jak zwykle, jednak powrócił. Jeremy poczuł ulgę. Nie chciał jej w żaden sposób sprawić przykrości.

- Zmyję naczynia, a ty idź się przebrać - zaproponował.

- To nie wystarczy? - Obrzuciła wzrokiem swoje granatowe spodnie i białą koszulę.

Pokręcił głową.

- Bardziej pasować będą te dzinsy, które miałaś na sobie, kiedy jechaliśmy do Boise, do Caileen. Dziewczyny zwykle noszą koszulki trykotowe, tylko takie, no, obcisłe.

Wbiła wzrok w talerz, jakby zawstydzona, zaszokowana. Nie umiał przeniknąć tych jej kolejnych masek.

Ze smutkiem uświadomił sobie, że wszystko pozostało po starym. Zia, jak zawsze, zamykała się przed nim.

Wchodząc do salonu, Zia poczuła na sobie spojrzenie Jeremy'ego. Zgodnie z jego sugestią miała na sobie obcisłe dzinsy, elastyczny top z czerwonej dzianiny ozdobionej cekinami, a do tego koszulę w srebrno-białe pasy. Założyła też kolczyki z płomiennych koralu, które ojciec jej przywiózł z surfingu na Hawajach. Zebrała włosy z jednej strony i spięła połyskliwą zapinką.

Jeremy ani słowem nie skomentował jej wyglądu. Jego milczenie zaniepokoiło ją, więc na wszelki wypadek sama również przestała się odzywać. Przez całą drogę na potańcówkę modliła się, żeby Marti dotarła do gospody przed nimi.

Kiedy weszli do środka, spowiły ich nagłe ciemności i ogłuszająca muzyka. Zia zatrzymała się gwałtownie. Jeremy omal na nią nie wpadł. Odruchowo chwycił ją za ramiona, żeby nie upaść. Przeszył ją dreszcz. Natychmiast ruszyła do przodu.

- O, jesteście - dobiegł ją znajomy głos. - Chodźcie, zajęłam dla was miejsca koło nas.

Zia ruszyła w stronę stołu Marti. Powoli jej wzrok oswajał się z ciemnościami w sali popularnego pubu, wypełnionego po brzegi hałaśliwym, spragnionym rozrywki tłumem. Zia zauważyła kilka par, jednak większość zebranych stanowili samotni mężczyźni.

Wyglądało na to, że wszystkie oczy śledzą ich przemarsz przez salę. Zia zwykle nic sobie nie robiła z ludzkich spojrzeń, jednak tego wieczoru czuła się niezbyt dobrze i nie na miejscu. Nie była tak zdenerwowana od czasu pierwszej randki. A przecież nie była na randce.

Marti uścisnęła ich oboje na powitanie.

- Biercie kufle i nalewajcie sobie piwa.

Gordan, kierownik budowy, wstał i cmoknął powietrze obok policzka Zii, po czym wymienił z Jeremym uścisk dłoni.

Jakaś para zeszła z parkietu i dosiadła się do nich. Zia rozpoznała Cama, młodego chłopaka, który również kierował buldożerem. Przedstawił swoją dziewczynę, Shaunę, zaróżowioną i rozchichotaną.

I Shauna, i Marti miały na sobie dzinsy. Shauna nosiła krótki, rozpięty ażurowy sweterek na czarnym obcisłym topie. W pępku miała kolczyk. Zia poczuła ulgę, bo była podobnie ubrana.

Kiedy wszyscy zsiadli wokół okrągłego stołu, Jeremy nalał im piwa i dopełnił kufle pozostałym. Musieli mówić głośno, żeby przekrzyczeć orkiestrę. Kiedy skończył się skoczny kawałek, Gordan poprosił Marti do tańca przy powolnej, nastrojowej melodii o utraconej miłości i złamanym sercu. Cam i Shauna dołączyli do nich.

Zia obserwowała tańczących, wyławiając z tłumu twarze znane jej z pracy. Stojący przy barze single również przyglądali się z zazdrością, ponuro wodząc wzrokiem za mężczyznami, którzy mieli partnerki. Zia słyszała wcześniej, że nie ma dosyć dziewcząt dla lokalnych kawalerów.

Dla samotnych kobiet nie było w tej okolicy tylu atrakcyjnych zajęć co dla mężczyzn lubiących pracę na świeżym powietrzu w okolicznych lasach, lub turystykę i sporty, na przykład spływy tratwą.

Z uśmiechem odkloniła się dwóm znajomym mężczyznom.

Minęła godzina. Popijała piwo, żałując, że nie została w domu. Ewidentnie nie pasowała tutaj. Nikt nie poprosił jej do tańca, chociaż kilku mężczyzn podeszło do nich, żeby porozmawiać. Po chwili została z Jeremym sama przy stole. Całe towarzystwo udzielało się na parkiecie. Milczeli oboje.

Kiedy nadszedł czas ponownego napełnienia dzbanków z piwem, Jeremy zapłacił. Marti zamówiła dwa półmiski przekąsek. Zia przeprosiła i wyszła do umywalni.

Widząc, że jest sama, spryskała zimną wodą nadgarstki i stanęła przed lustrem. Próbowiła się uśmiechnąć, ale wargi jej drżały. Czuła się jak na pierwszej potańcówce w szkole. Żaden chłopiec nie podeszedł do niej, chociaż widziała, jak ze śmiechem dodają sobie nawzajem odwagi, żeby poprosić ją do tańca.

Co z nią było nie tak?

Cóż, jakoś przebrnie przez ten wieczór, powiedziała swojemu odbiciu w lustrze. Po prostu wytrzyma i już.

Ruszyła z powrotem na salę. Przy stole zastała tylko Jeremy'ego i Marti. Oboje nie zauważyli jej nadejścia.

- Musisz poprosić Zię do tańca - mówiła Marti, przekrzykując orkiestrę.

Jeremy nie odpowiadał Zia nie widziała jego twarzy, nie wiedziała więc, jak zareagował na taki rozkaz. Ogarnęło ją zażenowanie.

- Inni faceci nie poproszą jej, dopóki ty jej nie poprosisz - ciągnęła Marti. - Nie wiedzą, co jest między wami.

- Między nami nic nie ma - bronił się Jeremy.

- Wiem, ale musisz przełamać lody, a ja powiem Gordanowi, żeby poprosił ją potem. To będzie znak dla innych, że jest do wzięcia.

Jeremy wydał z siebie coś na kształt kaszlnięcia. Zia nie umiała powiedzieć, czy zgadzał się z Marti czy nie. Wiedziała tylko, że sama czuje się nędznie. Wycofała się i podeszła do stołu z innej strony, żeby ją mogli zobaczyć.

- Zatańczymy? - Jeremy zerwał się na równe nogi, gdy tylko stanęła przy stoliku.

Duma i wieloletnie nawyki podpowiadały jej, by odmówić krótko i zdecydowanie, a jednak skinęła głową, starannie unikając wzroku Jeremy'ego i Marti. Nie chciała, żeby z jej oczu wyczytali, jak bardzo urazili jej uczucia, choć, niestety, nie potrafiła zataić tego przed sobą.

Na zatłoczonym parkiecie zaczęła po chwili żałować, że nie zrzuciła koszuli. Energiczny two-step rozgrzał ją błyskawicznie. Jeremy tańczył dobrze, a kiedy zorientował się, że zna kroki, zaczął prowadzić ją przez skomplikowane obroty.

Po chwili zaczęła się napawać muzyką i rytmem. Uwielbiała tańczyć. Kiedy melodia się skończyła, zawróciła do stołu, zaskoczona, że Jeremy nadal trzyma dłoń w wygięciu jej pleców.

Orkiestra zaczęła grać szybszy kawałek. Gordan wstał, spoglądając na Marti. Potrząsnęła głową.

- Chcę zjeść trochę tych paluszków serowych, póki są ciepłe. Poproś Zię.

Kiedy Gordan wyciągnął do Zii rękę, przyjęła ją, kłaniając się lekko. No cóż, wiedziała, że dogadali się za jej plecami, ale postanowiła nic sobie z tego nie robić. Gotowa była tańczyć do upadłego z każdym, kto ją poprosi.

- Zaczekaj - poprosiła i zrzuciła koszulę.

Wracając na parkiet, zauważyła, że rząd kawalerów przy barze przygląda jej się z rosnącym zainteresowaniem. Błysnęła promiennym uśmiechem, gdy Gordan okręcił ją wokół siebie.

Czerwony top z cekinami nie do końca zakrywał jej brzuch. Przechwyciła wzrok Gordana wędrujący od koralowych kolczyków w jej uszach po kolczyk w pępku. Konspiracyjnie puścił do niej oko.

Odpowiedziała mu tym samym. Lubiła ich oboje. Nie zazdrościli jej urody, ani nie czuli się przez nią zagrożeni. Akceptowali ją, jak każdego ze swych znajomych. Wiele to dla niej znaczyło.

Kiedy kawałek się skończył, nie wróciła do stołu. Jeden z najprzystojniejszych chłopaków przy barze od razu poprosił ją do tańca. Otaksowała go życzliwie, choć na dystans i skinęła przyzwalająco głową.

Przez następne cztery godziny siadała tylko, żeby wypocząć. I Gordan, i Cam prosili ją po kilka razy. Tylko Jeremy siedział z kamienną miną.

Chciała kopnąć go w kostkę, ale się powstrzymała. Miała ochotę poflirtować otwarcie z tłumkiem kawalerów... a może nawet z mężczyzną o kamiennej twarzy. Roześmiała się do swoich myśli. Jeremy obrzucił ją nieufnym spojrzeniem.

Reszką piwa popił skórkę ziemniaka zapiekanego w serze. Nie mógł sobie przypomnieć, który to był kufel. Na razie jednak nie szumiało mu w głowie, więc uznał, że wszystko jest w porządku.

Zorientował się, że Marti otwarcie mu się przygląda. Zakryła usta dłonią, chichocząc z jakiegoś powodu. Uśmiechnął się do niej, chociaż nadal

nie mógł odgadnąć, co mogło być w nim takiego śmiesznego. Dolał sobie do pełna, potem dopełnił kufel Zii.

- Ależ było przyjemnie - oznajmiła, wracając do stołu wytańczona z setką jakichś koleśków.

Nigdy nie widział w barze tylu singli naraz. Najprawdopodobniej byli to pracownicy leśni. A może rozeszła się nowina, że pojawi się tu najpiękniejsza kobieta w całym cholernym stanie. W dodatku, jak to mówi Marti, „do wzięcia”.

Nie, żeby go to obchodziło. Absolutnie nie. To nie jego sprawa. Nie byli tu na żadnej randce, ani niczym w tym stylu. Może powinien wyjaśnić tamtym gościom, że choć tak się składa, że Zia mieszka w jego domu... i doprowadza go do szaleństwa... wolno jej robić, co jej się podoba.

Nie. Nie może tego zrobić. Mógłby zostać źle zrozumiany, jak mawiał stryj Jeff.

Obserwował ją, jak upija łyk piwa, krzywi się i sięga po szklanekę wody z lodem. Twarz miała zarumienioną, lśniąca w łagodnym blasku świec porozstawianych na stołach. Czerwony top uwydatniał perfekcyjne linie jej ciała. No i te czerwone kolczyki.

Kiedy dostrzegł jeden w jej pępku, ciśnienie podskoczyło mu niebezpiecznie. Dobrze, że siedział, bo nie utrzymałby się chyba na nogach. Chciał zerwać się i zgarnąć ją z parkietu, zanim te ćwoki przy barze też go wypatrzą.

Ale już było za późno.

Praktycznie ustawili się w kolejce, czekając cierpliwie, żeby z nią zatańczyć.

Mało tego, Zia, która przesiedziała dobrą godzinę w jakimś letargu, nagle zaczęła hulać po całym cholernym parkiecie.

Lista pretensji pod adresem wieczoru wydłużała się, a tymczasem Zia tańczyła kolejny kawałek. Jej wdzięk i uroda powodowały, że mężczyźni rzucali mu zazdrosne i niechętnie spojrzenia, dziwiąc się, że siedzi murem za stołem, ale on nie zatańczył już ani razu.

Ściągnął brwi, gdyż do gniewnych myśli dołączył ból głowy.

- Możemy już jechać do domu? - usłyszał tuż przy uchu delikatny, kobiecy głos.

Odwrócił głowę i zajął w oczy tak doskonałe, że można je było wziąć za szklane oczy lalki. Jej usta, zaróżowione od śmiechu, były tak blisko, że wystarczyłby jeden niewielki ruch, a mogłyby być jego.

Oczywiście, za nic by tego nie zrobił, o nie. W żadnym wypadku. To nie było w jego stylu. Nie ulegał tak łatwo pokusie. Umiał twardo powiedzieć: nie.

Nachylił się do przodu, ale ona właśnie się odsunęła.

- Chyba powinniśmy już iść. Jest po północy. Jeremy, zdaje się, będzie musiał jutro pracować.

- Nie - wtrącił Gordan. - Mamy wolny weekend w nagrodę, że dokopaliśmy się wreszcie do twardego podłoża pod filarem mostu.

- To nie jest jedyna droga w całym stanie - odezwał się Jeremy. - W poniedziałek będziemy musieli przenieść pół ekipy do Narodowego Parku Dinosaurów. Przy następnym większym deszczu może zajść kamienna lawina przy serpentynie, jeśli nie umocnimy zbocza.

- Jestem gotowa. - Zia wstała i założyła koszulę, zasłaniając pięć centymetrów nagiej skóry nad paskiem dżinsów.

Westchnął, dorzucił kilka banknotów do sterty napiwków, -powiedział dobranoc zebrany i ruszył w stronę drzwi.

Single przy barze obrzucili go zazdrosnymi spojrzeniami.

Cóż, nie poszło im tak gładko, jak by chcieli. Zia nie pozwoliła nikomu zbliżyć się do siebie...

Kolejne wspomnienie eksplodowało w jego umyśle: tamta noc w Boise, przed jej drzwiami, kiedy odwzajemniła jego pocałunek z namiętnością, która go oszołomiła... kiedy roztopiła się jak wosk w jego ramionach, a jej usta były najśłodsza pokusą, jakiej przyszło mu kiedykolwiek zakosztować.

- Pozwolisz mi poprowadzić? - spytała wyciągając rękę, kiedy znaleźli się przy jego terenówce. - Nie siedziałam za kierownicą takiego wozu od czasów, kiedy pracowałam dla taty.

Zaskoczyła go ta prośba, ale położył kluczyki na jej dłoni i otworzył drzwi od strony kierowcy. Kiedy wyjechali na szosę, wpatrzył się w jej profil w słabym świetle księżyca.

- Wygląda na to, że się dzisiaj dobrze bawiłaś - zauważył.

- To prawda. Od wieków nie tańczyłam. Zapomniałam, jak bardzo to lubię. Jesteś dobrym tancerzem - dodała, błyskając uśmiechem. - Dziwię się, że nie wyszedłeś więcej na parkiet. A może nie lubisz tańczyć?

Wzruszył ramionami, co miało starczyć za całe wyjaśnienie.

Rzecz w tym, że lubił aż za bardzo. Trzymając ją w ramionach i poruszając się w tym samym rytmie, idealnie zestrojonym krokiem, jakby tańczyli z sobą całe życie...

Czuł pulsujące pożądanie. Nękało go obrazami, wizjami, tęsknotami, które były silniejsze niż jego instynkt samozachowawczy.

Rozdział 8

W domu panowało miłe ciepło. Temperatura na zewnątrz spadła w nocy do dziesięciu stopni i koszula nie była już wystarczającym okryciem..

A może to było jego ciepło...

Spojrzała spod oka na Jeremy'ego, który również jej się przyglądał.

- Czy załoga chodzi Pod Bobra co piątek? - spytała przyjaźnie, oddając mu kluczyki.

- Niektórzy pewnie tak. Samotni faceci, którzy chcą zabić czas albo zaliczyć kolejną dziewczynę. - Spiorunował ją wzrokiem.

Zesztywniała. Czyżby ją uznał za rozpustną flirciarę? Ja, specjalistkę od spuszczenia mężczyzn po schodach? Na to wygląda.

Mimo to, póki mieszka w jego domu, będzie dla niego słodka jak miód.

- Często tam chodzisz? - spytała z umiarkowanym zainteresowaniem, żeby nie wydać się ani obojętną, ani zbyt ciekawą.

Podgrzała szklanekę mleka w mikrofalówce i zażyła kilka proszków przeciwbólowych. Nogi bolały ją po wielu godzinach tańca. Oparła się o barenki w kuchni, ani senna, ani szczęśliwa.

Co w tym nadzwyczajnego? Czy szczęście odgrywało ważną rolę, w ludzkim życiu? Jak to powiedział ktoś mądry: szczęście to coś, co często się wspomina, ale rzadko doświadcza. I o czym myśli się w ciężkich chwilach, podobnie jak wspomina się młodość w wieku dojrzałym.

Czy mogła się spodziewać, jadąc do Vernal, gdzie zamierzała rozpocząć nowe życie, że wyląduje, bez pracy i dachu nad głową?

- To zależy - odparł Jeremy, przeciągając się.

Dopiła mleko, opłukała szklanekę i wstawiła ją do zmywarki.

- Od czego? Od tego, czy możesz iść z kimś, kto ci odpowiada? -

drażyla niewinnym głosem, choć czuła, że nie powinna się posuwać dalej.

Usiadł, ściągnął kowbojki i cisnął je obok sofy.

- O co ci chodzi, do diabła? - Jego oczy płonęły.

- O to, że nie miałeś ochoty nigdzie dzisiaj wychodzić. -Odwzajemniła jego spojrzenie. - O to, że Marti kazała ci ze mną tańczyć i że siedziałeś naburmuszony przez cały wieczór.

- I co z tego? - Podeszedł do okna i wbił wzrok w ciemność. - Ty się za to świetnie bawiłaś przez cały wieczór. Cztery bite godziny.

- Plus godzinę, którą przesiedziałam z przyklejonym uśmiechem, nie wiedząc, co jest grane i udając, że jestem wniebowzięta.

- To tobie zależało na tym, żeby pójść - oświadczył gniewnie. - Do pubu przychodzi czasem chamska publika. Nie chciałem, żeby się to źle skończyło.

- Ja też nie miałam takich planów.

- Tak, ale z twoim wyglądem, gdybyś poszła sama, mogłoby dojść do bójki. Kiedy pojawiłaś się ze mną, sytuacja była jednoznaczna.

- Na przyszłość nie rób mi łaski. - Kipiała ze złości. - Kiedy mam ochotę spędzić wieczór w mieście, doskonale daję sobie radę.

- Świetnie.

- Potrafię doskonale zadbać o siebie. - Obrażona, podeszła sztywno do sofy. - Może kiedyś tego nie potrafiłam, ale teraz już od czternastu lat żyję na własny rachunek. Przez ten czas dowiedziałam się o mężczyznach tego i owego.

Nie odpowiadał. Oczyma chłonał jej twarz, jej usta. Zobaczyła, że bierze głęboki wdech, a potem wypuszcza powietrze przez zaciśnięte zęby. Wyglądał, jakby miał zaraz stracić panowanie nad sobą.

Spojrzała na wyświetlacz w telewizorze. Za kwadrans pierwsza. To nie był czas na sprzeczkę... zwłaszcza po tym, jak przez cztery godziny bawiła się szampańsko, nie przejmując się wcale tym, że Jeremy siedzi skwaszony za stołem.

- Do diabła! - zaklął przez zęby.

I nagle... nie była pewna, które z nich wykonało pierwszy ruch. Nagle znalazła się w jego mocnym, zachłannym uścisku. Jego wargi musnęły jej usta, cofnęły się, jakby parzyła, po czym zatoneły w oszałamiającym pocałunku.

Odpowiedziała, namiętnie wpijając się w usta Jeremy'ego i oblizując je delikatnym ruchem. Jęknął i przyciągnął ją mocniej do siebie, tak mocno, że nie dałoby się wcisnąć między nich nawet szpilki.

Jego namiętność udzieliła się Zii; w jej ciele zaczął buzować słodki afrodyzjak. Poczwała rozkosz. Poczwała coś, co było nieomal szczęściem.

Jeremy zapomniał nagle o zgryzocie, z jaką przyglądał się Zii tańczącej z coraz to innym mężczyzną. Istniało dla niego tylko tu i teraz i to, że Zia znajdowała się w jego objęciach, a przecież o niczym innym nie marzył od tamtej nocy w hotelu w Boise.

Wsunął dłonie pod jej koszulę i zsunął ją z ramion, a potem rzucił w stronę sofy.

Obcisły top pokryty lśniącymi cekinami hipnotyzował go przez cały wieczór. Chciał przesuwać po nim dłonie, badając krzywizny, jak rzeźbiarz gładzący posąg, który uosabia wszystko co piękne i kobiece, idealne uosobienie fantazji jego umysłu i serca.

Tyle tylko, że Zia nie była posągiem. Była ciepła i żywa. Poznawał jej tułów dłońmi, aż natknął się na wąski pas gładkiego, nagiego ciała nad paskiem spodni, ciała, które rozzarzyło się pod jego dotykiem, jakby wypalał na nim swoje piętno.

Odsunął się lekko, badając gładki koral kolczyka w jej pępku.

- Jeremy? - szepnęła pytającym tonem, jakby zastanawiała się, co właściwie robią i czy to, co robią, jest rozsądne.

- Wszystko w porządku - powiedział, wpatrzony w oczy, których wabiący błękit przypominał mu górskie jezioro w letni dzień.

Skinęła głową.

Nieoczekiwanie przymknęła znów oczy, wtulając się w niego. Coś w nim wezbrało, jakieś źródło radości i nadziei, coś fantastycznego i zagadkowego.

Nie. To jednak namiętność w najczystszej postaci. Nagle dotarło do niego, że była pomiędzy nimi od dawna, Napięcie, które pojawiło się podczas, wesela, sposób, w jaki Zia patrzyła w przestrzeń, kiedy tańczyli, fakt, że unikała go, kiedy tylko mogła, to wszystko były mechanizmy obronne.

W całym swoim życiu Zia nie przeżyła rozkoszy w równie czystej postaci. Być może było to coś, co cierpliwie czekało w niej na tę chwilę, ale nie sądziła nawet, że taka intensywność i namiętność jest w ogóle możliwa.

„Tylko nie zrób czegoś głupiego”.

Jakaś część jej umysłu powtarzała w kółko tę mantrę, ale Zia po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie chciała jej słuchać. Kontrola i ostrożność, które od tak dawna towarzyszyły jej wiernie w sytuacjach intymnych, ustąpiły ufności, jakiej już prawie nie pamiętała.

Głos nawołujący do ostrożności powoli zamilkł.

Znała tego mężczyznę. Dostatecznie poznała jego uczciwość i prawość, by mu zaufać.

Kiedy wsunął dłonie pod top, zadrżała lekko z rozkoszy.

- Jeremy! - szepnęła, a w jej głosie nie było wahania, tylko zaproszenie.

- Rozbierzemy cię - zaproponował.

- Ciebie też - zapaliła się do pomysłu.

Szybko i niecierpliwie pomogli sobie rozebrać się do pasa. Jeremy nachylił się, po czym złożył hołd każdej z jej piersi.

Ujęła jego głowę w dłonie, wplatając palce we włosy; twarde i gładkie kosmyki przesunęły się między jej palcami. Stwardniałymi sutkami wyczuwała szorstkość włosów na jego piersi; pieścił ją, ocierając się o nią torssem. Na brzuchu czuła jego podniecenie, które doprowadzało ją do szaleństwa.

Kiedy znów nachylił się, drażniąc jej pępek językiem, odkryła nową strefę erogenną na swoim ciele. Dreszcz przebiegał ją za każdym dotknięciem ust i dłoni, którymi trzymał ją za biodra.

Minęła... wieczność. Zia czuła, że ma nogi jak z waty.

Jeremy wyprostował się i sięgnął do jej włosów. Zdjął ozdobną spinkę i wsunął palce między jasne pukle.

Delikatnymi okrężnymi ruchami pieściliwie masował jej czaszkę i kark

- Rozluźnij się - mruknął, posyłając jej uśmiech, po czym znów przytulił głowę do jej głowy.

- Nie mogę - wyszeptała w jego usta. - Za bardzo cię pragnę.

- To o to dzisiaj chodziło przez cały wieczór, prawda? - westchnął.

- Co? - Przytuliła twarz do jego szyi i czubkiem języka smakowała delikatny słony smak jego skóry. Wsysała leciutko jego ciało, uważając, by nie zostawić śladów.

- Mój zły humor w pubie. Kłótnia po powrocie do domu. To właśnie o to szło. - Zsunął dłonie po jej włosach i ramionach, by ująć jej piersi. - Byłem zazdrosny o tańczących z tobą facetów. Nie chciałem się do tego przyznać.

Jeremy powiedział to z rozbawieniem, jakby śmiał się z tego, jak dalece są do siebie podobni, ale Zia poczuła, że powróciła jej ostrożność. Zazdrość o tańczących z nią facetów skojarzyła jej się z tym, czego aż nadto zdążyła już w życiu doświadczyć - męska zaborczość, dążenie do zawładnięcia ciałem i duszą kobiety...

Natychmiast odsunęła się i położyła dłonie na jego dłoniach, powstrzymując upojne pieszczoty.

- Bzdura - powiedziała poważnie.

- Jak inaczej to wytłumaczysz?

Pomyślała o mężczyznach w pubie i zadowolonej minie Marti, kiedy otoczyli ją, Zię, prosząc do tańca. Czowała teraz i rozumowała tą częścią siebie, która była daleka od serca. Mężczyźni lecieli na jej urodę, nie na nią. A ona ich do tego przez cały wieczór zachęcała. Dlaczego?

Ponieważ chciała, żeby Jeremy ją zauważył.

Prawda była dla niej policzkiem. Wykorzystywała swój seksapil, żeby go podniecić. Po cóż innego zakładałaby uwodzicielski czerwony top?

Pociąg fizyczny, to coś w najlepszym wypadku płytkiego. W naturalny sposób prowadził do pożądania. A pożądanie wyzwalało najgorsze instynkty w niektórych mężczyznach. Zia nieraz czuła się w takich sytuacjach

sprowadzona do roli atrakcyjnej rzeczy, kości niezgody. Taki wstęp raczej nie przynosił szczęścia.

Kiedy cofnęła się, on również się odsunął. Gdy znaleźli się już w rozsądnej odległości od siebie, pragnienie ustąpiło, a jego miejsce zajął zdrowy rozsądek.

- Masz rację - przyznała pokornie. - Byłam dzisiaj zła... Nie wiem, co za tym stało. Może to, że byłeś taki niedostępny...

Ku jej zaskoczeniu wybuchnął śmiechem.

- Witaj w klubie - zażartował. - Ja bardzo często byłem zły, bo wytwarzałaś wokół siebie jakąś barierę nie do pokonania. Tak właśnie zachowywałaś się na weselu wobec wszystkich, może z wyjątkiem Kristy.

- Nie chciałam, żebyście się za bardzo do mnie zbliżali - potwierdziła. - Ty, Tony i Krista jesteście rodziną. Kiedy moja matka wyszła za twojego stryja, stała się jedną z Aquilonów. Byłam dodatkiem do niej, którego nie mogliście się pozbyć, ale... nie byłam jedną z was.

- Mogłaś być. - Jego twarz stała się nagle zacięta. - Gdybyś chciała. Przyjęlibyśmy cię do siebie.

- Nie mogłam. - Westchnęła, podniosła koszulę i ruszyła do swojego pokoju. - Tylko z Kristą było inaczej. Nikt się jej nie mógł oprzeć. Była tak słodka i kochająca.

- A my nie? - spytał szorstko.

- Zachowywaliście wobec mnie ostrożność, bo miałam stale chandry bez powodu. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Ja też byłam ostrożna. Nie chciałam zbytnio nikomu ufać.

- Ale zadzwoniłaś po mnie, kiedy potrzebowałam pomocy. Przystanęła w holu i skinęła głową.

- Wtedy ufałaś mi dostatecznie. - Przyglądał się jej, mrużąc oczy.

-I od tamtej pory wstydziałam się tego. Sama wpakowałam się w tamtą kabałę, sama powinnam się z niej wydobyć.

Wydawał się bardzo długo zastanawiać nad jej słowami. Surowość zniknęła z jego twarzy.

- Ejże - ofuknął ją łagodnie. - A od czego są przyjaciele?

Na to nie miała odpowiedzi. Nigdy nie uważała go za przyjaciela. Ich losy wydawały jej się zbyt poplątane, by mogło istnieć między nimi coś równie prostego jak przyjaźń.

- Dobranoc - mruknęła i ruszyła do pokoju.

Później, już w łóżku, gdy leżała wpatrzona w ciemny sufit, wciąż powracały do niej sceny z przeszłości, w której Jeremy zajmował tak ważne miejsce. Niestety, niemal wszystkie były scenami kłótni i nieporozumień. Tylko na parę sekund przed zaśnięciem pozwoliła sobie przypomnieć na moment, jak to było, gdy kiedyś była młoda i głupia... i rozpaczliwie zakochana.

Jeremy nie miewał na ogół moralnego kaca po nocy spędzonej z kobietą. Tym razem jednak czuł, że Zii należą się przeprosiny za poprzedni wieczór. W pubie zachował się jak skończony debil.

Uśmiechnął się ponuro. Doprowadził kobietę do tego, że uznała go za zrzedę.

Drzwi do jej pokoju były otwarte, co zauważył w drodze do kuchni. Kawa już czekała, ale Zii nie było. Zajrzał do salonu.

Pustka w domu zaskoczyła go niemile, choć próbował zbagatelizować swoje odczucia. Zia była wolna, mogła robić, co jej się podoba. Nie był jej właścicielem. Dopiero wyjmując jajka i chleb z lodówki, rzucił okiem przez okno i zobaczył, że jej samochód stoi pod daszkiem obok jego terenówki.

Siadał do śniadania już zdecydowanie zły. Mogła zostawić mu chociaż karteczkę na drzwiach lodówki. W tym momencie trzasnęły drzwi werandy na tyłach. Powiew chłodnego powietrza wpadł do wnętrza domu.

- Dzień dobry! - zawołał z ulgą.

- To jest zdecydowanie dobry dzień - odparła, z uśmiechem wkraczając do salonu. - Nie miałam dotąd pojęcia, jak cudowny widok rozciąga się z grzbietu górskiego za domem.

- Biegałaś? - spytał, widząc, że jej twarz błyszczy od potu, a policzki pokrywają rumieńce.

Kiwnęła głową, nalała sobie filiżankę kawy, wypila parę łyków, po czym zalała płatki mlekiem i wkroiła do miski banana. Usiadła obok niego przy kuchennym blacie.

Owionął go egzotyczny aromat jej szamponu i mydła, zmieszany ze świeżym zapachem wczesnego poranka na pustynnej wyżynie. Westchnął głęboko. Wiedział, że poznałby ją z zamkniętymi oczami w tłumie.

Nadgryzł grzanekę, ale jednocześnie poczuł, że budzi się w nim apetyt na coś innego.

- Co będziesz dzisiaj robić? - spytała.

- Trzebić krzewy, które podeszły za blisko domu. Postaram się oczyścić teren w promieniu trzydziestu metrów. Tak nakazują przepisy przeciwpożarowe.

- Dobry pomysł.

Zauważył, że je pospiesznie, małymi kęsami. Przypomniał sobie smak i dotyk jej ust, których wspomnienie nękało go w każdym śnie tej nocy. Westchnął.

- Chyba powinienem cię przeprosić - mruknął.

- Za co?

Pytanie zaskoczyło go.

- No, za, hm, zeszłą noc.

- Za to, że siedziałeś skwaszony na tańcach czy za pocałunek po powrocie? - Rzuciła mu jedno z tych chłodnych, taksujących spojrzeń, które były jej specjalnością.

- Za jedno i za drugie - powiedział kwaśno. - Myślałem, że jako kobieta odgadniesz, o co mi chodzi. Macie przecież tę swoją intuicję.

- Lubię mieć pewność.

Skończyła jeść, wstawiła miskę do zmywarki i zniknęła.

Po chwili usłyszał szum prysznic.

Wzdychając ciężko z irytacji, pałaszował wystygłe grzanki z jajkiem. Wiedział, że nie powinien się zachowywać tak, jak się zachował ostatniej nocy. Czyżby jednak powinien trzymać gębę na kłódkę również o poranku?

To była jedna z tych niewyjaśnionych zagadek, jakie niesie życie.

A może życie pod jednym dachem z kobietą, której w ogóle nie rozumiał.

Przez resztę poranka Jeremy pracował na dworze. Zia zabrała się do porządków w domu. W niespełna dwie godziny wypolerowała podłogi i meble, a kuchnię i łazienkę wyczyściła na wysoki połysk.

Energia nadal ją roznosiła, więc upiekła szarlotkę z kruszonką i zaczęła się zastanawiać, co by tu jeszcze zrobić. Zmieniła pościel i zaniósła starą do pralni. Kiedy woda zaczęła napływać do pralki, przystanąła na chwilę w zamyśleniu. Potem wyszła na patio i zawołała swojego gospodarza. Gdy wyłączył piłę elektryczną, powiedziała mu, że pierze pościel i spytała, czy jego pościel też wyprać.

Obrzucił ją spojrzeniem swoich ciemnych, niezgłębionych oczu i skinął głową.

Kiedy wrócił do wycinania suchych zarośli, weszła do jego sypialni. Serce zaczęło jej dudnić w piersi. Czowała się tak, jakby wstąpiła w legowisko dzikiego zwierza, i musiała poruszać się ostrożnie, bo zewsząd czyhało na nią niebezpieczeństwo.

Co za bezsensowne rojenia!

Był to przecież całkiem niewinny pokój. Ściany były u góry oliwkowe, u dołu obłożone lśniąca boazerią z białych listew. Łóżko było podwójne.

To z powodu jego wzrostu - wytłumaczyła sobie szybko. Odsunęła zielono-brązową narzutę i brązowy koc. Na ławie przy oknie leżały dwie poduszki z pasującymi do narzuty poszewkami.

Pewnie Krista wybrała ten komplet, a Jeremy nigdy nie położył ozdobnych poduszek na łóżko.

Zia uśmiechnęła się, wspominając odwiedziny w domu Aquilonów, w którym wszyscy pomagali sobie w pracach domowych i w ogrodzie. Ona też, jak wszystkie dzieci, miała swoje obowiązki.

Czasami w czasie tych wizyt czuła, się jedną z nich.

Z nostalgią pomyślała o czasach, które z dzisiejszej perspektywy wydały jej się dużo prostsze. Było, minęło. Zdjęła prześcieradła, znalazła świeże i poutykała je wokół materaca. Przykryła łóżko kocem i narzutą, położyła na wierzch ozdobne poduszki pod kolor. Potem wypatrzyła dwie poduszki w biało-zielono-brązowe pasy, takie same jak na zasłonach w oknie, i położyła je na wierzchu.

Stanęła w drzwiach, z zadowoleniem kontemplując efekt swoich zabiegów.

Brudną pościel trzymała zwinięta przed sobą. Niosąc ją do pralni, czuła wyraźnie zapach płynu po goleniu i świerkowego mydła. Oraz wydobywający się spod nich piżmowy zapach mężczyzny i... i...

Przymknąwszy oczy, pociągnęła mocno nosem, zatracając się w erotycznych wspomnieniach.

Przeprowadzka do domu Jeremy'ego nie była chyba najlepszym pomysłem. Kiedy mieszkali pod jednym dachem, stawał się jakiś bardziej realny. Dopóki widywała go od święta, bez trudu zapominała o jego istnieniu.

Westchnęła, znużona własnymi myślami.

Kiedyś żądała od życia tak wiele. Czowała, że należy jej się spełnienie wszystkich marzeń. Tutaj, w tym domu, zaczęła przypominać sobie tamte oczekiwania. Jej dorosłe życie, to życie, z którego była całkiem zadowolona przed przeprowadzką do Vernal, nagle wydało jej się samotne i bezsensowne.

Skrzypnęły drzwi kuchenne. Pospiesznie włożyła pościel do pralki i zamknęła klapę.

- Gdzie jesteś? - zawołał.

- Tutaj.

- Muszę pojechać w góry, sprawdzić, jak idą roboty drogowe w paru miejscach - powiedział stając w progu. - Pojedziesz ze mną? Widoki są wspaniałe, a lunch możemy zjeść w szaszłykami.

- Dobry pomysł. Już wyjeżdżasz?

- Najpierw muszę wziąć prysznic. Wdepnąłem w trujący dąb na skraju zagajnika. Nie zauważyłem, że tam rośnie.

- Nie musisz się spieszyć. W piekarniku jest ciasto. I tak nie mogę jechać, dopóki się nie upiecze.

Jego uśmiech był jak promień słońca, który przedarł się zza chmur. Słyszała jego oddalające się kroki, potem szum prysznica. Przypomniała sobie, że zostawiła swoje mydło w kabinie prysznicowej.

Zostawiła je parę dni wcześniej, bo wydawało jej się, że resztką, która leżała przy prysznicu, nie sposób się namydlić. Nie tknął go. Zapewne nie odpowiadał mu jej ulubiony zapach cynamonu, lawendy, geranium i szczypty goździków.

Kiedy skończyła czytać artykuł w gazecie, rozległ się brzęczyk piekarnika. Wyjęła szarlotkę do ostygnięcia i stanęła przy oknie, obserwując kłębiaste chmury gromadzące się nad górami po wschodniej stronie nieba.

- Rany, ale cudowny zapach - westchnął Jeremy. Odwróciła się i dech zaparło jej w piersiach. Miał na sobie zwykłe džinsy, roboczą koszulę w niebiesko-białą kratę, czarne adidasy i biały, kowbojski kapelusz.

- Może powinniśmy zjeść lunch tutaj - zasugerował, pociągając nosem z lubością.

Potrząsnęła głową.

- To jest deser do kolacji.

- Tak? A co będzie na kolację? - Uniósł brwi z zaciekawieniem.

- Grillowany stek z cebulką, pieczarkami i papryką. Do tego pieczone ziemniaki.

- Oto dama mojego serca - oznajmił, kładąc dłoń na piersi. - Twoja mama wspominała, że jesteś wybitną kucharką.

- Kiedy? - spytała, trzeźwiejąc na myśl o Caileen.

- Nie pamiętam dokładnie. - Wzruszył ramionami. - To było parę lat temu, po tym, jak przyjechałaś w któryś weekend.

Odetchnęła spokojniej. Czasem miała wrażenie, że jej matka popychała ich z Jeremym ku sobie. Mogły to być tylko jej wymysły, ale irytowało ją to.

- Gotowa? - spytał.

- Tak. - Wsunęła portfel do kieszeni, złapała kapelusz przeciwsłoneczny i ruszyła za Jeremym. - Ojej, zapomniałam przełożyć pościel do suszarki.

- Zrobimy to po powrocie. - Ruszył do ciężarówki. - Nie lubisz, kiedy mama mówi o tobie - odezwał się, gdy ujechali parę kilometrów. - Dlaczego?

- Praca mojej matki polega na łączeniu rodzin - oświadczyła, decydując się na szczerość, skoro on też grał z nią w otwarte karty. - Jej zdaniem nie bardzo sobie radzę - uśmiechnęła się cierpko - i odnoszę wrażenie, że często próbuje mnie popychać, naturalnie, dyskretnie, w stronę mężczyzn, których uważa za dobre partie.

-I dlatego jesteś taka oficjalna podczas wizyt w domu?

- Cóż - zawahała się - można to tak nazwać.

- Przepraszam - zmitygował się. - Nie chciałem...

- Nie ma sprawy. Przyzwyczaiałam się stawiać opór wszelkim naciskom.

Jeremy zjechał na pobocze serpentyny. Ruszyli pieszo szosą, uważając na sznur samochodów jadących lub wracających z parku dinozaurów.

Ślady dawnych robót drogowych widoczne były w ściętych tarasowo stromych stokach nad autostradą. Zaczęła wypytywać go o problemy budownictwa drogowego w tej okolicy. Zorientował się, że wyjaśnia jej wszystko o wiele bardziej szczegółowo niż innym niefachowcom.

Ale też Zia wydawała się o wiele bardziej zainteresowana niż przeciętny laik, a jej pytania cechowała rzadko niespotykana wnikliwość.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, można zatrzymać erozję, podcinając tarasy skośnie i kierując spływającą wodę do drenów wypełnionych kamieniami, żeby przepływała wolniej?

- Z reguły tak. Przy bardzo silnych deszczach po okresie suszy gleba nie wchłania wody dostatecznie szybko. Woda spływa wtedy z wielką szybkością, porywając z sobą dużo ziemi.

- Hm, to zapewne nieźle rujnuje wasze założenia krajobrazowe.

Spojrzał na nią.

- Widzę, że szybko nabrałaś orientacji w naszych problemach.

Jej śmiech wydał mu się zniewalający.

- Przysłuchiwałam się Marti i załodze. W wolnych chwilach czytałam wasze raporty. Wszystko tam było czarno na białym.

- Trzeba używać prostych słów, zwracając się do gryzipiórków.

- A skoro o tym mowa, czy kontrolę ksiąg mamy już za sobą?

- Mam nadzieję. W przyszłym tygodniu ma się chyba pojawić ktoś ze stanowego biura rachunkowego.

- Macie niewiele mniej przepisów i rozporządzeń niż my w programach oświatowych. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek czyta te moje sprawozdania.

- Wiem, co masz na myśli.

Wspięli się na stromy stok. Jeremy zanotował parę rzeczy, które zamierzał przedyskutować z Gordanem. Musiał skombinować skądś siatkę do pokrycia stoku nad tarasami.

- Budżet nie pozwala na zakup - wyjaśnił. - Dlatego tropię po całym stanie resztki.

- Czy siatka ma chronić kozice przed wyskakiwaniem na szosę? - spytała, patrząc na stromy stok pod szczytem.

Potrząsnął głową.

- Kładziemy ją na spękanych skałach, żeby nic się nie obsunęło, zwłaszcza podczas silnych burz.

- Tak, widziałam coś takiego w Kalifornii, niedaleko budowy mojego taty.

Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. To jedna z tych cudownych chwil, kiedy czuje się pokrewieństwo dusz - myślała, gdy schodzili ostrożnie po zdradliwym zboczach, pewną więź... no, to może za wiele powiedziane, ale jednak jakiś rodzaj wspólnoty...

Potem zatrzymali się przy szaszłykami nastawionej na obsługę głodnych turystów zwiedzających park narodowy. Zamówione potrawy trzeba było osobiście odbierać przez okienko.

- Widziałaś wykopaliska dinozaurów? - zagadnął.

- Na własne oczy, nigdy. Widziałam parę lat temu program telewizyjny o tej okolicy.

- Pojedziemy tam któregoś dnia. Mam przyjaciela, który tam pracuje. Uwielbia oprowadzać ludzi i wygłaszać najświeższe teorie.

- W rodzaju: dinozaury były ciepłokrwistą trzodą chlewną, a ptaki są ich potomkami w linii prostej?

- Właśnie, coś w tym stylu. - Przyjrzał się jej uważnie, jakby zastanawiał się, skąd tyle wie.

- Dużo czytam - odpowiedziała, uprzedzając pytanie.

- Zamiast spotykać się z chłopcami? Boże, co ja gadam! - Puścił do niej oko i wgrzył się w pyszną kanapkę z szaszłykiem.

Rozejrzała się po tłocznej sali; przyglądało im się wiele osób. Dostrzegła też ich odbicie w szybie okiennej. Na tle innych gości restauracji rzucali się w oczy - wzrostem, kontrastem jej blond loków i jego ciemnej czupryny.

Światło i cień...

Z uśmiechem uświadomiła sobie, że to, co w tej chwili czuje, jest po prostu... radością, najzwyczajszą w świecie, a tak rzadką w jej wypadku.

Po lunchu wrócili do domu. Zia wrzuciła pościel do suszarki i rozsiadła się na kanapie z książką. Jeremy w wygodnym fotelu oglądał mecz piłki nożnej.

Gdyby jeszcze na dywanie przed kominkiem leżał pies, wyglądałoby jak reklama rodzinnego szczęścia, pomyślała z ironią.

A dzieci? Czy myślała o nich?

RS

Rozdział 9

W niedzielnej gazecie Zia zakreśliła wszystkie ogłoszenia o wynajmie i każdą wolną chwilę spędzała na odwiedzaniu kolejnych miejsc. Znalazła lokum, które przypadło jej do gustu: dwa pokoje w domu pewnej wdowy. Mieszkanie miało własne wejście i zapewniało minimum prywatności, było jednak całkowicie umeblowane.

Jej meble musiałyby zostać u Jeremy'ego, co wydawało jej się pewnym nadużyciem. Inaczej musiałyby jednak zawieźć je z powrotem do przechowalni i płacić miesięczny czynsz, a przecież musiała się teraz liczyć z każdym groszem.

Zaczynała dochodzić do wniosku, że nie powinna była w ogóle korzystać z gościnności Jeremy'ego. Choć nie mogła wrócić do poprzedniej pracy i mieszkania, z pewnością udałoby jej się znaleźć jakąś pracę w Provo czy w Salt Lake City i związywać koniec z końcem. Znała się na zarządzaniu i była biegła w programach komputerowych. Może mogłaby zahaczyć się w przemyśle, gdzie płace były wyższe niż w oświacie?

A jednak jakaś przekora nie pozwalała jej całkowicie porzucić zamysłu zreformowania miejscowych szkół. Chciała, żeby dzieci miały jak najlepsze warunki do nauki. Należały im się wszelkie przywileje wieku dojrzewania. Odłożyła gazetę i zaczęła rozmyślać o sprawach bardziej osobistych.

Dłuższe pomieszkiwanie w domu Jeremy'ego, okazało się trudniejsze, niż sądziła. Było czymś bardziej intymnym, bliskim, nieomal erotycznym.

Chociaż jej przyjaciółki od zawsze miały wielki apetyt na Jeremy'ego, ona sama nigdy nie pozwoliła sobie myśleć o nim w ten sposób. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że łączył w sobie wiele zalet: był męski, przystojny, inteligentny, dobry, troskliwy...

Po przyjemnej wyprawie niedzielnej każde z nich zaszyło się w swoim świecie, jak żółw w skorupie.

W ciągu tygodnia odnosili się do siebie przyjaźnie, lecz z wyraźnym dystansem; żadne z nich nie miało ochoty go przełamywać. Tak się wygodnie składało, że Jeremy często pracował do późna i kiedy wracał z terenu, Zia na ogół była już w sypialni.

W czwartek wrócił później niż zwykle. Wniósł trzy torby żywności, a potem jeszcze skrzynkę piwa.

Była zdziwiona, bo nigdy nie widziała, żeby pił w domu.

- Jutro gramy w pokera - wyjaśnił, opróżniając torby w kuchni. - Tym razem jest moja kolej, będę gospodarzem.

Skinęła głową.

- Zwykle kończymy dobrze po północy - ciągnął, patrząc na nią w zadumie, jakby się zastanawiał co z nią zrobić.

- Rozumiem. Powinnam się na noc wynieść do hotelu. Zawahał się, potem pokręcił głową.

- Po prostu chciałem cię uczciwie ostrzec. Czasem jesteśmy bardzo hałaśliwi.

- Nie ma sprawy - odetchnęła z ulgą. - Mam akurat książkę, do której chciałam się zabrać. Zostanę w pokoju i będę czytać.

- W porządku - powiedział. - Tylko, wiesz, lepiej, żebyś nie nosiła tej piżamy. Kiedy będziesz wychodzić do kuchni, czy po coś.

Piżama była z jedwabiu i miała koronkowe wstawki przy mankietach rękawów i nogawek. Góra sięgała do pół łydki i była z koronki na podszewce z jedwabiu, całość więc, choć przezroczysta, była jednak dostatecznie skromna.

- Dostałam ją od Kristy pod choinkę - broniła się, jakby osoba ofiarodawcy usprawiedliwiała ją w jakimś stopniu.

- No tak, jest, bardzo... - zakończył zdanie niewyraźnym chrząknięciem.

- Prowokacyjna? - spytała zaskoczona.

- Jest bardzo... piękna. Domyśliła się o co mu chodzi.

- Założę stary dres. Dobry pomysł? - Udało jej się zachować poważny ton i wyraz twarzy.

- Jasne. - W jego głosie słycać było ulgę.

W piątek wieczór, upewniwszy się, że nic z jej rzeczy osobistych nie pozostało poza jej pokojem, Zia przygotowała na wielkim talerzu sałatkę z kurczakiem, winogronami i pomidorami.

Jeremy wsunął do salonu składany stół turystyczny, wyłożył na stół torby z chipsami, a piwo wstawił do wielkiej chłodziarki. Ze zdumieniem obserwowała, jak bierze gaśnicę i spryskuje piwo, tworząc w chłodziarce obłok dwutlenku węgla.

- Pierwszy raz widzę coś takiego.

- Najszybszy sposób na schłodzenie piwa - oświadczył, dorzucając do środka torbę z lodem, żeby zachować temperaturę. - Potem jednak trzeba gaśnicę nabić, więc nie powinno się tego robić, jeśli nie ma się drugiej.

- A mamy?

- Mamy. Ta jest spod umywalki. Druga, większa, jest w kuchni.

Gaśnicę w kuchni zauważyła, natomiast starał się nie buszować po szufladach i szafkach w pozostałych częściach domu.

Co obawiała się znaleźć w gospodarstwie kawalera?

Nawet nie próbowała odpowiadać na to pytanie.

Wzięła szklanekę herbaty z lodem do pokoju, zamknęła drzwi i zatopiła się w wieczornej lekturze. Powieść była gruba, ale sądziła, że uda jej się przeczytać ją do końca, jeśli poker przeciągnie się do bladego świtu.

Trochę przed ósmą zachręściły opony na żwirowym podjeździe. Koledzy przyjechali jednocześnie. Po chwili w całym domu rozległy się odgłosy powitalnych żartów.

Wkrótce usłyszała kroki w korytarzu obok jej drzwi; mężczyźni przeszli na werandę. Jeden z nich opowiadał anegdoty ze spływu tratwą po Green River w towarzystwie szwagra tępaka.

Głosy przycichły, kiedy przymknęli drzwi. Ziewając, wyciągnęła się właśnie na leżance, gdy nagle zorientowała się, że jakiś nieznajomy gapi się przez okno. Zaskoczona, skinęła obcemu lekko głową, po czym z uprzejmym uśmiechem zasunęła firanki. Stół pokerowy i przekąski znajdowały się po drugiej strony werandy, nie przyszło jej więc od głowy, że ktoś mógłby zaglądać w jej okno.

Nie wiedzieć czemu to, że mężczyzna przyglądał się jej ukradkiem, zaniepokoiło ją i rozstroiło. Upewniła się, czy firanki są starannie zasunięte.

Kogóż mogło obchodzić, co robi, starała się zbagatelizować swój niepokój. Mężczyźni na pewno bawili się doskonale we własnym towarzystwie.

Przez następne trzy godziny nie odrywała się od książki o osieroczonej młodej kobiecie, która postanowiła zrobić karierę w świecie korporacji, co przysporzyło jej wrogów, rzucających jej kłody pod nogi.

Chóralny męski śmiech skwitował kolejną anegdotę, wybijając ją z lektury.

Odłożyła książkę na bok, opierając głowę na miękkim obiciu leżanki. Chwilami wyławiała baryton Jeremy'ego spośród innych głosów i wtedy ku jej zaskoczeniu czuła niespokojne bicie serca.

Około północy dom, rozgrzany po upalnym dniu, ostygł wreszcie.

Zia dopiła ostatnie krople herbaty i spojrzała w stronę drzwi na korytarz. Zastanawiała się, jak długo jeszcze potrwa pokerowy wieczór. Chciała pójść do łazienki, miała też ochotę na filiżankę gorącej herbaty.

Cóż, nie była przecież uwięziona. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby wymknąć się z pokoju, zajrzeć do toalety, a potem kuchni i wrócić niepostrzeżenie. Sądząc z podochoconych głosów na werandzie, powinno jej się to udać bez trudu.

W grubych skarpetach podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. Drzwi łazienki były otwarte, więc wymknęła się z pokoju. Po paru minutach sprawdziła, czy droga znowu jest wolna, po czym przemknęła do kuchni.

Na blacie barku zobaczyła na wpół opróżnione pudełko czekoladowych ciasteczek z pobliskiej cukierni. Zapach czekolady był nie do odparcia. Zagotowała filiżankę wody w mikrofalówce, wrzuciła do środka saszetkę ziołowej herbaty, nalała pół szklanki mleka i postawiła ją na talerzu obok pulchnego ciasteczka.

- A kuku! - rozległ się za nią męski głos.

Talerz wypadł jej z rąk, na szczęście ledwie zdążyła podnieść go z blatu, więc się nie stłukł.

- Przestraszyłeś mnie. - Uśmiechem starała się złagodzić oskarżycielski ton.

Był to ten sam mężczyzna, który gapił się na nią przez okno. Gdyby był jednym z pracowników z budowy mostu, nie czułaby się taka... taka...

skrepowana tym, że zablokował jej wyjście z narożnika kuchni. Nieznajomy ustawił się przy końcu blatu barowego oddzielającego kuchnię od salonu.

- Gadaj, kim jesteś. - Jego uśmiech był zbyt szeroki, sposób bycia zbyt kordialny. - Jeremy nic nam nie mówił, że ma takiego gościa.

Nie odpowiadał jej ten dwuznaczny ton. Miała wrażenie, że facet obmacuje ją wzrokiem. W jego uśmiechu było coś drapieżnego i uwłaczającego jednocześnie.

- Jestem starą przyjaciółką rodziny - odpowiedziała pospiesznie. - Niedawno sprowadziłam się do Vernal. Jeremy zrobił mi grzeczność i wynajął mi u siebie pokój, dopóki sobie czegoś nie znajdę.

No. Nareszcie udało jej się postawić sprawy jasno.

- Starą przyjaciółką, he? - Mężczyzna podszedł bliżej. Zia cofnęła się, uderzając biodrem w blat. - Ten Jeremy to ma farta.

Zawiesił głos znacząco. Jego wargi wykrzywione w szerokim, fałszywym uśmiechu wydawały się obwisłe. Być może czuł się atrakcyjny jak gwiazdor filmowy, jednak w oczach Zii był tłusciochem, który golnął o kilka piw za dużo, choć jego chytre oczka wskazywały na to, że był jeszcze całkiem przytomny. Kiedy podszedł bliżej, zapędzając ją w narożnik, nie przestraszyła się. Mając w pobliżu trzech mężczyzn mogła zawsze wzywać pomocy. To jednak mogło doprowadzić do niezręcznej sytuacji, bo przecież był ich kolegą.

Wzięła talerz do jednej ręki, a filiżankę z herbatą do drugiej.

- Proszę mnie przepuścić - powiedziała z uśmiechem, ale lodowatym tonem. - Idę do siebie.

Nie odsunął się z drogi, przeciwnie, zrobił krok do przodu, tak, że musiała podnieść talerz prawie pod brodę, żeby go nie potracił.

- Taka ładna dziewczuszka jak ty mogłaby mieszkać u mnie za darmo - powiedział, nachylając się.

Owionął ją odór alkoholu. Był wysokim mężczyzną, wyższym niż Jeremy i mocniej zbudowanym. Ogarnęła ją złość. Jęknęła w duchu. Dawno nie była już w sytuacji, w której musiałaby stawiać czoło napalonemu samcowi. Nie spodziewała się czegoś takiego pod tym dachem.

- Uważaj - powiedziała już bez cienia uśmiechu. - Nie chciałabym cię oblać wrzątkiem.

Zamrugął.

- Nie możesz znaleźć łazienki, Smitty? - spytał Jeremy, podchodząc do barku na tyle, żeby kolega mógł wyjść z kuchni.

- Znalazłem tu coś dużo lepszego - odparł Smitty, posyłając kolejną falę alkoholowego odoru prosto w twarz Zii.

Odwróciła głowę, nie kryjąc już obrzydzenia.

- Nie wydaje mi się, żeby damie podobały się twoje zaloty - ciągnął Jeremy spokojnym, rozbawionym tonem. - Znam ją i wiem, że z odległości dwudziestu kroków potrafi zmienić polarnego niedźwiedzia w bryłę lodu.

Udało mu się rozbawić pokerzystę.

- No, to chyba spłynę stąd. - Wycofał się. - Nie wspominałeś, że masz współmieszkanekę.

- Jest gościem - warknął Jeremy. - Odczep się od niej. Smitty skwapliwie cofnął się o dobry metr do tyłu.

- Nie wiedziałem, jak się sprawy mają między wami. Wybacz, brachu. - Wycofał się na korytarz.

- Dzięki. - Zia odetchnęła z ulgą. - Zastanawiałam się już, czy krzyknąć czy oblać go gorącą herbatą. Oszczędziłeś mi jednego i drugiego.

Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi na tyłach domu, pobiegła do pokoju i zamknęła się na klucz.

Zdażyła stracić apetyt. Odstawiła mleko z ciasteczkami i, popijając herbatę, krążyła po pokoju. Przystanąła przy oknie na werandę, patrząc na zasunięte firanki. Czuła się niesprawiedliwie osądzona.

Jeremy powiedział właśnie coś, co, sądząc ze śmiechu mężczyzn, było dowcipem. Smitty rechotał najgłośniej.

Czy śmiali się z niej? A może była zbyt wrażliwa, albo zbyt egocentryczna? Pewnie w ogóle o niej nie rozmawiali.

Odsunęła się od okna i wróciła na fotel. Świat przecież nie obracał się wokół niej. Czyż nie przekonała się o tym wiele lat temu? Westchnęła, bliska łez bez powodu... czy może dlatego, że znowu poczuła się jak outsider, intruz, który nigdzie nie ma swojego miejsca.

Przestań się wreszcie roztkliwiać nad sobą, przywołała się do porządku.

Wzięła do ręki książkę, podkuliła nogi na leżance i przez następną godzinę czytała. Potem zgasiła światło i siedziała w ciemnościach, nie mając ochoty kłaść się do łóżka, dopóki obcy byli w domu.

Dziwny niepokój powrócił, tym razem ze zdwojoną siłą.

Trochę po pierwszej mężczyźni skończyli grać. Dziesięć minut później umilkł warkot odjeżdżających samochodów. Zapadła cisza. Wyteżyła słuch, żeby zorientować się, co robi Jeremy, ale nic nie było słychać.

- Możesz już wyjść - zawołał zza drzwi tak nagle, że drgnęła.

Zapaliła lampę i otworzyła drzwi.

Mrocznym spojrzeniem powiódł po jej stroju, potem spojrzał na mleko, ciastko, książkę i pustą filiżankę po herbacie.

- To wygląda smakowicie. Też coś przekąszę, zanim walnę się spać.

Kiedy ruszył do kuchni, poszła za nim, niosąc talerz z nietkniętym jedzeniem. Dotarło do niej, że minęły godziny, od kiedy jadła obiad i jest już porządnie głodna. Incydent w kuchni pozbawił ją apetytu, teraz jednak czuła się znowu bezpiecznie.

Bezpiecznie? Raczej swobodnie. Czuła się swobodnie, gdy w domu nie było tamtych mężczyzn.

Jeremy siedział przy blacie barowym. Dosiadła się do niego. Spłaszczował dwa ciastka i popił szklanką mleka.

- Co to było między tobą a Smittym? - spytał tonem sugerującym, przynajmniej w jej odczuciu, że uwiodła jego kumpla wbrew jego woli.

- Nic. Był zaskoczony, że masz gościa. Ewidentnie nie wspomniałeś o mnie kolegom. Powiedział, że mogę mieszkać u niego za darmo. - Zaśmiała się gorzko. - Nie ma nic za darmo.

- Nieźle umiesz zmyślać - rzucił nagle, równie jak ona rozgoryczony.

Zorientowała się, że dochodzi druga w nocy, a Jeremy szykuje się do kłótni. To nie była właściwa pora na dyskusje. Nie miała ochoty na powtórkę z zeszłego piątku i kolejny niekontrolowany wybuch namiętności między nimi. Myśl o czymś takim była bardziej denerwująca niż chwile z kolegą pokerzystą.

Odstawiła swoje naczynia do zlewu.

Była jednak jedna rzecz, którą chciała wyjaśnić.

- Incydent z twoim kolegą nie nastąpił z mojej winy. - Pokazała na swoje ubranie. - Mój strój nie jest w najmniejszym stopniu prowokujący...

- Nie musi być - mruknął. - Wyglądasz seksownie we wszystkim.

- Nie dopraszałam się jego umizgów, ani nie zachowywałam się prowokująco. - Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. - Nie było w tym

mojej winy - powtórzyła jeszcze raz wyniośle. - Nigdy nie flirtuję z podchmielonymi kolesiami. Nie był w moim typie.

- Oczywiście, mogłaś sobie przygruchać kogoś o wiele lepszego.

Dlaczego tego nie zrobiłaś - spytał jadowicie.

- Idę do łóżka - oznajmiła, wściekła na niego i na cały ród męski. - Dobranoc.

Ruszyła do drzwi, jednak złapał ją za rękę, odwracając twarzą do siebie.

- Przepraszam cię, zachowuję się jak kawał sukinsyna. To pewnie przez tę późną porę i... z innych powodów.

Ich oczy spotkały się w niemym pytaniu. Poczuli nagle drzenie. Straciła zdolność jasnego myślenia. Porwał ją dziki, nieokiełznany strumień pierwotnej energii. Pożądała tego mężczyzny, dobrego, lojalnego, godnego zaufania, który uosabiał wiele rzeczy, jakich brakowało w jej życiu...

- Zia - wyszeptał Jeremy drżącym głosem.

Przymknęła oczy, wiedząc, że opuszcza ją rozsądek. Zbliżył się do niej i chwycił ją w talii. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła twarz do jego piersi.

Chłonęła go wszystkimi zmysłami. Wdychała zapach jego skóry, ubrania pachnącego świeżym powietrzem, świerkowy zapach wody po goleniu i szamponu.

Jego ciepło. Jego wargi na jej szyi. Obejmujące ją ramiona. Jego oddech na jej policzku. Gdzieś głęboko w jej wnętrzu, w samym centrum chronionym przez lodową skorupę od bardzo, bardzo dawna, zapłonął ogień, który trawił ją i napawał lękiem.

- Chodź do mnie - szepnął.

Odsunął się, by zajrzeć w jej twarz. Spojrzała mu w oczy - ciemne i bezkresne, jak noc. Skinęła głową bez słowa.

Porwał ją nagle na ręce i ruszył korytarzem. Podróż trwała parę sekund i całą wieczność - minęli pralnię, łazienkę, drzwi jej pokoju. Znaleźli się w sypialni Jeremy'ego.

Postawił ją na podłodze przy łóżku. Jednym szybkim ruchem odrzucił narzutę i kołdrę, potem objął ją w pasie. Dreszcz podniecenia przebiegł przez jej plecy.

Jeremy nie zdziwił się, że ręce mu drżą, kiedy zdjął jej sweterek przez głowę i odrzucił na bok. Nigdy w życiu nie czuł tak wielkiego pragnienia.

Jego ciało zadrżało konwulsyjnie, kiedy dłonie Zii zsunęły się z jego piersi aż do dzinsów. Przez pulsującą w skroniach krew słyszał trzask rozpinanego zamka. Kiedy dotknęła go bardziej intymnie, pieszcząc delikatnymi ruchami rąk, westchnął głęboko, a pragnienie i płonąca namiętność zaczęły krążyć w jego żyłach.

To była tortura i rozkosz, ból i przyjemność, ekstaza, to wszystko, co literatura i jego własne doświadczenia nazywały pożądaniem.

Z nią. Z tą kobietą. Tylko z nią.

Zia niecierpliwie zdzierała z niego ubrania. Chciała, żeby pozostała między nimi tylko słodka, nagląca potrzeba. Jej pragnienie i jego pragnienie.

- Dobrze - mruknął, jakby czytał w jej myślach.

Szybkimi ruchami zdarł z nich resztki ubrań, upuszczając je na podłogę. Potem znów wziął ją na ręce i położył w wielkim, wygodnym łóżku.

Zewsząd otoczył ją jego zapach.

- Jeremy - szepnęła - pragnęłam tego... od dawna. Ale nie wiedziałam o tym.

Leżał obok niej, na wpół przykrywając ją sobą. Palcami przeczesywał jej rozrzucone na poduszce włosy.

- To dziwne, kiedy tak sobie o tym mówimy - powiedział cicho. - Jakbyśmy odsłaniali przed sobą jakiś mroczny sekret, który można będzie z powrotem ukryć.

- Może powinien pozostać ukryty. - Położyła mu dłoń na policzku i spojrzała w oczy.

Kiedy potrząsnął głową, poczuła ulgę. Nie chciała powściągać pożądania, które zdawało się wypełniać ją każdą najmniejszą cząstkę jej ciała. Uśmiechnął się do niej i nagle stał się cud. Małe, bolesne ślady w jej sercu zagoiły się.

Kiedy ją pieścił, rozkosz jego dotyku przysłoniła cały świat. Wiry rozkoszy w jej ciele przelatowały jak meteory po gwiazdzistym niebie. Westchnęła i zaczęła falować pod nim, otwierając się, dopraszając jego pieszczot.

Jeremy wolałby delektować się każdą sekundą, ale jego ciało domagało się szybkiego, ostrego spełnienia. Kiedy zaczęła ocierać się o niego, zorientował się, że jej pożądanie jest równie silne jak jego.

Opuszkami palców wędrował po jedwabistej skórze jej brzucha i ud. Kiedy rozsunała nogi w bezgłośnym przyzwoleniu, jego palce zsunęły się w wilgotne zagłębienie. Przez ściśnięte gardło wykrzyknęła jego imię.

To był najbardziej seksowny dźwięk, jaki słyszał w życiu.

Obsypał jej usta tysiącem pocałunków, z których każdy był nowym, zachwycającym podarunkiem. Ich języki splotły się w radosnym pojedynku. Chłonał jej zapach, jej egzotyczny aromat, dotyk jej skóry na swoim ciele.

A to był tylko początek.

Całował jej nieskazitelne piersi, czuł, jak wygina się pod nim zapraszająco. Serce biło mu tak mocno, jakby miało wyskoczyć z piersi. Okrążając językiem jej pępek, zorientował się, że nie ma w nim kolczyka. Ucieszył się, że nie musi uważać na niego, choć kiedy połyskiwał w tańcu, był bardzo podniecający.

Zsunął się niżej i usłyszał głębokie westchnienie, a potem jęk pożądania.

Gładziła go po głowie, potem zacisnęła dłonie na jego włosach, a jej oddech przyspieszył.

Zaśmiał się cicho i przez całą wieczność doprowadzał ją do krawędzi, a potem wycofywał się na tyle, by mogła trochę ochłonąć. W końcu odsunął się i sięgnął do szuflady po prezerwatywę.

- Pozwól - poprosiła.

Wyjęła mu ją z rąk i wsunęła do końca.

- Teraz - zażądała.

Wśliznął się pomiędzy jej uda, gdzie spotkało go upragnione przyjęcie. Pierwsze pchnięcie, na które odpowiedziała uniesieniem bioder, wprowadziło ich w rozkoszne unisono.

-Zaczekaj - poprosił, gdy zaczęła poruszać się pod nim.

Wydała okrzyk protestu, jednak powściągnęła ruchy, od których tracił rozum. Teraz pieściła go tylko dłońmi po plecach, bokach, biodrach i udach. Kiedy wsunęła dłoń między ich ciała, gładząc go po brzuchu, syknął przez zęby. Znowu zaczął tracić opanowanie.

- Jeszcze chwila i nie wytrzymam - ostrzegł. Wtuliła się w niego, lekko kołysząc biodrami.

- Ja też - wyznała, całując go po szyi, obojczyku, ramieniu. Ugryzła go żartobliwie i uniosła biodra nieco mocniej. Jęknął.

Czuła, że nie wytrzyma sekundy dłużej, aż wreszcie wszystko przestało istnieć, z wyjątkiem miejsca, w którym jej dotykał.

- Tak - wyjęczała, błagając go o zaspokojenie. - O, tak. Jeremy poczuł, jak zaciska się wokół niego, usłyszał, że sam oddycha spazmatycznie i wreszcie nadciągnęło spełnienie, zatapiając go w kolejnych falach niewysłowionej rozkoszy.

Tkwiał w niej, czując, że rozkosz rozlewa się jak płynny miód po wszystkich częściach jego ciała, umysłu, duszy...

W tej samej chwili usłyszał jej głęboki, drżący oddech, jakby był straszliwie zmęczona. Najdelikatniej, jak potrafił, odwrócił ich oboje na bok i przełożył nogę przez jej udo, starając się jak najdłużej zachować więź między nimi.

Miała zamknięte powieki, a jej śliczna twarz lśniła od potu. Odsunął kręcony kosmyk z jej twarzy i zaczął całować czoło i skronie, niezdolny przestać jej dotykać.

Po raz pierwszy w życiu jego ciało wymknęło się spod kontroli umysłu. O dziwo, wcale nie czuł sygnałów ostrzegawczych, które pojawiały się zawsze, ilekroć jego związek z kobietą zaczynał być zbyt intensywny. Czuł w sobie wir uczuć, których nie umiał nazwać.

Czułość?

Tak.

Oczarowanie? Tak, również. Zamęt?

Bezwzględnie tak. Całkowity zamęt.

Rozdział 10

Zia obudziła się późno. Był sobotni rano. Leżała sama w wielkim łóżku. Noc była cudowna, intensywne, sycące i... szalone? Jeszcze jak!

Obróciła się na bok, przygarnęła do siebie poduszkę Jeremy'ego i pociągnęła nosem. Zapach Jeremy'ego wypełnił jej płuca i serce szalonymi wizjami: mężczyzna i kobieta. Płonący kominek. Ciche, szczęśliwe dni budowania wspólnego domu. Rodzina.

Pora wracać na ziemię. Zaczął się nowy dzień i rzeczywistość zaglądała jej w oczy. Prawda była taka, że od dawna ciągnęło ich do siebie. Wesele Kristy stało się tą przełomową chwilą, kiedy to sobie uświadomiła. Wszystko, co się od tamtej chwili wydarzyło, stanowiło proste potwierdzenie tego, co czuła od dawna. Jeremy musiał czuć podobnie.

I co teraz? Tego nie umiała powiedzieć, jednak jednego była pewna: on potrafi być z nią w doli i w niedoli. Dowiódł tego niejednokrotnie przez te wszystkie lata.

Wstała i włożyła dres, teraz starannie złożony na krześle. Czy Jeremy miał dzisiaj iść do pracy?

Nie mogła sobie przypomnieć.

Było tyle rzeczy, o których musiała cały czas myśleć... aby nie myśleć. Uśmiechnęła się gorzko.

Krew gwałtownie zatętniła jej w żyłach, gdy przypomniała sobie szaleństwa ostatniej nocy, czy raczej wczesnego poranka. Nie pamiętała, o której poszli spać, ale czuła się wypoczęta. I zaspokojona.

Znalazła skarpety i wyszła do kuchni. Kawa była zaparzona. Nalała sobie filiżankę i wyjrzała na zewnątrz. Samochód Jeremy'ego zniknął. Na

drzwiach lodówki wisiała karteczka: „Nie będzie mnie przez większość dnia, a może i wieczoru”. Podpisane: J.

I tyle.

Cóż, tak zwany trudny poranek „po”. Czy naprawdę musiał jechać do pracy, czy po prostu chciał uniknąć spotkania twarzą w twarz?

Przyglądała się karteczce. Wyraźne pismo, drukowane duże litery wskazywały na uporządkowany umysł - tak gdzieś kiedyś czytała. Zgniotła kartkę w dłoni i wyrzuciła do śmieci.

Po śniadaniu spędziła godzinę na sprzątanii i praniu. Jeremy zdążył już wysprzątać werandę i kuchnię, usuwając wszelkie ślady męskiego pokera.

Potem poszła na długi spacer, szlakiem wzdłuż górskiego grzbietu ciągnącego się tuż za domem Jeremy'ego. Odkryła po drodze chatę z bali dla turystów, którzy zgubili drogę lub złapał ich deszcz. Kiedy wróciła do domu, nadal nie było nikogo.

Krzyk ptaków pośród drzew rozbrzmiewający w ciszy pustego domu wydał jej się najbardziej samotnym odgłosem, jaki kiedykolwiek słyszała.

Nie żeby spodziewała się kwiatów, serduszek czy innych romantycznych gestów. Jeremy, z natury troskliwy i opiekuńczy, przyszedł jej z pomocą, kiedy tego potrzebowała, tak jak tamtej nocy przed laty, gdy była samotna i przerażona. Długotrwałe napięcie zrodziło namiętność. Niczego więcej nie oczekiwała.

I miała rację. Lakoniczna kartka na lodówce uświadomiła jej, że nie składał jej obietnic dozgonnej miłości. Westchnęła, potem uśmiechnęła się przelotnie. Życie to nie taka prosta rzecz.

Zerknęła na zegar i zorientowała się, że czas już przygotować obiad. Przynajmniej to zawsze jej się udawało. Zaśmiała się z pewnym wysiłkiem. Może powinna zostać słynnym kucharzem.

Jeremy wrócił do domu o zmierzchu. Cały dzień spędził z Gordanem przy dźwigu ładującym na ciężarówkę ciężkie siatki do umacniania zbocza przy serpentynie. W poniedziałek dźwig miał przyjechać tam do wyładunku siatek.

Kiedy parkował samochód przy domu, zobaczył w kuchni Zię. Krew zatętniła mu szybciej w żyłach. Czy przygotowywała dla nich obiad? Przyjechał tak późno. Czy będzie zła?

Skradał się bocznymi drzwiami jak żołnierz spodziewający się w każdej chwili wybuchu miny. O dziwo jednak, Zia uniosła ku niemu uśmiechniętą twarz. - Przyłapałeś mnie na gorącym uczynku. Właśnie miałam podkraść jedno z ciastek czekoladowych, które wczoraj przywiozłeś.

- Częstuj się - powiedział, odwzajemniając uśmiech. Coś w nim zmiękło, a coś - przeciwnie - stwardniało.

- W lodówce jest zupa, jeśli jeszcze nic nie jadłeś.

- Brzmi zachęcająco. Dzięki.

Nalała szklanek mleka i postawiła przy ciastku na blacie barowym.

Może zawahałby się, gdyby wyczuł z jej strony chłód, albo gdyby unikała go wzrokiem. Albo gdyby, mijając ją, nie został znowu spowity tym jej egzotycznym aromatem.

Stanął jak wryty.

Kiedy podniosła na niego wzrok, przepadł z kretelem. Położył dłonie na jej ramionach i nachylił się do jej ust.

- Nie masz nic przeciwko temu? - spytał niepewnie.

- Nie wiem - odparła z rozbrajającą szczerością. Przymknął oczy i zatonął w pocałunku. Objęła go delikatnie, jednak jej dłonie zaciskały się coraz mocniej, w miarę jak pocałunek stawał się coraz głębszy, gwałtowny, zaborczy.

W jakiejś części jego umysłu rozległ się ostrzegawczy głos. Zaklął w duchu, po czym stracił wszelką zdolność myślenia. Jęcząc, przyciągnął ją do siebie, gdyż pożądanie rozprzestrzeniało się w nim z szybkością światła.

- Jak mogłem myśleć, że potrafię ci się oprzeć? - zaśmiał się cicho, kiedy oderwali się od siebie, by zaczerpnąć tchu.

Zesztywniała. Zanim się połapał, co się dzieje, wysliznęła mu się z objęć i umknęła na drugą stronę baru. Jej piękna twarz nabrała kamiennego wyrazu. Wyglądała jak posąg.

- Więc to stanowi problem? - spytała chłodno i wyniośle.

- Musimy porozmawiać - przyznał. - O wczorajszej nocy i o tym, co się dzieje teraz. Powiedz, czym cię dotknąłem.

Wzruszyła ramionami.

- Chodzi ci o to, co powiedziałem? Że nie umiem ci się oprzeć?

Usiłował sobie przypomnieć swoje słowa, choć pożądanie zaćmiewało mu umysł.

Ich oczy spotkały się. Znał to spojrzenie. Tak samo patrzyła na niego, kiedy tańczyli na weselu Kristy. Jej wzrok mówił: jestem obecna ciałem, ale nie duchem.

- Musisz mi pomóc to zrozumieć - podjął po chwili. Jej chłód zaczynał odnosić skutek.

- Popeliłam błąd, przenosząc się do ciebie - oświadczyła. - Wiedziałam, że ciągnie nas do siebie...

- Jeszcze przed tamtym wieczorem w motelu w Boise? -przerwał, zirytowany i zaskoczony tym, że wiedziała o tym przez cały czas, a mimo to udawała przed nim niewiniątko.

Zia zapatrzyła się w okno. Spojrzał w ślad za nią i zobaczył błędny lot świetlika na skraju lasu. Jego życie też stale przyjmowało nieprzewidywalny obrót.

- Na weselu - odezwała się ledwie słyszalnie - gapileś się na mnie, kiedy szłam przez kościół. Suknia, którą wybrała dla mnie Krista, taniec, romantyczna atmosfera, właśnie wtedy, jak sądzę, zaczęliśmy się sobie podobać.

Zaśmiała się - głucho, żałośnie. Poczł nagle, że zapomina o czymś ważnym w ich stosunkach, ale nie umiał powiedzieć o czym.

- Byłaś taka piękna na ślubie - powiedział cicho. – Ale myślę, że między nami jest coś więcej i zawsze było, może nawet od lat.

- Tego lata oboje przeszliśmy dosyć poważne zmiany życiowe - zbyła go. - Do tego zamieszkaliśmy razem, pracujemy wspólnie, to się wszystko składa.

- Na co? Na pożądanie?

- Otóż to. Może nie powinniśmy do tego podchodzić tak poważnie.

Wzruszając ramionami, podniosła ciastko do ust; nawet ten gest wzbudził w nim skurcz pożądania. Wyraźnie uznała temat za zamknięty, sięgnął więc po pojemnik z zupą i od-grzał pełen talerz w mikrofalówce.

Kiedy siadał do stołu, Zia skończyła już jeść, odstawiła naczynia i ruszyła do swojego pokoju.

- Zaczekaj - poprosił. Przystanęła niechętnie. - Jutro Gordan urządza u siebie piknik i mecz piłki. Większość załogi będzie u niego. My też jesteśmy

zaproszeni. Marti będzie gospodynią i pyta, czy moglibyśmy zjawić się wcześniej i jej pomóc.

Kiedy Zia usłyszała imię Marti, zniknął z jej twarzy wyraz niepewności i wahania.

- To brzmi zachęcająco. O której mamy tam być?

- Koło czwartej.

- Świetnie. Będę miała czas, żeby sprawdzić ogłoszenia niedzielne.

- Nie musisz się tak spieszyć z wyprawką - oświadczył, zaniepokojony myślą, że Zia chce odejść, i świadomością, że on wcale nie ma na to ochoty. - Mimo tego, co się stało wczorajszej nocy, nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

- Wiem, ale lepiej będzie, jeśli znajdę sobie coś własnego. Zanim sytuacja całkiem wymknie się nam spod kontroli.

Głowę by dał, że tak będzie. Już marzył o tym, żeby ją mieć w objęciach, w swoim łóżku...

Odeszła. Po chwili usłyszał, jak drzwi jej pokoju zatraskują się delikatnie, lecz stanowczo. Skrzywił się, potrząsając głową. Pożądanie to nie tylko kłopoty. To także zagadki.

Pochłonął pyszną zupę, nappełnił ponownie talerz i zapatrzył się w dymiącą powierzchnię.

W gruncie rzeczy musiał porozmawiać z kimś, kto pomógłby mu wybrnąć z tej sytuacji. Stryj Jeff nie wchodził w rachubę, ponieważ był mężem matki Zii. Wiadomość o ich zbliżeniu przyjąłby prawdopodobnie ze zgrozą.

Zabawne, ale Zia była jedyną osobą, z którą dało się rozmawiać logicznie. Chociaż czasem sprawiała wrażenie niedostępnej, potrafił rozmawiać z nią szczerze.

Zmęczony poszedł do łóżka. Zauważył, że pościel została zmieniona i nie pozostał nawet ślad jej zapachu. Wystarczyła jedna noc i już brakowało mu jej obecności, tęsknił za tym, jak spali przytuleni do siebie.

W nocy nad górami przeszła burza, przynosząc ulgę spalonej ziemi. W niedzielę rano powietrze było cudownie świeże.

Jeremy pojechał do miasta po gazetę. Zia przygotowała naleśniki z jagodami. Kiedy wszedł po powrocie do przytulnego domu, poczuł ucisk w sercu.

Śniadanie zjedli w milczeniu. Jeremy zostawił Zię na werandzie, gdzie pracowicie zakreślała kolejne ogłoszenia. Sam zabrał się znów do wycinania zarośli w promieniu trzydziestu metrów od domu.

O trzeciej wziął prysznic, ogolił się i przypomniał Zii, że wkrótce czas ruszać na piknik.

Zaskoczona spojrzała na zegarek i odłożyła komórkę. Kiedy wrócił w południe do domu napić się, słyszał, jak rozmawiała przez telefon w sprawie ogłoszeń. Potem podsłuchał, jak rozmawiając z matką, skarży się na kłopoty ze znalezieniem niedrogiego miejsca, które nie przypominałoby jej akademika.

Ilekoć wchodził do kuchni, czuł denerwujące napięcie.

Mężczyzna panuje nad swoimi instynktami, pouczył go stryj w jego osiemnaste urodziny.

Oczywiście był do tego zdolny, co nie znaczy, że przychodziło mu to łatwo.

Wsiadł do samochodu i zaczekał, aż Zia weźmie torebkę i dzinsową kurtkę. Kiedy przypięła pasy, ruszył do Giordana, zadowolony, że oddała się od swojego domu, który teraz wydawał się za mały dla nich dwojga. Myśl, że wkrótce znajdzie się wśród przyjaznej gromady, sprawiała mu ulgę.

Tak, w tłumie człowiek czuje się bezpieczniej.

Zia z przyjemnością oglądała dom Gordana. Był drewniany, piętrowy, z kuchnią i salonem na parterze, a sypialniami na piętrze. Przypominał jej dom, w którym mieszkały z matką w dzieciństwie. Budynek miał ponad osiemdziesiąt lat, wyjaśnił Gordan, oprowadzając Zię.

Marti krzątała się w kuchni. Ucisnęła Zię i poprosiła o pokrojenie pomidorów do hamburgerów, które mężczyźni mieli grilować na zewnątrz. Do kuchni weszli chłopiec

I dziewczynka, dopraszając się łakoci.

- Troy idzie teraz do siódmej, a Jillian do piątej klasy -przedstawiła Zii swoje dzieci.

- Czy poznaliście już kolegów, z którymi będziecie chodzić do szkoły?- spytała Zia.

- Jasne - odparł Troy. - Na półkoloniach.

- W domu kultury - wyjaśniła Marti. - Mają tam zajęcia sportowe, kółka zainteresowań i douczanie.

Dzieci wybiegły na zewnątrz.

- Wspaniale.

Zii znów poczuła ukłucie żalu, że program nauczania w Vernal nie zostanie w żaden sposób unowocześniony. Jej doraźna praca ograniczała się do przekazania innym osobom tajników obsługi komputerowych programów kalkulacyjnych.

- O, jest Tina z chłopakami - ucieszyła się Marti. Sekretarka Jeremy'ego niosła torbę z pieluszkami, a jej mąż - niemowlę śpiące w foteliku samochodowym. Tina przedstawiła męża, Richarda Zayersa, a on przywitał się z Zią i Marti, po czym wyszedł na zewnątrz do mężczyzn.

Chłopczyk, Anderson, był uroczy. Zia z zachwytem przyglądała się jego maleńkiej twarzyczce. Tina wyjaśniła, że nosi podwójne nazwisko: Ramsey-Zayers. Po urodzeniu ważył zaledwie dwa i pół kilo, ale teraz szybko przybierał na wadze.

- Śpi, choćby strzelano z armaty - ciągnęła Tina - i rośnie jak na drożdżach. Trudno uwierzyć, że takie maleństwo może tyle zjeść.

Zia przysłuchiwała się dyskusji na temat mleka w proszku i odżywek dla niemowląt. Nie знаła się na tym, więc nie zabierała głosu.

Przez trzy następne godziny kobiety pracowały ramię przy ramieniu. Zrobiły sałatkę ziemniaczaną i makaronową, upiekły ciastka i wielką blachę piernika. Witały kolejne przybywające rodziny.

Wkrótce na bocznym podwórku grano w koszykówkę, a syn Marti, urodzony przywódca, zorganizował wyścigi młodszych dzieci.

Część zaproszonych przywiozła z sobą składane stoliki i krzesła. Poustawiali je w cieniu drzew, obok głównego stołu piknikowego. Boisko baseballowe wytyczono na polance niedaleko grilla.

Śmiechy i pogawędki przypomniały Zii o entuzjazmie, z jakim rodzina Jeremy'ego wymieniała najświeższe wiadomości w czasie wspólnych spotkań.

Pomagała Marti w kuchni, potem wystawiły jedzenie na długie stoły na patio, żeby goście mogli się sami obsłużyć. Czuła się potrzebna i szczęśliwa. Pracując z kobietami, nie musiała obawiać się niepożądanych męskich zalotów.

Uświadomiła sobie, że na budowie też czuje się bezpiecznie. Załoga dobrze ze sobą współpracowała, traktując się z szacunkiem. Nikt się jej nie naprzykrzał, ani też nie traktował jej, jakby była obca.

Atmosferę w miejscu pracy określa głównie osobowość szefa, rozważała Zia. Jeremy był dobrym kierownikiem, był rzeczowy i pracował ciężko, wymagając od siebie nie mniej niż od załogi. Do obowiązków podchodził poważnie, ale nie stronił od żartów.

Gdy odstawiała wielką misę chipsów na stół na patiu, przyłapała jego spojrzenie. Bez zastanowienia zrobiła do niego zeza, marszcząc nos.

Roześmiała się, bo osłupiał.

Gordan i Steve, naczelny inżynier budowy, podpatrzyli te scenkę i wybuchnęli śmiechem. Steve był w towarzystwie Sadie, sygnalistki. Dziewczyna wydawała się piękna i ożywiona, flirtowała z mężczyznami niewinnie. Było w niej coś rozczulającego.

Jak ona to robi, zastanawiała się Zia.

Spojrzała po sobie: letnie niebieskie spodnie, biały top w żółto-niebieskie kwiatki, sandały odsłaniające pomalowane na różowo paznokcie. Większość kobiet miała na sobie, jak Sadie, krótkie spodenki i adidas. Wyjątek stanowiła Marti i kilka starszych kobiet, które były w długich spodniach. Strój Zii trudno było nazwać prowokacyjnym, ale jej dres też z pozoru nie wydawał się taki.

- Zapraszam na hamburgery, póki są gorące - zawołał Gordan tuż przed szóstą.

Wkrótce tłum okrążył stoły z jedzeniem. Zia pilnowała, żeby nie zabrakło na nim jedzenia.

- Pora zadbać o siebie. - Marti chwyciła dwie szklanki mrożonej herbaty i podała jedną Zii.

Obie ustawiły się w kolejce po jedzenie. Nałożyły sobie na talerze.

- Chodźcie do nas - usłyszały znajomy głos.

Gordan z Jeremym przytrzymali dla nich wolne miejsca. Zia przysiadła na ławie obok Jeremy'ego, Marti - naprzeciwko, obok Gordana. Steve, Sadie, Tina i Richard siedzieli przy tym samym stole.

Czuła wyraźnie biodro Jeremy'ego przyciśnięte do jej biodra.

- Brakowało nam was w piątek Pod Bobrem - odezwała się Sadie. - Grał nowy zespół, całkiem niezły.

- Co się stało ze starym? - spytała Marti.

- Wyjechali do Salt Lake City.

- Cóż, uroki wielkiego miasta... - westchnął Gordan rozśmieszając towarzystwo.

Zia przysłuchiwała się rozmowom. Była coraz bardziej zadowolona. Zastanawiała się, co sprawia, że czuje się tak dobrze z tymi ludźmi, dlaczego akceptują ją taką, jaka jest i nie musi przy nich nieustannie mieć się na baczności.

Jeremy poruszył się. Spojrzała na niego. Jego uśmiech wydawał się naturalny i zrelaksowany. Odpowiedziała uśmiechem, czując, że minęły już napięcia poprzedniego wieczoru i znów są przyjaciółmi. To była ulga.

Anderson obudził się i Tina wyniosła go na dwór. Przygotowywała dla niego butelkę,

- Pozwól mi go nakarmić - poprosiła Zia, widząc, że Tina nie skończyła jeść. - Myślisz, że mi pozwoli?

- Będzie zachwycony - zapewniła Tina.

Położyła niemowlę na jej piersi i sprawdziła temperaturę butelki, zanim ją oddała.

Zia roześmiała się cicho, widząc, jak małe usteczka zaciskają się wokół smoczka, ssąc łapczywie. O dziwo, jej własne sutki stężyły nagle.

- Oprzyj się o mnie - zaproponował Jeremy.

Oparła się o jego bok, jakby robiła to setki razy, czując wyraźnie jego ramię za sobą. Rzuciła mu wdzięczne spojrzenie, po czym skupiła całą uwagę na małym Andersonie, który cmoktał głośno i z zadowoleniem.

W pewnym momencie chłopczyk przerwał picie, uśmiechnął się moką od mleka buzią, po czym z zapalem wziął się znów do roboty. W połowie butelki Tina kazała jej podnieść niemowlę i poklepać po plecach. Mały zamachał piąstkami w powietrzu, wyraźnie niezadowolony.

Jeremy przewiesił jej pieluchę przez ramię.

- Na wypadek gdyby mu się ułało.

- Wiesz co nieco o niemowlętach - zdziwiła się.

- Niespecjalnie, ale coś tam pamiętam z czasów, kiedy Krista była mała. Podglądam też przyjaciół z dziećmi. - Skinął w stronę Tyny i Richarda.

- No to już wiemy, po kogo dzwonić, jak będziemy potrzebować niani

- roześmiała się Tina.

Zia zajrzała w niebieskie oczy ssącego malucha. Odpowiedział jej rozumnym spojrzeniem. Poczwała ucisk w gardle. Był tak maleńki, tak cudowny. Tak ufnie wkraczał w życie.

Poczwała ucisk w sercu, oczy ją zapiekły. Zaczęła modlić się w duchu, żeby życie go nie rozczarowało.

Pomyślała o sobie z czasów dzieciństwa jak o kimś, kogo znała dobrze przed laty. Ten ktoś ufnie oczekiwał od życia samych najlepszych rzeczy. Kiedy ojciec odszedł, przeżyła straszliwy szok. Była przerażona. Myślała, że zrobiła coś złego. Kiedy matka wyjaśniła jej, że dorosłym zdarza się czasem nie móc dojść do porozumienia, uznała, że jej wesoły, roześmiany ojciec zniknął z winy Caileen.

Sammy, miłość jej młodzięcych lat, sprawił jej kolejny życiowy zawód. Kochała go całym swoim nastoletnim sercem, mimo to odszedł... umknął... kiedy najbardziej go potrzebowała.

Wtedy postawiła szlaban wszelkim marzeniom. Teraz, patrząc w ufnie oczka Andersona, uświadomiła sobie, że dzieci przychodzą na świat, oczekując od najbliższych pokarmu, opieki i innych rzeczy, takich jak uczciwość, dobroć, sprawiedliwe traktowanie.

-I uczciwości. To też ci się należy - mruknęła do niemowlaka.

Obdarzył ją pożegnalnym uśmiechem, zamknął oczy i zapadł w sen w jej objęciach, ufając, że będzie go chroniła.

W myślach wybaczyła dziecku, jakim była kiedyś, za to, że żądało od najbliższych więcej, niż byli w stanie jej dać.

Usłyszała śmiechy. Na boisku za trawnikiem tworzyły się dwie drużyny. Jednej przewodził Gordan, drugiej Marti. Jeremy właśnie zdjął koszulkę i zawiesił ją na gałęzi drzewa. Marti rozstawiała graczy na boisku; Jeremy'emu przypadła pozycja miotacza.

Zia pamiętała jeszcze, jak grał w berka z kuzynami i kopał piłkę z kolegami na opuszczonym placu; jednak poza krótką chwilą w miejskim parku, nigdy nie oglądała go w takiej sytuacji. W swojej drużynie wyraźnie uchodził za dobrego gracza. Po dwóch rzutach i trzech autach drużyna Gordana musiała przejść do obrony. Drużyna Marti ruszyła do ataku. Jedna z młodych kobiet, dziewczyna operatora podnośnika widłowego, zaczęła machać kijem dla rozgrzewki i zajęła miejsce naprzeciwko miotacza.

Zia niezbyt znała się na grach drużynowych z wyjątkiem koszykówki i piłki nożnej. Od kiedy skończyła szkołę, nie miała okazji uprawiać żadnych sportów poza joggingiem w samotności. Kiedy dziewczyna operatora

wykonała celny rzut i przy akompaniamencie wiwatów Jeremy'ego i drużyny przeszła na drugą bazę, Zia poczuła ukłucie zazdrości.

Jeremy wrócił do stołu i przysiadł się do niej. Dopił herbatę, nalał sobie kolejną szklanekę.

Wdychała zapach jego rozgrzanego ciała, aż zakreśliło jej się w głowie z pożądania. Ostrożnie odłożyła Andersona na fotelik obok ławki. Nadal spał rozkosznie.

Kiedy wyprostowała się, dostrzegła na sobie wzrok Jeremy'ego. Przyglądał jej się lekko zaskoczony, jakby była zagadką, którą usiłuje rozszyfrować.

- Co? - spytała, kiedy pociągnął kolejny łyk herbaty.

- Tina była zaskoczona, kiedy dowiedziała się, że jesteś jedynaczką - mruknął. - Mówi, że masz wrodzony talent do opiekowania się dziećmi:

W pracy ludzie też parę razy mówili jej coś podobnego. Dzieci miały do niej zaufanie. A może po prostu to ona im ufała, dlatego miała z nimi dobry kontakt.

- Wiele lat pracowałam z dziećmi w ramach programów edukacyjnych - wyjaśniła. - Lubię je. W odróżnieniu od dorosłych, chętnie chłoną nowe rzeczy i łatwo się uczą. Są gotowe pracować ciężko, jeśli coś jest interesujące i stanowi dla nich wyzwanie.

- Dorosłym czasem trudniej zauważyć, że spotyka ich coś dobrego, prawda? - Z powagą zatknął jej kosmyk za ucho.

Głęboka zaduma w jego głosie przyprawiła ją o dreszcz. Co mógł mieć na myśli?

- Czasami - zgodziła się.

- Jeremy, jesteś w uderzeniu - zawołała Marti.

Położył lekko dłoń na jej ramieniu i odszedł zająć swoje miejsce w czwartej bazie.

Patrzyła, jak pracują jego mięśnie, kiedy unosi kij i przenosi ciężar ciała, by uderzyć z większym impetem.

Znowu opadły ją natarczywe wspomnienia. Poznała jego dotyk, gładkość jego skóry. Gładziła go po plecach, czuła mięśnie jego ud między swoimi udami. Poznała jego łagodność, gotowość do sprawiania jej rozkoszy. Zaznała słodczy jego pocałunków, kiedy o świcie układała się do snu wtulona w jego ciało.

Nagle ją olśniło: to, co czuła do Jeremy'ego, nie było zwykłym pożądaniem. Ich wspólna noc była czymś więcej niż znakomitym seksem.

Była... miłością?

Nie, tylko nie to!

Miotacz drugiej drużyny wziął zamach, szykując się do rzutu. Mięśnie Jeremy'ego stężały. Z perfekcyjnym wyczuciem czasu wybiegł piłce naprzeciw. Nie była zaskoczona, gdy zdobył punkt. Ani tym, że piłka wydawała się lecieć prosto w jej serce.

Odruchowo zrobiła unik.

Wieczorem przed dziesiątą, kiedy Jeremy zaparkował pod domem, zrobiło jej się ciepło na sercu. Zapomnieli zostawić choćby jedno światło i domek tonął w ciemnościach, mimo to miał w sobie coś bardzo przyjaznego.

Nigdzie jednak nie mogła schronić się przed pewnością, która zaczynała kiełkować w głębi jej serca. Zakochanie się w Jeremym było szaleństwem, jakiego nie popełniła od lat.

- Jestem skonany - oznajmił, kiedy weszli do domu.

Pstryknął światło w kuchni, ziewnął i przeciągnął się. Koszulka trykotowa napięła się na jego piersi, odsłaniając kawałek gołego brzucha.

- Miałeś pracowity weekend.

- Tak. Dobrze się dzisiaj bawiłaś? - Spojrzał na nią bacznie, jakby zastanawiał się, czy powie mu prawdę.

- Tak. Było znakomicie - odpowiedziała ze szczerym entuzjazmem.

A jeszcze lepiej by było, gdybyś mnie pocałował i gdybyśmy spędzili noc w twoim łóżku, dodała w myślach.

Spojrzała na niego ukradkiem, ale jego oczy pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu. Najwyraźniej tylko ona dała się rozmiękczyć.

Najwyższa pora iść do swojego pokoju. Ruszyła w stronę korytarza.

-Zia?

- Słucham? - Przystanęła tak nagle, jakby uderzyła w szklaną szybę.

- To ładnie z twojej strony, że zajęłaś się dzieckiem Tiny.

Skinęła głową w odpowiedzi.

- Młodzi rodzice potrzebują chwili oddechu. - Mówiła głosem znawcy.

- Tak w każdym razie twierdzi moja mama.

- Marti też była pod wrażeniem.

Zia miała nadzieję, że Marti nie bawi się znowu w swatkę.

- Myślisz, że między nią a Gordanem coś jest? - spytała, próbując zmienić temat rozmowy.

- Możliwe. - Skrzywił się. - Za to Marti uważa, że coś jest między nami.

- Hm, to chyba nie jest dobra pora, żeby rozmawiać o sprawach osobistych. Pamiętasz, jak się to skończyło w piątek wieczór?

- Jak mógłbym zapomnieć? - spytał cichym, łagodnym głosem, od którego coś w niej zadrżało.

- To było niemądre...

- Ale dobre - przerwał, już trzeźwiej. - Cholernie dobre.

- Tak - zgodziła się szczerze. - Dziś, kiedy patrzyłam, jak grasz w piłkę.

Urwała, żeby nie powiedzieć, jak bardzo chciała gładzić dłońmi jego nagi tors, sycić się jego rozgrzanym ciałem.

- Tak, miałem to samo. Byłaś dzisiaj cicha, ale nie taka odległa, nieobecna jak zwykle. - Przyglądał jej się bacznie z lekko przekrzywioną głową. - Taka właśnie wydawałaś się na weselu.

- Wiem. To dlatego, że Lance i Krista wydawali się tacy szczęśliwi, a ja im zazdrościłam. - Wzruszyła bezradnie ramionami. - Czułam się podle. Czułam się nikim. Nie wierzę w bajki typu „żyli dalej długo i szczęśliwie”, a mimo to chciałam... chciałam mieć to, co oni.

Kiedy stali, patrząc na siebie, coś zaczęło iskrzyć między nimi. Wiedziała, że powinna uciec, że po piątkowym wybuchu namiętności pokusa była zbyt wielka.

- Chyba wszyscy tego chcą - mruknął cynicznie. Odwrócił się, żeby przekręcić zamek w drzwiach zewnętrznych, po czym wrócił do stołu kuchennego, porywając ciastko czekoladowe.

- Zostało jeszcze jedno. Masz ochotę? Pokręciła głową.

- Jedziesz rano na budowę?

- Nie. Przez cały dzień mam spotkania w mieście.

- No to widzimy się jutro wieczór.

- Raczej nie. Kontroluję teraz roboty w kilku miejscach i jestem bardzo zajęty. To jest jeden z największych okręgów w tym stanie, mogę więc w ogóle nie wrócić do miasta. Czasami sypiam w terenie.

- No to do zobaczenia... kiedyś tam.

- Aha - odparł, nie patrząc na nią.

Idąc do pokoju, uświadomiła sobie, że obowiązki służbowe były eleganckim wykrętem, żeby nie wracać do domu.

RS

Rozdział 11

W poniedziałek Zia rozpoczęła pracę na swojej drugiej posiadzie. Pracowała teraz przy moście rano, a po południu w kuratorium. W porze lunchu i wczesnym wieczorem rozglądała się za miejscem do mieszkania, jednak na razie nie trafiła na nic, co by jej odpowiadało.

Jim Ramsey pokazał jej uroczy dom w mieście, raptem trzy przecznice od jej pracy. Był cudowny - dwie sypialnie, dwie łazienki, wielka kuchnia, a do tego tonący w kwiatkach ogród na tyłach i patio ze staroświecką huśtawką. Jednak cena była zawrotna, nawet gdyby zdecydowała się na zakup.

Nigdy dotąd poszukiwanie mieszkania nie wydawało jej się takie trudne.

Podczas bezsennych nocy, kiedy nie mogła zasnąć, dopóki nie wróci Jeremy, dotarło do niej, że przeprowadzka nie jest żadnym rozwiązaniem. Nie będzie to żaden początek, który doprowadzi ją do cudownego życia. Miejsce, do którego się wprowadzi, nie będzie jej „domem”.

Po spędzeniu dwóch wieczorów na instalowaniu programu kalkulacyjnego i sprawdzaniu jego działania, w środę była gotowa, by zapoznać z jego tajnikami wszystkich, którzy tego potrzebowali, z sekretarką kuratorium na czele.

Brandy Cummings, kobieta, która wydawała jej się wiekowa jak pustynny cedr i nie miała chyba nic wspólnego ze swoim imieniem, mierzyła najwyżej metr pięćdziesiąt. Nawet na siedząco Zia czuła się przy niej jak olbrzymka.

- Ten system księgowania został zaakceptowany przez wydział oświaty - wyjaśniła, siedząc przed monitorem. - Od następnego półrocza zacznie obowiązywać w sprawozdaniach finansowych.

- Rozumiem - odparła sekretarka. - Komputery, czyż to nie cudowna sprawa? Życie staje się o tyle prostsze. Ty pewnie nawet nie pamiętasz, jak używało się kalki do kopiowania dokumentów. Było z tym straszne utrapienie.

Zia patrzyła na starszą panią w osłupieniu. Brandy wyglądała na entuzjastycznie nastawioną do nowych zajęć. Uśmiechnęła się z ulgą. Sekretarka odpowiedziała uśmiechem, otworzyła odpowiednie pliki i, po kilku pytaniach, wypisała faktury, na których Zia postanowiła rozpocząć trening.

- Znakomicie dała sobie pani radę - powiedziała o piątej, kiedy zamykały biuro. - Ja się tego uczyłam o wiele wolniej.

- No cóż, ja miałam ciebie do pomocy - powiedziała Brandy spokojnie i rzeczowo, tak jak prowadziła wszystkie zawodowe sprawy. - Poza tym, mam tajnego sojusznika.

- Któż to taki? - zaciekała się Zia.

- Mój wnuk. W każde wakacje przyjeżdża do mnie. Pomógł mi zainstalować komputer w domu, żebyśmy mogli pisać do siebie e-maile. Potem, kiedy nie mogłam się połączyć w stanie mojego konta, postanowiliśmy wypróbować osobisty program finansowy. Teraz wszystkie moje rachunki są płacone automatycznie, a ja wprowadzam dane bankowe do mojego programu, który oblicza miesięczne saldo. Kiedy Josh przyjeżdża do mnie, co wieczór gramy w gry komputerowe, więc jestem oswojona z różnymi programami.

- Wspaniale - powiedziała Zia z niekłamany podziwem, zastanawiając się, jak to się stało, że była aż tak uprzedzona do Brandy.

Tego wieczoru zjadła sałatkę na werandzie, podziwiając grę świateł na wieczornym niebie, po czym zadzwoniła do matki.

- Pamiętasz tę sekretarkę, o której ci mówiłam? - spytała.

- Tę starszą niż świat?

- Tak. Jest świetna. - Zia opowiedziała o wnuku i komputerze. -

Postąpiłam w stosunku do niej tak, jak ludzie postępują często w stosunku do mnie, osądziłam ją po pozorach. Jest naprawdę miła i „szybko łapie”, jak by pewnie powiedział jej wnuk.

- Świetnie. To powinno ułatwić ci pracę.

Zia zaczerpnęła tchu. Czowała, że musi wypowiadać się z ciężaru, który od dawna nosiła na duszy.

- Mam też wyrzuty sumienia, że byłam taka niecierpliwa i wredna za każdym razem, kiedy próbowałaś mi pomóc przez całe lata. Już od dawna chciałam cię za to przeprosić.

- To wszystko jest elementem procesu dojrzewania - powiedziała Caileen ze zrozumieniem. - Byłam pewna, że ci przejdzie. - Roześmiały się obie.

- W szpitalu bardzo się cieszyłam, że masz przy sobie Jeffa - ciągnęła Zia. - Jest cudownym człowiekiem.

- Zgadza się - potaknęła wesoło Caileen. - Chyba że upiera się jak muł.

- Jaki znów muł? - z głębi domu dobiegł oburzony głos Jeffa.

- Wyszedł z pracowni i podsłuchał ostatnie zdanie - wyjaśniła Caileen tak czule, że serce Zii ścisnęło się z zazdrości. Ta para żyła w uroczej komitywie. - Stara się skończyć zamówioną rzeźbę, więc jemy kolację późno.

- To nie będę ci zawracać głowy. Dbaj o siebie. Ucałowania dla Jeffa.

- Przekażę. Zia?

-Tak?

- Ty też spotkasz kogoś cudownego. Kogoś, kto będzie stworzony dla ciebie. Ucieszyłam się, kiedy zmieniłaś posadę. Zawsze to jakiś nowy rozdział w życiu. - Zawahała się. - Wszystko się dobrze ułoży - dodała. - Zobaczysz.

Przez resztę wieczora w jej głowie rozbrzmiewały pełne otuchy słowa matki. Musiała sprawiać wrażenie kogoś w niezłym dołku, skoro Caileen uznała za stosowne aż tak ją pocieszać.

Skrzywiła się. Teraz mama będzie się o nią zamartwiać, a jej poczucie winy jeszcze wzrośnie.

Dzwonek telefonu uwolnił ją od tych rozmyślań.

Podniosła słuchawkę, ale po drugiej stronie nikt się nie odezwał.

Pewnie jeden z tych komputerowych automatycznych telemarketerów. Odebrała parę takich telefonów w zeszłym tygodniu i co najmniej jeden każdego wieczoru od kilku dni. Zawsze odkładała słuchawkę, zanim ktoś odezwał się na linii, próbując wcisnąć jej jakiś towar.

Tym razem jednak, zanim zdążyła odłożyć słuchawkę, usłyszała niski, gardłowy męski głos.

- Jesteś sama?

Zdenerwowana trzasnęła słuchawką. Odtąd wszystkie telefony będzie odbierać automatyczna sekretarka, postanowiła. A ona tylko telefony od osób, z którymi ma jakieś sprawy.

Kiedy telefon ponownie zadzwonił, zignorowała dzwonek. Włączyła się sekretarka. Ktoś po drugiej stronie odłożył słuchawkę z cichym szcęknięciem.

- Wyglądasz na zmartwioną - powiedziała Marti, smarując masłem swoją bułkę.

- Nie wiedziałam, że to aż takie oczywiste

- Może tylko dla mnie. Mój mąż skarżył się, że czytam w nim jak w otwartej książce i nigdy nie może nic przede mną ukryć, bo biorę go na spytki. - Przyglądała się przez chwilę Zii. - No więc, w czym rzecz?

- Odbieram denerwujące telefony, i tyle. - Wzruszyła ramionami.

- Nie bagatelizuj swoich odczuć. Jeśli wydaje ci się, że coś jest nie tak, zapewne się nie mylisz. Czy to są obsceniczne telefony?

- Nie do końca. Po prostu, jeśli zapomnę i odbiorę telefon, odzywa się niski, ochrypliwy męski głos i pyta, czy jestem sama. Zwykle odbiera automatyczna sekretarka, wtedy się rozłącza. Stale ten sam facet.

- W tej sytuacji telefony powinien odbierać Jeremy.

- Facet dzwoni zwykle o zmierzchu. Jeremy wraca o wiele później, kiedy już jestem w łóżku.

- Kiedy się zaczęły?

- Na pewno w zeszłym tygodniu. Może tydzień wcześniej, ale nie miałam żadnych podejrzeń. Myślałam, że to telemarketing i odkładałam słuchawkę, zanim ktokolwiek się odezwał.

- Myślisz, że to ktoś, kto zna ciebie i Jeremy'ego?

- Ktoś, kto wie, że w lecie Jeremy pracuje do późnych godzin wieczornych? - zaczęła się zastanawiać Zia.

- Możliwe - zgodziła się Marti.

Zia poczuła dreszcz strachu. Pomyślała o Smittym. Był obłeśny i zadufany w siebie, ale był przyjacielem Jeremy'ego. Trudno uwierzyć, żeby nękał ją telefonami.

- Nie mam pojęcia, kto to może być - zaczęła, ale umilkła. Między brakiem poważnych podejrzeń a ślepą ufnością istniała spora różnica. - Odsiewam telefony. Większość ludzi po kilku dzwonek odkłada słuchawkę, jeśli nie odbieram.

- Powinnaś powiedzieć o tym Jeremy'emu - zasugerowała Marti.

Tylko kiedy? O północy? Nie wydawało się rozsądne zaczynać z nim rozmowy o tej porze. Robiło jej się niedobrze na myśl, że podchodzi do niego i mówi mu, że się boi...

Czy pomyślałby, że go nabiera? Że chce go poderwać?

Tego samego dnia wieczorem siedziała, jak zwykle samotnie, na werandzie, zastanawiając się, jak doszło do tego, że wszystko się tak skomplikowało.

Odpowiedź była prosta. Emocje. I pożądanie. Rzucały cień na najbardziej niewinne czynności, kazały zastanawiać się nad każdym posunięciem, w którym uczestniczyłby Jeremy...

Zadzwonił telefon.

Weszła do salonu, czekając, aż odbierze sekretarka.

- Jesteś sama? - usłyszała ochryply szept. Potem głos umilkł.

- Owszem i ten stan mi odpowiada - odpowiedziała drwiąco nieznanemu żartownisiowi.

W tej samej chwili usłyszała warkot silnika. Z ulgą podbiegła do okna kuchennego. Ale to nie był Jeremy.

Zauważyła zwrócony tylnymi światłami samochód na zakręcie drogi dojazdowej. Na jej oczach zniknął w oddali, kierując się w stronę szosy.

Targnął nią lęk, potem wściekłość. Jeśli to on dzwonił, nie ujdzie mu to płazem.

Przeleciała błyskawica, piorun strzelił tuż nad domem. Podskoczyła przerażona.

Oto, jaka jestem odważna, pomyślała z ironią, rozglądając się za jakąś bronią. Uznała, że solidne bierwiono sprzed kominka powinno wystarczyć.

Idąc do łóżka, nie zdjęła dresu. Komórkę położyła na stoliku nocnym. Przy łóżku czekały tenisówki bez sznurowadeł. Przez krzesło przewiesiła sztormiak.

Upewniła się, że drzwi do sypialni są zamknięte, podobnie jak okno z pokoju na werandę.

Zapadła w niespokojny sen.

Obudził ją dzwonek telefonu. Z salonu dobiegł ją głos Jeremy' ego.

- Halo? - Cisza. - Halo? - Znowu cisza. - Kto tam, u diabła?

Usłyszała, jak z trzaskiem odkłada słuchawkę. Z uśmiechem przymknęła oczy, zwinęła się w kłębek i w tej pozycji spała spokojnie, dopóki radio nie zbudziło jej poranną prognozą pogody.

- Obfite deszcze przez cały dzień - zapowiedział spiker.

Zia niechętnie wygrzebała się z ciepłego łóżka. Był piątek. Jutro będzie spać tak długo, jak jej się spodoba, przyrzekła sobie.

Jeremy z niechęcią patrzył przez szybę terenówki na szosę tonącą w strugach deszczu.

- Nie uda nam się ściągnąć tutaj sprzętu przez jakieś cztery dni - zauważył Gordan.

- Mówisz, jakbym sam tego nie wiedział.

Uśmiechem starał się załagodzić szorstkość swoich słów. Jego irytacja nie była skierowana przeciwko kierownikowi budowy, lecz przeciwko górskiej burzy, która przerwała roboty.

Niższe zbocza podwójnej serpentyny, te, które zamierzał umacniać w tym tygodniu, spłynęły w ciągu nocy, mimo siatki nałożonej nad górnymi partiami drogi.

Władze domagały się ekspresowej naprawy ze względu na zwiększone wydobycie gazu ziemnego w kotlinie Uinta. Miejsca pracy i napływ gotówki miały znacząco wzmocnić gospodarkę stanu i hrabstwa.

- Może lepiej byłoby zbudować nową drogę - powiedział Gordan, równie zniechęcony.

- Nie ma na to pieniędzy - Jeremy wycofywał się łukiem. - Uciekajmy stąd, zanim całe zbocze się osunie.

Kiedy zjeżdżał w dół krętą, żwirówką, samochód kołysał się w podmuchach wiatru. Deszcz lał jak z cebra. Mimo napędu na cztery koła, jazda była powolna i zdradliwa.

Podróż zajęła dwie godziny. Na skrzyżowaniu postawili pachołki ostrzegawcze i znaki informujące, że droga jest zamknięta. -

- Idziemy jutro z Marti Pod Bobra na obiad. Chcemy wypróbować nową orkiestrę - odezwał się Gordan, kiedy znaleźli się na twardej nawierzchni. - Marti pyta, czy dołączycie do nas z Zią.

Jeremy potrząsnął głową.

- Będę pisał raporty i przerabiał harmonogram, póki nie skończę.

- Może przyjdziecie później, będziemy czekać na was.

- Może - zgodził się Jeremy. - Jeżeli się wyrobię z robotą.

Ostatnią rzeczą, która mu była potrzebna na koniec kwaśnego tygodnia, była gromada facetów wylażających ze skóry, żeby zatańczyć z Zią. Nie był w nastroju na katusze zazdrości i pilnowanie jej przed zapędami napalonych wielbicieli. Mówiła, że potrafi zadbać o siebie, ale on nie ufał obcym, którzy pętali się po okolicy w poszukiwaniu przygód.

Po powrocie do miasta Jeremy wrócił do biura, a Gordan przesiadł się w swoją półciężarówkę i ruszył na budowę w kanionie Desolation. Na

szczęście burza nie dotarła tak daleko na południe, więc prace na moście przebiegały zgodnie z planem. Oczywiście, zmienionym planem.

Siedząc przy biurku i odsłuchując sekretarkę, Jeremy zastanawiał się, kiedy przeleciał ten tydzień. Był piątek, a on wciąż nie czuł, że cokolwiek zrobił w tym tygodniu.

Z wyjątkiem myślenia o Zii od rana do wieczora.

Zaproszenie Pod Bobra przypomniało mu o koralowym kolczyku, który nosiła w pępku tamtego wieczoru, gdy byli po raz pierwszy w zatłoczonym pubie. To z kolei przypomniało mu o nocy, którą spędziła w jego łóżku.

Kiedy leżała obok niego, czuł się tak, jakby świat wreszcie był jak należy. Jej skóra była jedwabista, ciało spragnione jego ciała; ich okrzyki rozkoszy rozbrzmiewały równocześnie. Dziesiątki wspomnień osaczyły go ze wszystkich stron. Zia wracająca z joggingu górskim szlakiem. Zia w kuchni przygotowująca im posiłek.

Kto by pomyślał, że lubi gotować?

W gruncie rzeczy nic prawie o niej nie wiedział, dopóki nie sprowadziła się do Vernal. Raczej nie zachęcała do poufałości. Nic dziwnego, faceci w rodzaju Smitty'ego nie potrafili powstrzymać się od zalecania do kobiety o wyglądzie bogini.

Sam zresztą nie był lepszy.

- Świntuch - mruknął, gdy jego ciało zareagowało natychmiast na wspomnienie Zii.

Nie sposób było pozostać obojętnym wobec jej anielskiej twarzy i seksownych, wysmukłych kształtów.

Sapnął zde gustowany sobą i zabrał się do roboty papierkowej, która zdawała się nigdy nie mieć końca. Informacje o swoim najświeższym

odkryciu rozesłał mailem około dziesiątej. Akurat nadciągnął kolejny front burzowy. Piorun huknął i w starym budynku zabręczały szyby.

Wyłączył komputer i zamknął, biuro. Zanim doszedł do drzwi frontowych, wysiadł prąd. W holu zapadły egipskie ciemności. Jeremy zaklął dosadnie.

Kolejny optymistyczny akcent na koniec tygodnia, pomyślał, szukając po omacku drzwi na ścianie. Latarnie również pogasły. Wyszedłszy na zewnątrz, zamknął drzwi w świetle błyskawicy i ruszył biegiem w stronę samochodu przy akompaniamencie grzmotów nad głową.

Zaczął sumować wszystkie czekające go naprawy na górskich drogach. Na pewno więcej zbczy się obsunie. Chociaż w przypadku klęsk żywiołowych powinien dostać pieniądze z innego rozdzielnika, tak że fundusze nie powinny być wielkim problemem. Jednak harmonogram robót diabli wezmą. Znowu.

Jadąc do domu, dwukrotnie przejechał strumienie płynące w poprzek szosy. Koło północy przejazd przez nisko położone miejsca będzie niebezpieczny. Zadzwoił z komórki do Gordana i poprosił, by wysłał kogoś do ustawienia świetlnych sygnałów ostrzegawczych.

- Robi się - zapewnił go Gordan, przekrzykując odgłosy dobrej zabawy.

- Wygląda na to, że wszyscy tam jesteście.

- Tak. Szkoda, że cię nie ma. Zespół jest naprawdę bardzo dobry.

- Kiedyś to sobie powetuję. - Poprosił Gordana, żeby uważał w drodze powrotnej i rozłączył się, bo wiatr szalał i musiał się skupić na drodze.

Królik przeciął jezdnię tuż pod kołami. Wcisnął hamulec; samochód wpadł w poślizg. Obrócił pojazd zgodnie z kierunkiem tylnych kół i po

chwili wyszedł z poślizgu. To była niebezpieczna noc, zarówno dla ludzi jak i dla zwierząt.

Wyjeżdżając z ostatniego zakrętu żwirowej drogi, zobaczył palące się w kuchni światło. Zrobiło mu się ciepło na sercu.

Światło zgasło.

Zamrugął gwałtownie. Tutaj widocznie też wysiadł prąd. Zygzak błyskawicy rozdarł niebo, oślepiając go na moment. Zwolnił, żeby w coś nie wjechać.

Pioruny grzmiały ogłuszająco. Zaparkował pod daszkiem obok samochodu Zii. Zdusił przekleństwo. Krople ze stukotem uderzały w tył samochodu. Grad.

Kolejna błyskawica rozdarła niebo. Musiał przyzwycząić wzrok do ciemności, zanim zaczął gramolić się z samochodu. Wyjął latarkę ze schowka i ruszył w stronę domu.

Zaskoczyło go, że drzwi są zamknięte na zasuwę. Kiedy go nie było, Zia zwykle zamykała drzwi, tylko przekręcając gałkę. Po omacku wyszukał klucz do zamka.

Kiedy otwierał drzwi, wiatr zawył, jakby chciał wepchnąć go do wnętrza. Za plecami usłyszał trzaśnięcie drzwi zamkniętych przez przeciąg.

Kolejny raz zaklął.

Zamknął drzwi za sobą. Cisza w kuchni miała w sobie coś upiornego. Włosy zjeżyły mu się na karku, kiedy znowu usłyszał trzaśnięcie drzwi w głębi domu.

Ruszył pospiesznie w stronę werandy. Światło latarki z trudem wykrawało jaśniejszy krąg w egipskich ciemnościach. Drzwi Zii były, jak zawsze, zamknięte. Nastawił ucha, ale z jej pokoju nie dobiegały żadne dźwięki. Drzwi werandy skrzypnęły, kiedy wiatr przybrał znów na sile.

Wszedł na werandę. W świetle błyskawicy zobaczył przez moment otwarte okno i wnętrze sypialni Zii. Zwrócił latarkę w tamtą stronę. W środku nie było nikogo. Włos znowu zjeżył mu się na głowie, kiedy zobaczył jej łóżko. Kołdra leżała odrzucona na bok, jakby w pośpiechu.

Ogarnęła go panika. Co się z nią mogło stać, do diabła?

Zia zdecydowała się nie czekać, aż przybysz wtargnie głębiej do domu. Przebudzona warkotem silnika słuchała uważnie, przypuszczając, że to Jeremy.

Jednak otwieranie kuchennych drzwi trwało zbyt długo. Musiał sforsować zamek, chociaż sprawdziła, czy dokładnie zamknęła rygiel. Kiedy drzwi trzasnęły, wyskoczyła z łóżka, wsunęła stopy w tenisówki i cicho wyskoczyła przez werandę. - Wiatr wyrwał jej drzwi z rąk i zatrasnął. Zaklęła cicho, wbijając się w sztormiak. Dopinała suwak, biegnąc przez otwartą przestrzeń za domem.

Po drugim tajemniczym telefonie tego wieczora postanowiła, że w razie włamania do domu wymknie się tylnym wyjściem, pobiegnie w górę zbocza i schroni w chacie zimowej. Drzwi chaty były grube, dobrze zabezpieczone przed zakusami niedźwiedzi.

Jeremy, który zawsze troszczył się o innych, na pewno zawołałby ją po imieniu, kiedy trzasnęły drzwi.

Wsunęła komórkę pod kaptur i próbowała wybrać 911, ale odpowiedziało jej milczenie. Burza uniemożliwiła połączenie.

- Zia! - usłyszała za sobą nawoływanie.

Właśnie dobiegła do linii drzew. Skryta za pnem, zerknęła w stronę domu. Latarka omiatała polanę. Przeleciała błyskawica wydobywając z ciemności drzewa, dom i wysoką postać stojącą na chodniku przed werandą.

- Zia, wszystko jest w porządku - wołał Jeremy. - Wracaj do domu.

Promień latarki skierował się w jej stronę. Wyszła zza sosny i ostrożnie zrobiła parę kroków.

- Zgaś światło. Oślepiasz mnie.

Skierował snop światła na trawę przed nią.

- Jeremy? - upewniła się, zatrzymując parę metrów przed nim. Miała zadyszkę po szaleńczym biegu. Deszcz przemoczył nogawki jej spodni.

Oświetlił swoją twarz.

- Tak, to ja. Nie chciałem cię przestraszyć.

- To nie twoja wina. Myślałam, że ktoś włamał się do domu.

Dostawałam telefony...

- Jakie telefony? - spytał, pospiesznie wprowadzając ją na werandę.

- Ktoś dzwonił i pytał, czy jestem sama. - Zatrzymała się na progu. -

Buty mam przemoczone.

- Ja też. Zostaw je tutaj.

Zostawili buty i ociekające wodą kurtki na werandzie i weszli do domu. Jeremy zlustrował ją wzrokiem.

- Trzęsiesz się.

Skrzyżowała ręce na piersi i siłą woli powstrzymała dygot. Było jej głupio.

- Prąd wysiadł - zaczęła, próbując wyjaśniać sobie i jemu, dlaczego wpadła w taką panikę. - Mój budzik uruchamia się od tego. Zbudziłam się. Usłyszałam, że ktoś podjeżdża pod dom. Tak długo zajęło ci otwieranie zamka, że pomyślałam...

- Myślałaś, że ktoś się włamuje?

-Tak.

- Miałaś zamiar ukrywać się w lesie, dopóki sytuacja się nie wyjaśni? - dopytywał się.

- Wyżej w lesie jest chata zimowa. Chciałam się w niej zabarykadować i poczekać na pomoc. O ile udałoby mi się dodzwonić.

Jej dowcip wypadł blado. Zmełł w ustach przekleństwo.

- Powinienem zadzwonić do ciebie i dać ci znać, że jestem w drodze do domu...

W tym momencie jednocześnie zapaliło się światło i zadzwonił telefon. Stanęli jak wryci.

- Jesteś sama? - spytał ochryply głos.

Szczękniecie słuchawki świadczyło o tym, że rozmowa jest już skończona.

Jeremy wbiegł do salonu, porwał słuchawkę i wystukał kod.

- Ma zastrzeżony numer - powiedział ponuro. - Ile miałaś takich telefonów?

- Kilka.

- Dostatecznie dużo, żeby cię przerazić. Założymy blokadę na linii. Ten numer nie będzie się mógł połączyć z moim. Poproszę też Smitty'ego, żeby sprawdził, do kogo należy.

- Smitty'ego?

- Tak, jest detektywem okręgowym.

- A ja myślałam, że te telefony mogą być od niego.

Jęknął, potem podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach.

- Trochę szarżował tamtego wieczoru, ale nie przyszło mi do głowy, że cię przestraszył. - Uniósł jej twarz tak, żeby móc spojrzeć jej w oczy. - Na Boga, Zia, tak mi przykro. Smitty nie zdaje sobie sprawy, że samym swoim rozmiarem mógłby przerazić goryla. W rzeczywistości nie skrzywdziłby nawet muchy.

Kiwnęła głową. Trudno jej było zachować spokój pod jego dotykiem. Ciepło jego dłoni promieniowało i rozgrzewało ją, chociaż stopy miała nadal zimne jak lód.

- Zamoczymy podłogę - powiedziała, patrząc pod nogi. Skarpetki obydwójga przemakały od wody spływającej z nogawek.

- Nie szkodzi - powiedział.

Spojrzała w jego oczy i odwróciła wzrok. Jego obecność wystarczała za wszystko. Tworzył wokół niej parasol ochronny. Wszystkie jej lęki wydały jej się teraz dziecinne.

- Przepraszam, że zachowałam się jak... tchórz.

- Nie jesteś tchórzem. - Ujął jej twarz w dłonie. Zdumiała się, jak bardzo była spragniona jego dotyku. - Uważam, że jesteś dzielna, odważniejsza, niż przypuszczałem.

Pokręciła głową.

- Tak - szepnął i zbliżył twarz do jej twarzy.

Oblizwała wargi, czując, co się szykuje... i wiedząc, że nie potrafi już dłużej się opierać. Czekala, nie odrywając oczu od jego spojrzenia, aż z westchnieniem obejmie ją i już nie będzie świata poza nimi dwojgiem.

Ich wargi zetknęły się, odsunęły, znów zetknęły, wreszcie złączyły, gdy pragnienie wzięło górę nad ostrożnością.

- Brakowało mi ciebie - powiedział.

- Mnie ciebie też.

Zii cisnęły się na usta jeszcze inne słowa, ale nie zdecydowała się ich wypowiedzieć. Bała się, że da się ponieść chwili. Objęci, poruszali się jak jedno ciało.

Minęło parę minut, zanim znów wypłynęli na powierzchnię.

- Rozbierzmy się z tych mokrych ciuchów. - Wziął ją za rękę i poprowadził korytarzem do swojego pokoju.

Przystanęli przy wielkim, wygodnym łóżku, zrzucając koszule, mokre spodnie i nasiąknięte wodą skarpety.

- Mam lodowate stopy - poskarżyła się, zaraz jednak zaczęła się uśmiechać, bo jej serce zaczynało ogrzewać się radością, z jaką szykowałą się do wspólnej nocy z Jeremym.

- Wskakuj do łóżka. Ja ci je rozgrzeję.

Popchnął ją na poduszki i przykrył, potem usiadł przy niej i wsunął dłonie pod kołdrę. Masując pieśczożliwie, rozgrzał jej stopy.

- Coś jeszcze? - spytał, puszczając do niej oko. - Lubię cię masować.

- Może plecy?- zasugerowała.

Roześmiał się cicho. Odwrócił ją na bok i dużymi, łagodnymi dłońmi zaczął wędrować po jej plecach, biodrach, udach, brzuchu. Zamknął jej pierś w swojej dłoni i przytulił się do niej.

- Lepiej? - Odsunął jej włosy na bok i złożył serię pocałunków na jej szyi.

- O wiele. - Odwróciła się do niego, oplatając go nogami, tak naturalnie, jakby robili to od lat. - Teraz moja kolej.

Otwartymi dłońmi zaczęła gładzić jego pierś, rozkoszując się kontrastem gładkiej skóry i szorstkich włosów. Jej dłonie zsuwały się coraz niżej.

- Ostrożnie - mruknął ostrzegawczo.

Ale ona nie chciała ostrożnie, ani powoli. Pchnęła go na wznak i usiadła na nim.

- Teraz - oświadczyła z wymownym spojrzeniem.

- Kocham kobietę, która wie, czego chce.

Serce zabiło jej mocno, chociaż nie była to jeszcze deklaracja. Zresztą, słów wypowiedzianych w afekcie nie należy traktować zbyt poważnie.

Przez moment ją to zabolowało, jednak wmówiła sobie, że nie ma to znaczenia, nie pozwoli, żeby to miało znaczenie, w każdym razie nie teraz.

- Chcę, żeby było cudownie - szepnęła, obsypując pocałunkami jego twarz, szyję, pierś. - Jak wtedy. Chcę, żeby było mocne i... i nie wiem jakie.

- Właśnie takie będzie - przyrzekł. Wplótł palce w jej włosy i przysunął jej twarz do siebie. - Od początku do końca.

Dotrzymał obietnicy. Potężna fala namiętności, eksplozje spełnienia, upojne wyciszenie. To wszystko, co już poznali, i więcej.

Więcej, myślała, zapadając w sen, bo przecież miało być tego więcej...

Rozdział 12

- Śpisz?

Zia wysunęła się z objęć Jeremy'ego. Było wcześnie, nadal padał deszcz. Nie chciało jej się wychodzić z łóżka. Podsunęła poduszkę wyżej i posłała Jeremy'emu olśniewający uśmiech.

- Tak.

- Czy ja aby nie wykorzystałem wczoraj twojej słabości? - Palcami przeczesał jej włosy. - Najpierw ta burza, potem te telefony. Dlaczego mi o nich nie powiedziałaś?

- Nie było o czym mówić. - Pod jego baczny spojrzeniem udało jej się zachować obojętny wyraz twarzy. - I nic się takiego nie wydarzyło między nami, o czym nie marzyłam dniami i nocami.

Jęknął, potem się roześmiał.

- Zostań w łóżku. Zrobię nam kawy. - Pocałował ją w szyję. Po paru minutach wrócił, niosąc na tacy dwie filiżanki

pachnącej kawy, dwie podgrzane bułeczki z masłem orzechowym i dżemem i dwie szklanki soku pomarańczowego.

- Śniadanie podane - oznajmił tonem angielskiego lokaja.

Roześmiała się z zachwytem. Choć przyszłość była zagadką, teraźniejszość była bardzo przyjemna.

Po burzy ochłodziło się, więc śniadanie zjedli w łóżku. Jeremy uparł się, że będzie ją karmił, a potem scałował dżem z jej warg. Był to najbardziej romantyczny posiłek w jej życiu.

Kiedy dopijali kawę, poczuła, że oboje mają siły zająć się czymś konkretnym. Jeremy odrzucił kołdrę i okrył jej ciało setką pocałunków

kończących się na palcach u nóg, a temperatura w pokoju podskoczyła o kilka stopni i zrobiło się zupełnie przyjemnie.

- Kocham twój zapach - mruknął z twarzą wtuloną w brzuch Zii.

Kiedy jego pieszczoty stały się głębsze i bardziej intymne, zaczęła jęczeć z pożądania. Wczepiła palce w jego włosy. Była gotowa iść już na całość, stopić się z nim w pełnej słodczy ekstazie.

- Ciszej - błagał ją z uśmiechem, kiedy wiła się pod nim. - Twoje jęki i westchnienia za bardzo mnie podniecają.

- Co ty powiesz? - Ujęła jego twarz w dłonie i potarła nosem o jego nos. - A co się dzieje, kiedy ty jęczysz i krzyczysz?

Całowała go w usta, szyję, ramiona, piersi, wędrowała pocałunkami aż do podeszew jego stóp, potem zaczęła wracać do góry. Kiedy była w pół drogi, jęknął.

Już po chwili była w jego objęciach. Leżał teraz na niej, sięgając do szuflady przy łóżku.

Westchnęła, kiedy prezerwatywa znalazła się na miejscu

I mogli się połączyć w upojną całość.

- Czuję się przy tobie taka...

- Jaka? - spytał, wnikając w nią powoli, głęboko.

- Chciana, pożądana, piękna.

- Jesteś piękna - szepnął z powagą i ugryzł ją lekko w ucho.

- W środku. Przy tobie czuję się piękna w środku.

- Bo jesteś. - Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. - Piękniejsza, niż przypuszczasz.

W środę rano Zia stała przy oknie biurowego barakowozu, obserwując ruch na budowie. W sobotę deszcz wreszcie przestał padać. Ziemia wyschła

na tyle, że ciężki maszyny mogły wrócić od roboty. Ludzie, koparki, buldożery, wszyscy uwijali się jak mrówki przy nowym mrowisku.

Skończyła już swoją pracę i czekała na przyjazd rewidenta. W ostatnich tygodniach pojawiał się bez uprzedzenia; złożył już kilka porannych wizyt. Jeremy mówił, że przyjechał też raz po południu, ale szybko odjechał, kiedy zorientował się, że nie ma nikogo, kto by za niego wyszukiwał dokumenty i faktury.

Po jedenastej zajrzała do niej Marti, pytając, czy pójdzie na lunch.

- Chyba tak. Rewident się nie pojawił, więc już raczej dzisiaj go nie będzie.

Ruszyły do namiotu stołówki. Sadie pomachała im ręką, a kiedy odjechała ciężarówka załadowana wydobytą ziemią, dołączyła do nich.

- Przyjemnie pracować po deszczu. - Postawiła swoją tacę obok Zii. - Nie ma kurzu.

- Za trzy dni wszystko wróci do normy - uśmiechnęła się Marti. - Na jesieni będzie więcej padało, w dzień też będzie chłodniej. To jest zawsze ulga.

Sadie wyglądała na przygnębioną.

- Co się dzieje?- spytała Marti.

Na gładkich policzkach osiemnastolatki wykwitł szkarłatny rumieniec.

- Mam pytanie - powiedziała, zniżając głos do szeptu. Rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje. - Po czym można poznać, czy ktoś jest zakochany?

Wyglądała tak dziecinnie, niepewnie i uroczo, że Zii zrobiło się ciepło na sercu.

- Cóż - oznajmiła Marti rzeczowo - występują symptomy w rodzaju drżenia, utraty tchu i przyspieszonego tętna.

- To pożądanie. - Sadie lekceważąco zmarszczyła nos. Symptomy fizyczne wyraźnie uważała za nieistotne. - Po czym można poznać, czy to jest miłość, taka prawdziwa, z głębi serca?

Zia zwróciła się całym ciałem ku Marti, by lepiej słyszeć.

- Tylko twoje serce może to wiedzieć - odpowiedziała Marti z wielką powagą. - Sama ostatnio borykam się z tym pytaniem.

Na twarzy Zii i Sadie odmalowało się zdumienie. Marti roześmiała się łagodnie.

- A ty, co powiesz? - zawróciła się do Zii. Obie z Sadie patrzyły teraz na nią wyczekująco.

Zia potrząsnęła głową.

- Może... może kiedy potrzeba bycia z tą osobą przysłania wszystko. Wątpliwości, skrupuły...

- No - mruknęła Sadie, jakby dobrze wiedziała, o czym mówi Zia. Wzrokiem śledziła trzech wchodzących do namiotu mężczyzn. - A co się dzieje, kiedy ta druga osoba uważa, że jesteś za młoda, żeby wiedzieć, czym jest miłość?

Gordan, Jeremy i Steve, inżynier podlegający Jeremy'emu, na co dzień odpowiadający za kwestie techniczne na budowie, mogli być wzorem męskiego koleżeństwa. Przez moment Zia zastanawiała się, w kim może kochać się Sadie.

- Steve - domyśliła się Marti.

Sadie zarumieniła się jeszcze bardziej i wbiła wzrok w talerz.

- Będę tutaj tylko do końca miesiąca, potem wyjeżdżam na uniwersytet do Salt Lake.

Mówiła to tak, jakby ją zsyłano na Syberię. Zia czuła się podobnie, wyjeżdżając z Idaho do Oregonu studiować i pracować w firmie ojca.

- Ciężka sprawa - westchnęła Marti. - Steve jest bardzo inteligentny - podjęła po namyśle. - Na pewno chce mieć żonę mądrą i wykształconą. Czy nie mogłabyś go namówić, żeby pisał listy, nie, lepiej maile, to jest prostsze, do ciebie? Spójrz na to z innej perspektywy. Możesz go zaprosić na weekend w czasie sezonu piki nożnej, czy coś w tym rodzaju. Jeśli przyjedzie, może się okazać że łączy was dostatecznie wiele, by wasza znajomość przetrwała twoje studia. Czas pokaże.

To brzmiało sensownie.

- A co z tobą i z Gordanem? - spytała Sadie. Wyraźnie wstąpił w nią nowy duch.

- Dużo by mówić. Myślę, że w tej chwili oboje sprawdzamy temperaturę wody. Gordan jest rozwiedziony, więc do małżeństwa podchodzi bardzo ostrożnie. Ja muszę myśleć o dwojgu dzieciach, co dodatkowo komplikuje sprawę. W tej chwili pozwalam sobie rozglądać się powoli, bez żadnych napięć.

- Dobry pomysł - wtrąciła się Zia. - Ludzie zbyt pochopnie decydują się na związki. Miłość, podobnie jak wino, musi mieć czas, żeby dojrzeć.

Marti i Sadie przyglądały jej się z uwagą, jakby spodziewały się, że jeszcze coś powie. - Nie pytajcie mnie, bo ja się na tym nie znam - zakończyła wzruszając ramionami z uśmiechem.

Z ulgą przyjęła nadejście mężczyzn i zmianę tematu rozmowy. Budowa dróg była mniej skomplikowana niż budowanie związku, to pewne.

W czwartek Zia, jak zawsze, o ósmej weszła do biura. Tego ranka Jeremy miał akurat spotkania w mieście. Robotnicy na budowie pracowali od siódmej rano do zmroku. Na początku miesiąca okręgowy wydział komunikacji wyraził zgodę na nadgodziny.

Pomachała Marti, która siedziała za sterami dźwigu, naprowadzając ciężkie stalowe belki w miejsce, gdzie miał być wylewany beton, i do Sadie, która kierowała ruchem z pewnością siebie nabytą podczas trzech miesięcy praktyki.

Zia westchnęła głęboko i z zadowoleniem. Sprawy układały się dobrze na wszystkich frontach. A właściwie, wzięwszy pod uwagę ostatni weekend, układały się cudownie.

W sobotę, kiedy wreszcie wstali z łóżka, Jeremy napalił w kominku, bo po burzy zrobiło się chłodno. Przez cały weekend pławili się w ciepłe. Godziny upływały im na czytaniu książek, kochaniu się, oglądaniu telewizji, kochaniu się, gotowaniu, jedzeniu... kochaniu się...

Nigdy nie czuła się tak szczęśliwa, spokojna i zaspokojona.

To nie będzie trwało wiecznie, ostrzegał ją jakiś wewnętrzny głos.

Cóż, zdawała sobie z tego sprawę. Nic nie trwa wiecznie - ani dobre, ani złe rzeczy. Wiedziała, że nie należy oczekiwać zbyt wiele, mieć zbyt wielkich marzeń. Powoli i bez napięć, jak powiedziała Marti. To była również filozofia Zii.

Sprawy zawodowe też szły pomyślnie. Dyrektor wydziału oświaty poinformował ją, że stan przyznał obiecane fundusze, chociaż na pieniądze trzeba będzie poczekać do stycznia. Od nowego roku będzie zatrudniona na cały etat.

Tina wspomniała, że jej mama zajmie się dzieckiem i będzie mogła wrócić na pół etatu na budowę. Wszystko więc układało się dobrze. Uśmiechnięta weszła do barakowozu. Zadzwoił telefon. Szybko podeszła do biurka.

- Cześć - odezwał się niski, ochryply głos.

Czuła, że nerwy napinają się jej jak struny. Denerwujące telefony ustały, od kiedy Jeremy założył blokadę na wszystkie połączenia o niezidentyfikowanych numerach. Czyżby jej prześladowca dowiedział się, gdzie pracuje?

Już chciała odłożyć bez słowa słuchawkę, ale się zmytowała. To było biuro, telefon był najprawdopodobniej służbowy.

- Kto mówi? - spytała chłodno.

- Smitty. Jak się mamy?

- Dobrze - odburknęła niezbyt przyjaźnie.

- Jeremy prosił mnie, żebym powęszył wokół tych telefonów do ciebie.

Chciałem ci donieść, że dorwaliśmy gościa. Szeryf już wysłał ludzi, którzy właśnie w tej chwili go aresztują.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona.

- Kiedy podniosłem raban, okazało się, że prześladowuje więcej kobiet w tej okolicy. Założyliśmy wykrywacze na dwa telefony i namierzyliśmy go.

- Świetnie - powiedziała już z większym entuzjazmem.

- Przykro mi, że tamtej nocy u Jeremy'ego to tak głupio wypadło.

Trochę mnie, tego, walnęło, kiedy spotkałem w kuchni u kumpla gwiazdę filmową, no i poszedłem na całość, jak idiota.

- Gwiazdę filmową? - Roześmiała się. - Gruba przesada.

- Tak naprawdę to myślałem, że spotkałem anioła. Chciałem cię dorwać, zanim cię wypatrzy któryś z moich kolegów i zabrać do siebie.

Niezbyt dobry pomysł, co?

- Zazwyczaj nie jeżdżę do domów nowo poznanych mężczyzn - parsknęła.

- Jestem zdumiony, że stary kumpel nie dał mi w szczękę.

- Jeremy zapewnił mnie, że jesteś nieszkodliwy. - Urwała. - Właściwie teraz, odbierając, myślałam, że to jeden z tych anonimowych telefonów. Obaj macie niskie głosy.

- Do diabła, Zia, tak mi głupio.

W jego głosie brzmiała tak szczerza skrucha, że natychmiast odpuściła mu incydent kuchenny.

- Dobrze, że przyłapałeś tamtego faceta. Pytał, czy jestem sama, jakby zamierzał przyjść, jeśli powiem, że tak. Było w tym coś groźnego. Zawsze odkładałam słuchawkę bez słowa.

- Dobrze robiłaś, że się nie odzywałaś. Pertraktacje z tego rodzaju bydlakami rzadko odnoszą skutek. Kręci ich to, że ludzie się ich boją.

Skończywszy rozmowę, siadła przy biurku i zaczęła sortowanie sprawozdań, które Jeremy jej przekazał. Zorientowała się, że roboty przy serpentynach potrwać miesiąc. Znaczyło to, że na ten czas będzie musiał tam oddelegować sprzęt.

Jak się to odbije na harmonogramie budowy mostu? Ona przynajmniej w swojej pracy nie musiała liczyć się z pogodą i gimnastykować z kaprysami wydziału oświaty i władz stanowych.

- Idziesz na lunch? - spytała po godzinie Marti, zaglądając do barakowozu.

- Idę. - Wstała i przeciągnęła się.

W namiocie usiadły razem z Sadie. Dosiadł się Gordan. Po dziesięciu minutach dołączył do nich Jeremy. Kiedy zbliżał się z tacą do nich, Zia poczuła, że nie panuje nad biciem serca.

Przypomniała sobie jednak, że Sadie uznała to za czysto fizyczną reakcję. Z trudem się opanowała.

Zia siedziała po jednej stronie stołu z Marti, więc Jeremy usiadł po przeciwnej. Trącił ją lekko nogą pod stołem w ramach ich prywatnego systemu poufnych gestów. Gordan puścił oko do Marti.

- Postanowiliśmy się splukać z Jeremym i zabrać was, dziewczęta, jutro wieczór na obiad i tańce. Sadie, masz chłopaka?

- Załatwię sobie jakiegoś, skoro Jeremy jest zajęty - odparowała i z szelmowskim uśmiechem przeniosła wzrok z Jeremy'ego na Zię.

Zia oblała się rumieńcem. Miała nadzieję, że nie jest czerwona jak burak. Uśmiechnęła się nonszalancko. Jeremy pociągnął Sadie za kucyk.

- Po prostu się was boję, *femmes fatales*.

Zia wybuchnęła śmiechem wraz z innymi, jednak śmiech nie odbijał się echem w jej sercu. Tam znów powróciła tęsknota, pragnienie, którego nie odczuwała przez cały tydzień. Jej serce biło mocno, jakby chciało jej wreszcie coś powiedzieć.

- To by było na tyle - powiedział pan Ling, dyplomowany rezydent w piątek.

Dochodziło południe.

W tym tygodniu przyjechał dwa razy, zawsze bez uprzedzenia. Zia wydobywała dla niego odpowiednie kwity i sprawozdania, a on porównywał je z informacjami na swoim laptopie.

- Skończyliśmy? - spytała.

- Skończyliśmy.

Jego nagły uśmiech, pierwszy, jakim ją zaszczycił, wprowadził ją w osłupienie. Odpowiedziała uśmiechem; miała ochotę spytać o wyniki kontroli, jednak powściągnęła swoją ciekawość. Prędzej czy później, napłynie długi raport, a Jeremy dowie się, czy jego księgowo wywiązują się z obowiązków. Na jej oko księgi były prowadzone bez błędów.

- Dziękuję pani za pomoc - powiedział pan Ling sztywno, po swojemu.

- Drobiazg - pospieszyła z zapewnieniem. - W naszych programach edukacyjnych musimy rozliczać się z każdego grosza. Co zresztą wychodzi nam na dobre - dorzuciła, żeby nie myślał, że narzeka.

Kiedy pakował laptop i sprawdzał, czy ma wszystko z sobą, zaczęli rozmawiać o reformie systemu nauczania - jak się okazało, miał dwójkę dzieci w gimnazjum.

Po odjeździe rewidenta Zia powkładała z powrotem do segregatorów rachunki i sprawozdania. Nawet gdyby zrezygnowała z lunchu, spóźni się do popołudniowej pracy, więc zostanie dłużej, żeby nadrobić ten czas. Nie zamierzała zostawiać niczego na weekend. Kiedy uporała się z pracą, była prawie pierwsza. Porwała torebkę i ruszyła w stronę drzwi.

Wyszła na schodki. W jej uszy wdarł się drażniący odgłos cofającej się ciężarówki. To Sadie naprowadzała wywrotkę na stertę gruzu.

Dokładnie nad wywrotką sunęło ramię dźwigu przenosząc stalową belkę. Zia miała wrażenie, że ciężarówka cofa się w stronę dźwigu, i że są niebezpiecznie blisko siebie.

Nagle oddech uwiązał jej w gardle. Zorientowała się, że Sadie nie widzi dźwigu po drugiej stronie wywrotki, a Marti, skupiona na opuszczeniu belki, nie widzi zbliżającej się wywrotki.

- Stop! - krzyknęła Zia. - Sadie, stop!

Uświadomiła sobie, że jej głos niknie w ogólnym hałasie budowy. Zeskoczyła z najwyższego schodka i rzuciła się w stronę Sadie, wymachując rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Jednak nawet sprinterka nie zdążyłaby dotrzeć na czas. Kierowca wywrotki, cofając się, patrzył na Sadie, a Sadie obserwowała zmniejszającą

się odległość między wywrotką a buldożerem. Dźwig znajdował się poza zasięgiem ich wzroku.

Kątem oka zauważyła nadjeżdżający samochód. Jeremy zahamował tuż przed nią, wzniesając tuman kurzu.

- Co się dzieje?- spytał.

- Wywrotka. Zatrzymaj ją. Dźwig... Ruszył z miejsca, trąbiąc jak szalony. Za późno!

Zobaczyła, jak wysięgnik dźwigu robi zamach, wchodzi w szeroki łuk i znika. Sadie rzuciła chorągiewki i uciekła. Kierowca wyłączył silnik i wyskoczył z ciężarówki dokładnie w chwili, gdy mijala go Zia. Oboje dołączyli do załogi biegnącej na miejsce wypadku. Silniki pogasły i tylko warkot silnika dźwigu zakłócał nagłą ciszę.

- Marti - krzyczała Sadie. - Na pomoc! Ktoś musi pomóc Marti.

- Cicho! - ryknął ochryple Gordan, wyprzedzając je. Dogonił Jeremy'ego na krawędzi wąwozu, na której zastygł niepewnie dźwig wplątany ramieniem w liny mostu dla pieszych. Stalowa belka zawisała nad spienionym nurtem rzeki.

Dwie sześciuosobowe tratwy przybiły do brzegu trochę poniżej budowy zobaczyć, co się dzieje.

Zia stanęła obok Sadie, obejmując ją ramieniem. Wstrzymały oddech, kiedy ziemia zaczęła się osuwać i dźwig jeszcze bardziej wychylił się poza krawędź. Spod jego kół wysunęła się spora partia ziemi.

Gordan zawołał Marti, ale nie było odpowiedzi.

- Musiała uderzyć się w głowę - powiedział. - Nie rusza się.

- Potrzebujemy kilka łańcuchów z hakami – zaordynował Jeremy. - Sadie, pomóż wywrotce się odwrócić. Przyczepimy dźwig do niej i

wyciągniemy na bezpieczny grunt. Cam, podprowadź tutaj D-II. Będziemy go też potrzebować.

Zia wiedziała ze sprawozdań, że D-II jest największym buldożerem na budowie, monstrualną maszyną na gąsienicach pokonująca nierówności terenu.

- Leć - szepnęła do Sadie. - Marti cię potrzebuje. Leć. Kierowca wywrotki i zapłakana Sadie wzięli się do roboty.

Kiedy wywrotka i buldożer zajęły wyznaczone pozycje, Cam z Gordanem zaczęli zakładać łańcuchy.

- Ostrożnie - zawołał Jeremy do kierowców, kiedy dali znać, że są gotowi. - Sadie, kieruj nimi.

Machając jedną chorągiewką w stronę każdego z kierowców, Sadie zaczęła prowadzić ich powoli, w równym tempie, posłuszna wskazówkom wykrzykiwanym przez Jeremy'ego. Zia była dumna z jej opanowania.

Dźwig ruszył, po chwili jednak zatrzymał się. Ramię szarpnęło i zaczęło niebezpiecznie kołysać się w górę i w dół.

- Zahacza o liny mostku - wyjaśnił Jerem'emu Cam. - Musimy stopniowo popuszczać linę z belką, w miarę jak dźwig się będzie cofał, albo użyć siły i zerwać resztę lin.

Zia usłyszała, jak Jeremy klnie pod nosem. Wraz z Camem i Gordanem podeszli do mostka dla pieszych, żeby zbadać sytuację.

- Myślę, że masz rację - stwierdził Jeremy po krótkiej naradzie. Kazał Camowi wracać do buldożera, a sam ruszył do przechylonego przez krawędź dźwigu.

Kiedy Zia zorientowała się, że co zamierza, serce skoczyło jej do gardła. Zdławiła krzyk protestu, gdy podciągnął się, wskoczył na maszynę i otworzył drzwi szoferki. Marti wypadła bezwładnie w jego objęcia.

Zia zobaczyła, że Gordan, rzuciwszy wzrokiem w stronę Jeremy'ego i Marti, sprawdza łańcuchy utrzymujące dźwig w miejscu i kiwa głową w stronę Cama. Jeremy sięgnął ponad Marti i podniósł dźwignię, poluzowując linę, na której wisiała stalowa belka.

Na rozkaz Cama Sadie, posługując się chorągiewkami sygnalizacyjnymi, zaczęła kierować pojazdami oddalającymi się od krawędzi wąwozu. Kierowca buldożera miał za zadanie utrzymywać równe napięcie łańcucha, podczas gdy wywrotka odciągała dźwig od skraju przepaści. Kiedy dźwig ruszył, Jeremy zaczął równomiernie popuszczać liny, żeby nie ciągnąć za sobą mostka dla pieszych.

Cała operacja trwała pięć minut, które jednak zdawały się całą wiecznością.

W końcu było po wszystkim.

Podniosła się wrzawa, kiedy kilku mężczyzn rzuciło się w stronę dźwigu, jednak Gordan pierwszy porwał Marti w objęcia. Krew spływała po jej twarzy, od strony, po której uderzyła głową.

- Nic mi nie jest - powiedziała. Chwiała się, ale stała na własnych nogach.

- O tym zadecyduje lekarz - oświadczył Gordan, prowadząc ją do swojego samochodu.

Kiedy Jeremy zeskoczył na ziemię, jego oczy spotkały się z oczyma Zii. Posłała mu wściekłe spojrzenie i odwróciła się plecami. Idąc do samochodu, zauważyła Sadie szlochającą w objęciach Cama. Musiała rozładować napięcie. Zia wiedziała, co ona czuje.

Jeremy nie wysłał żadnego z kierowców ciężkich maszyn do dźwigu wiszącego nadal na krawędzi wąwozu. Chociaż dzięki wywrotce i buldożerowi niebezpieczeństwo zostało zredukowane do minimum, sytuacja

nadal była niejasna. Jeremy nigdy nie żądał od nikogo czegoś, na co nie potrafiłby się sam zdobyć.

Kiedy wydawał polecenia załodze wracającej do przerwanych robót, Zia pospiesznie ruszyła od swojego samochodu. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że z trudem udało jej się włożyć kluczyk do stacyjki i prowadzić po krętej drodze do miasta. Wciąż powracały do niej dramatyczne chwile.

Groźny wypadek miał bezpieczne zakończenie dla wszystkich oprócz niej.

Widok Jeremy'ego w niebezpieczeństwie unaoczniał jej prawdę, którą jej serce znało od dawna - dopuściła do tego, że stała się od niego zależna... W jego rękach było jej szczęście, radość wspólnego życia, zaspokojenie wszystkich tęsknot jej duszy.

Rozdział 13

Jeremy telefonicznie zawiadomił swojego szefa z okręgowego wydziału transportu o wypadku. Ponieważ nikomu nic się nie stało i nie trzeba było naprawiać sprzętu, obyło się bez pisania raportu.

Uśmiechnął się ponuro. Szef nieźle ich obsobaczył.

Rany, gdyby Marti stało się coś poważnego, nie wygrzebałby się chyba spod papierków. Wielki dźwig miał silnik świeżo po remoncie generalnym i był wart ponad pół miliona dolarów. Gdyby wpadł do wąwozu, do końca życia kopałby rowy na dnie Wielkiego Kanionu.

Jeremy uśmiechał się, bo wypadek na budowie nieoczekiwanie przysłużył się załodze - do kacyków z zarządu dotarło wreszcie, że niestabilność gruntu na budowie mostu to nie jego wymysł. Będą musieli dodatkowo wzmocnić filar zbrojonym betonem. Wszedł z biura i pojechał do domu w rozsądnym tempie, rozsądnym, ponieważ miał ochotę dodać gazu i popędzić za Zią najszybciej, jak się da. Ledwie udało mu się trzymać dozwolonej szybkości.

W oczach miał nadal jej szarą twarz i podkrążone oczy, a przede wszystkim minę, z jaką odjeżdżała z budowy mostu.

To oczywiste, że bała się o Marti, a może troszkę też o niego, chociaż nie było niebezpieczeństwa, że dźwig osunie się z krawędzi. Tak czy owak, chciał ją upewnić, że wszystko jest w porządku.

Na widok domu podskoczył na siedzeniu, jakby najechał na „śpiącego policjanta”. To mieszkanka jego domu tak wytrącała go z równowagi. Uśmiechnął się. Tak, Zia robiła z nim różne dziwne rzeczy. Podobnie jak z innymi mężczyznami, choćby ze Smittym, którego powaliła urodą od

pierwszego wejrzenia, a potem oczarowała wdzięcznością, gdy wykrył telefonicznego prześladowcę.

Zastał ją siedzącą na werandzie. Na stoliku miała kanapkę i szklanę herbaty.

- Ej, przecież idziemy dzisiaj na obiad - przypomniał, nachylając się w oczekiwaniu całusa.

Odwróciła lekko głowę i jego pocałunek wylądował w kąciku jej warg.

- Dzwoniła Marti. Doznała lekkiego wstrząsu mózgu, więc nie będą dzisiaj wychodzić z Gordanem.

- Tak czy owak możemy pójść. Będzie tam sporo naszych ludzi.

- Nie mam ochoty. Głowa mnie boli.

- Ciągle się martwisz wypadkiem? - Kucnął, kładąc łokieć na oparciu jej fotela. - Wszystko jest w porządku, nikt nie został ranny, nie straciliśmy żadnej z maszyn.

- Wiem. Wszyscy trzej z Gordanem i z Camem opanowaliście sytuację na medal. Czy Sadie poniesie jakieś konsekwencje?

- To nie była jej wina. - Spojrzał na nią zaskoczony.

- To nie przez nią ciężarówka wjechała na dźwig? - Teraz Zia wydawała się zaskoczona. - Widziałam, że ramię dźwigu przechyliła się nad wawóz i pomyślałam...

- Nie, nie - przerwał. - Niespodziewanie obsunęła się ziemia.

Pamiętasz, że mieliśmy problemy z miękkimi uskokami? - Pokiwała głową, więc ciągnął dalej: - Marti uderzyła głową w dźwignię, wskutek czego belka rozhuściła się i walnęła w kładkę, zaplątała się w liny i zerwała jedną z nich. To była jedna z tych sytuacji, których nie sposób przewidzieć.

- Tak się martwiłam o Sadie. - Uśmiech ulgi rozjaśnił jej piękną twarz.

- Myślałaś, że wrzucimy ją do beczki z rozgrzanym olejem, czy coś w tym rodzaju? - Ogarnęła go tkliwość.

- Raczej do lochów na sto lat. Roześmiali się równocześnie.

- Nadal byłbym za obiadem i tańcami. Mam ochotę trzymać piękną kobietę w objęciach, a reszcie chłopaków niech ślina kapie do piwa.

Zawahała się, potem skinęła głową.

- Szykujmy się więc. Jestem głodny jak wilk. Muszę tylko wskoczyć pod szybki prysznic.

Parę minut później, stojąc w strumieniach ciepłej wody, zastanawiał się nad dziwnym napięciem, jakie wyczuł w Zii. Może to z powodu tamtego durnia, który nękał ją telefonami, a potem jeszcze rewidenta, który wyrastał jak spod ziemi przez cały tydzień. Do tego wypadek Marti, z którą się bardzo zaprzyjaźniła. Jo mogła być kropla, która przepełniła czarę. Wieczór w pubie dobrze jej zrobi...

W tym momencie odsunęły się drzwi kabiny prysznicowej.

- Czy mogę? - spytała Zia uprzejmie.

- W kącikach jej ust igrał uśmiezek. Była całkowicie, cudownie goła. W ustach mu zaschło, mózg wyparował, a cała krew spłynęła w jedno miejsce.

- Możesz - wymruczał, biorąc ją w objęcia. Gdy dotarli do pubu, właśnie zaczynały się tańce.

W niedzielę zaraz po śniadaniu Zia wyjęła z gazety dodatek z ogłoszeniami i poszła na werandę, zabierając komórkę i filiżankę kawy. To był jej coniedzielny rytuał.

Z westchnieniem wertowała kolejne strony. Niewiele było nowych ogłoszeń i w kwadrans przejrzała wszystkie propozycje kupna i wynajmu domów i mieszkań.

Mieszkanie w domu wdowy, które spodobało jej się w zeszłym miesiącu, nadal było do wzięcia. Dalej jednak pozostawał problem mebli, które musiałaby zostawić u Jeremy'ego lub w przechowalni.

W czym więc tkwił problem?

Przecież miała pracę i stać ją było na opłatę za przechowanie przez okres, kiedy będzie szukać czegoś lepszego.

Czuła tak silny ucisk w piersi, że zaczęła zastanawiać się, czy to nie atak serca...

W pewnym sensie tak.

Podniosła wzrok znad gazety. Jeremy nadal wycinał chaszczę wzdłuż Unii lasu.

Musiała zostawić ten śliczny dom, spokojną przystań, w której było jej tak dobrze, jak nigdzie dotąd. Uświadomiła to sobie w piątek, kiedy wydawało jej się, że Jeremy jest w niebezpieczeństwie.

Sama myśl, że coś mogłoby mu się stać, wprawiała ją w rozpacz. To i świadomość, że kocha go całym sercem.

Jak do tego doszło?

Uczucie zakradło się tak łagodnie i niepostrzeżenie, że niczego nie zauważyła. Wydawało jej się, że potrafi uchwycić ten moment i nie da się wziąć przez zaskoczenie.

Podniosła komórkę i wystukała numer wdowy.

- Pani Whitcomb? Mówi Zia Peters. Oglądałam pani mieszkanie w zeszłym tygodniu. Czy dalej jest do wzięcia?

Było, więc Zia umówiła się, że wpadnie po lunchu obejrzeć je jeszcze raz. Wyłuszczyła swój problem z meblami i wyjaśniła, że docelowo będzie szukać czegoś większego.

Wdowa uspokoiła ją, że czynsz jest płatny co miesiąc, a nie na mocy jednorazowej umowy najmu i że będzie mogła zrezygnować z wynajmu z trzydziestodniowym wypowiedzeniem.

- Zatem do zobaczenia.

Zadowolona z pomyślnego obrotu spraw, Zia zrobiła sobie manicure i pomalowała paznokcie u rąk i nóg na ostry, różowy kolor. Włożyła różowe spodnie i białą koronkową bluzeczkę.

Kiedy Jeremy koło południa wszedł do domu, stanął jak wryty.

- Rany, wyglądasz jak smakowita truskawka - powiedział, uśmiechając się jeszcze szerzej niż zwykle. - Muszę coś przegryźć.

- Jeśli masz ochotę na lunch, lepiej się umyj. - Wycisnęła zygzak musztardy na konserwową wołowinę z kapustą, potem zniosła talerze do stołu.

Umył się i szybko wrócił, podsunął Zii krzesło, a potem musnął ją ustami po karku, zanim sam usiadł.

- To jest posiłek, którym można zdobyć serce mężczyzny - oświadczył, nakładając sobie grzanki.

Niepokój i smutek - takie same, jakie odczuwała, jadąc do domu na ślub - odebrały cały spokój ducha, który udało jej się odzyskać w tym domu.

- Pomyślałem, że po południu moglibyśmy pójść w góry, ale widzę, że się elegancko wystroiłaś. Więc może wolisz pójść do kina?

Potrząsnęła głową.

- Ja... jestem umówiona. - Odchrząknęła. - Będę oglądać mieszkanie w mieście. Pani Whitcomb jest wdową, która ma dwa pokoje do wynajęcia. Mieszkanie ma własną łazienkę i osobne wejście.

Podniosła wzrok na Jeremy'ego. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Była teraz całkowicie pozbawiona wyrazu. Była bez życia.

- Czy to jedno z tych miejsc, o których wspominałaś parę miesięcy temu?- spytał nieswoim głosem. - Umeblowane mieszkanie?

- Tak. Teraz, kiedy mam cały etat, stać mnie będzie na przechowalnię, dopóki nie znajdę domu albo większego mieszkania. - Mówiła wesołym głosem, jakby wszystko układało się po jej myśli.

Po prostu wszystko szło jak po maśle! Łzy zapiekły ją w kącikach oczu. Pod jego baczny spojrzeniem czuła się tak, jakby się miała za chwilę rozpłakać.

- Rozumiem - powiedział sucho.

Skończyli lunch w milczeniu. Jeremy wyglądał na zamyślonego, Zia próbowała zachowywać się spokojnie, jakby nic się nie wydarzyło.

- Las staje się bardzo ładny, kiedy oczyści się poszycie. Dobrze, że wyciąłeś tamtą kępę trującego dębu. Na jesieni nabiera tak olśniewającego koloru, że pewnie zrobiłabym bukiet do domu, nie zauważając, co to naprawdę jest. - Jej śmiech zabrzmiał głucho.

- Tak, jest piękny.

Spojrzał na nią, ale zaraz wbił wzrok w talerz. Kiedy zjedli, spytała, czy ma ochotę na lody.

Podziękował. Włożył talerze do zmywarki, potem stał, obserwując, jak Zia wkłada resztki do lodówki. - Cóż - powiedziała, spoglądając na zegarek.

- Będę jechać. Przywieźć ci coś z miasta?

- Nie, dziękuję.

- Cóż - powtórzyła niepewnie. Stał na jej drodze, więc, żeby wyjść, musiałyby precyzyjnie się obok niego.

-Zia...

Spojrzała pytająco.

- Nie... nic.

Odsunął, się, więc szybko porwała torebkę z kredensu. Z kluczykami w ręku ruszyła do samochodu.

- Nie musisz się wyprowadzać - powiedział półgłosem, kiedy zaczęła otwierać drzwi.

Zatrzymała się. Serce waliło jej tak mocno, że niemal kołysała się cała pod wpływem jego uderzeń.

- Myślę, że muszę - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Mogłabym się... przyzwyczaić i stracić napęd do poszukiwania idealnego miejsca.

- Tak - machinalnie pokiwał głową. - To byłoby fatalne. Nachylił się i spojrzał jej w twarz.

- Właśnie.

Stała nieruchoma jak posąg, ale czy posąg może odczuwać ból? Te głupie, nieposłuszne łzy! Musi się stąd wyrwać... musi...

- Zia? - Dopadł ją w dwu susach. - Co jest grane? Patrzył na nią zatroskany.

- Nic - wykrztusiła.

- Płaczesz?

- Nie, jasne, że nie. - Pokręciła głową. Dwie wielkie łzy spłynęły po policzkach.

Jak je wciągnąć z powrotem do oczu? Nie da rady. Zakryła twarz zaciśniętą na kluczykach dłonią i znów pokręciła głową.

- Zia - szepnął, objął ją i przytulił, otaczając ciepłem, siłą, troską.

- Proszę, przestań - załkała. - Nie mogę tego znieść. Puścił ją, jakby parzyła.

- Nie możesz znieść mojego dotyku? - spytał zdumiony.

- Nie mogę znieść tego, że muszę odejść. - Przeraził ją dźwięk własnych słów. - Nie zniosę też pozostania tutaj.

- Nie za wiele z tego rozumiem. Możesz mówić jaśniej?

- Sprawy pomiędzy nami za bardzo się komplikują. - Zamrugła, usiłując pozbyć się tych głupich łez. - Tutaj jest tak cudownie. - Spojrzała mu w oczy. Miała w nich te zagadkowe, zielone cętki. - Dlatego muszę odejść. - Z jej piersi wyrwał się bezsilny szloch. - Boże, to wszystko razem nie ma sensu!

Starł łzę z jej policzka.

- A może ma sens? Może nareszcie coś pomiędzy nami ma sens? - Gładził ją po twarzy. - Bądźmy ze sobą szczerzy, zanim zrobimy błąd, który bezpowrotnie zmieni nasze życie.

- Jaki błąd?

- Taki, że zrezygnujemy z siebie, bo nam się wydaje, że powinniśmy.

- Powinniśmy...

- Nie - zaprzeczył. - Wcale nie. Możemy mieć to wszystko, co mieliśmy w ostatnich tygodniach. I więcej.

- Więcej czego? - spytała, wstrzymując oddech.

- Tego - powiedział, musnąwszy ją nieskończenie delikatnym pocałunkiem. - Tego wszystkiego, co dzieliliśmy ostatnio. Wspólnej pracy, posiłków, tańca. Kochania. -dodał cicho.

Nie mogła wykrztusić słowa. Stała i patrzyła na mężczyznę, którego kochała najbardziej w świecie.

- Kochania - powtórzył, jakby ta myśl szczególnie go zachwycała. - Bo to jest miłość. Prawda? - Pokiwał głową, zanim zdążyła potwierdzić. - To właśnie czuję. Dlatego pędziłem tutaj co wieczór, bo wiedziałem, że za chwilę będę cię miał w ramionach. Miłość, Zia. Miłość do ciebie.

- Jeremy - wyszeptała oszołomiona i szczęśliwa. - Och, Jeremy.

Nie wiedzieć kiedy ich ciała splotły się i zwarły nogami, rękami, ustami... sercami...

Najsłodsze pocałunki trwały tak długo, aż poczuła, że za chwilę stopnieje jak wosk.

- Nogi się uginają pode mną - szepnęła, kiedy całował ją po szyi.

Porwał ją na sofę. Ich ciała były tak blisko siebie, że nie wcisnąłby nawet powietrza.

Do rozmowy byli w stanie wrócić o wiele, wiele później.

- Kocham cię - powiedział Jeremy. - Myślę, że kochałem cię od zawsze, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Ja też cię kocham. - Dłużej nie mogła trzymać tej prawdy w sobie. -I to mnie przeraża. - Wtuliła twarz w jego szyję.

Usłyszał jej ledwie słyszalne słowa i serce mu zadrżało. Wiedział, z jakim trudem przychodziły jej te słowa. Jej ufność została wystawiona na ciężką próbę przed laty, kiedy odszedł ojciec i ponownie, gdy rzucił ją chłopak.

- Nie umiałbym cię zranić - zapewnił.

Zia uniosła głowę. Jej oczy były mokre, ale promienne jak kwiaty po letnim deszczu.

- Wiem - powiedziała, gładząc go po piersi. - Myślałam, że muszę odejść, bo zaczęłam czuć się coraz bardziej zależna od ciebie. Myślałam, że powinnam, bo nasz związek jest przelotny.

- Nic podobnego. - Pocałował ją w otwartą dłoń. - Jesteśmy razem na wieki. Ty i ja.

Słyszała jego łagodny śmiech, widziała w jego oczach szczęście, czuła miłość w każdym dotknięciu. Roześmiała się, bo radość zalała jej serce.

Całowali się, rozmawiając półgłosem. Oboje chcieli wiedzieć, jak i kiedy się to zaczęło dla każdego z nich.

- Na ślubie Kristy - wyznała. - Nie wiedziałam, co z tym robić. Kiedy tańczyliśmy, czułam się całkiem dezorientowana. I przestraszona.

- Ślub - mruknął. - Przełomowa chwila. - Zajrzał jej w oczy. - Kiedy nasz ślub? Dostyc już czasu zmitrężyliśmy. Nie chcę czekać ani chwili dłużej.

- Będziemy musieli zadzwonić do rodziców... - Urwała.

- Myślisz, że przewidzieli taki obrót spraw, kiedy oboje wyjechaliśmy do Vernal?

- Myślę, że moja mama mogła tego chcieć - odparła, moszcząc się w jego objęciach.

Jej przypuszczenia potwierdziły się, kiedy późnym popołudniem zadzwonili do Jeffa i Caileen. Parę godzin wcześniej Zia ostatecznie odwołała planowaną wizytę u wdowy.

- Jeremy to dokładnie to, o czym marzyłam dla ciebie -oznajmiła zachwycona Caileen.

Po dyskusji na temat najlepszej daty ślubu Zia odłożyła słuchawkę. Jeremy patrzył na nią niespokojnie.

- Co jest? - spytała.

- Mam nadzieję, że aprobata mamy nie zasiała w twoim sercu jakichś wątpliwości.

Ze śmiechem zanurkowała z powrotem w jego ramiona, pławiąc się aż po serce w słodczy jego miłości.

- Wiem. Byłam zbuntowaną nastolatką. Ale teraz zmądrzałam.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Przecież zakochałam się w tobie.

- Oboje zmądrzeliśmy - szepnął, zbliżając usta do jej warg.
- Otworzyłem mój dom dla ciebie. A ty otworzyłaś serce dla mnie.

Wyszedłem z tej transakcji z zyskiem.

- Dom - powtórzyła. - Trzeba dwóch serc, żeby stworzyć dom.
- Racja - mruknął, ucinając pocałunkiem dalszą dyskusję.

